



ŁUKASZ HENEL

SZKARŁATNY
BLASK

ROZDZIAŁ 1

Łukasz Stańczuk, były pracownik stacji benzynowej, z wykształcenia socjolog, ściszył radio i przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Silnik opla zdawał się pracować poprawnie, chociaż od czasu do czasu słychać było dziwny, przytłumiony stukot. „Stuki w silniku nigdy nie wróżą niczego dobrego i niestety mogą być sygnałem, że czekają nas spore wydatki” – przypomniało mu się wyczytane w jakimś magazynie motoryzacyjnym zdanie. Na stacji było pełno takich periodyków, a pracownicy czytali je w wolnych chwilach. Łukasz z pewnym zadowoleniem pomyślał, że prawdopodobnie niedługo kupi sobie lepszy wóz, choć niewątpliwie będzie to decyzja emocjonalnie trudna. Przywiązywał się do starych rzeczy i niewiele mógł na to poradzić. W mieszkaniu miał sporą kolekcję pamiątkowych bibelotów. W jej skład wchodziły otwieracze do butelek w postaci figurek marynarzy, muszle znad morza, kamyki, szyszki, zasuszone liście i breloczki do kluczy.

Żar lał się z nieba, wszystkie okna były opuszczone, a obok na siedzeniu leżała opróżniona do połowy butelka wody mineralnej. Ostatni samochód minął go jakieś piętnaście minut temu. Od tamtego czasu okolica sprawiała wrażenie całkowicie wyludnionej. Asfaltowa wstążka szosy prowadziła przez rozległe pola, a w oddali majaczyła zwarta ściana lasu kontrastująca z głębokim błękitem nieba. Rزتaczający się wkoło pejzaż przypominał upiękuszony przez komputerowego grafika widok z pocztówki.

Stańczuk pogłośnił muzykę i zaczął podśpiewywać pod nosem, na tyle głośno, by można było się zorientować, że, delikatnie mówiąc, nie ma słuchu absolutnego.

Elektroniczny sygnał sonaru powiadomił go o nadchodzącym połączeniu. Zerknął na wyświetlacz komórki. To była Monika, dziewczyna, z którą chodził niemal od samego początku studiów. Pracowała w urzędzie pocztowym mieszczącym się przy placu Pocztowym, w samym centrum Zielonej Góry. Ostatnio nie układało im się najlepiej. Monika, być może zresztą słusznie, zarzucała Łukaszowi brak realistycznego myślenia o życiu i marzycielstwo. Dokuczała mu z powodu starego samochodu i kiepskiej pracy. Potrafiła przez kilka dni nie odbierać telefonów, ignorowała esemesy, a on starał się dociec przyczyny takiego stanu rzeczy. Bezskutecznie. To, co brał za zwykłe przekomarzanie, wydawało się coraz bardziej początkiem głębokiego kryzysu, a może nawet rozpadu związku. Mimo to w drugiej połowie lipca mieli wybrać się razem na wesele jej brata, Jarka. Łukasz, pełen niedobrych przeczuć, uruchomił zestaw głośnomówiący i odebrał połączenie.

- Halo? – Głos Moniki był chłodny niczym lodowy sople, który wpadł za kołnierz.
- Cześć... – Łukasz cały czas miał jeszcze nadzieję na szczęśliwe zakończenie.
- Być może nie powinnam w ogóle dzwonić, ale chciałam tylko powiedzieć, że na wesele idę z Marcinem.
- Z tym Marcinem? Studentem AWF z Poznania? – Łukasz przełknął ślinę. W zasadzie powinien się tego spodziewać.

– Tak. Właśnie z tym! – Głos dziewczyny był teraz pełen zadziorności połączonej z samozadowoleniem. – Dbaj o mnie. W przeciwieństwie do ciebie. Zabiera mnie na obiady do Sfinksa. Obiecał, że polecimy do Egiptu.

– Ma kasę – odparł Łukasz – to wszystko.

– Jesteś podły – podsumowała. – Nie dzwoń do mnie więcej. To koniec.

– Nie zamierzam – odparł, ale chyba nie został nawet usłyszany, bo Monika rozłączyła się błyskawicznie.

Niewiele mógł poradzić na to, że jego byłej już dziewczynie podobał się wysoki, muskularny, wysportowany i bogaty Marcin. Łukasz poznał go osobiście na imprezie w zielonogórskim klubie Bachus. Pojawił się wtedy w towarzystwie długonogiej blondynki i sprawiał wrażenie straszliwego babiarza. Nieustannie łytał na kręcące się wokół studentki i napinał mięśnie pod śnieżnobiałą koszulką, która wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować. Trudno było nie zauważyć, że Monika przyglądała mu się wówczas z uwielbieniem. Płotka sama wpłynęła do paszczy rekina.

Wyglądało na to, że w życiu Łukasza nastąpią spore zmiany. Próbował wzbudzić w sobie złość na Monikę. Gdyby zaczął jej nienawidzić, byłoby mu łatwiej zaakceptować stratę. Próbował skupić swoje myśli na negatywnych cechach dziewczyny, nie przynosiło to jednak zamierzonego efektu. Zrozumiał, że cały czas zależy mu na Monice. Jednak co skończone, to skończone, pomyślał. Czasami przychodzą takie chwile, że przeszłość trzeba zostawić za sobą.

*

Niepostrzeżenie na horyzoncie pojawił się zielony drogowskaz z napisem „Kursko 2 km”. Cel podróży był zatem blisko. Łukasz energicznie skręcił. Pod kołami zachrzęścił żwir, a na masce samochodu i przedniej szybie zatańczyły cienie rzucane przez rozłożyste korony drzew. Samochód zawibrował i zajęczał niczym skazaniec rozciągnięty na kole do tortur. Drogę prowadzącą przez las pokrywały kamienie i połamane gałązki. W obawie o resory zwolnił, ale autem i tak niemiłosiernie trzęsło.

Łukasz zawsze lubił las, a tutaj dało się rozpoznać forpocztę starej puszczy. Po obu stronach drogi wyrastały rozłożyste sosny i świerki o grubych pniach, gdzieś widać było majestatyczne dęby i buki, niektóre sprawiające wrażenie niezwykle sędziwych. Powietrze nabrało cudownego zapachu rozgrzanej słońcem żywicy. Przyjemny cień sprawiał, że na nowo miało się ochotę żyć. W miarę jak samochód z głuchym warkotem silnika sunął po wybojach, w gęstwinie drzew raz po raz pojawiały się wyrwy, przez które dało się zauważyć otwartą przestrzeń i błękit jeziora. Po długich, znojnych dniach pracy spędzonych na stacji była to niewiarygodna odmiana, zupełnie jakby ryba jakimś magicznym sposobem wykradła się z puszki i wskoczyła z powrotem do morza.

Przypomniały mu się czasy studenckie i piesze, często samotne wędrówki po lasach otaczających Zieloną Górę, kiedy całymi dniami, odchodząc od uczęszczanych ścieżek, zanurzał się w ocean zieleni, krocząc po mchu podobnym do dywanu tak miękkiego, że aż trudno było w to uwierzyć. Szkoda, że nie będę na stałe mieszkał w takiej okolicy – przemknęło mu przez

głowę. Zaraz potem jednak zaczął w myślach przywoływać swoje „dyżurne” argumenty przemawiające za pobytem w dużym mieście: łatwy dostęp do sklepów, tętniące życiem i atrakcjami ulice, kina, muzea, kawiarnie i puby z ogródkami, w których można było usiąść latem i pijąc piwo, przyglądać się przechodniom.

Nieoczekiwanie, nie wiedząc czemu, pomyślał o nietoperzach. Były ponoć jedną z głównych atrakcji tego regionu – tak przynajmniej wynikało z kolorowego prospektu reklamowego, który wpadł mu w ręce, gdy na stacji benzynowej sączył zimną colę, zrobiwszy sobie przerwę w podróży. Napisano tam, że podziemia Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego są najważniejszym i największym zimowiskiem nietoperzy w Polsce. Zastanawiał się, ile prawdy jest w opowieściach o „skrzydlatych myszach”, wampirach, które wkręcają się we włosy i wypijają krew. Może już niebawem sam się o tym przekonam, pomyślał i uśmiechnął się do własnego odbicia we wstecznym lusterku. Miał niebieskie, głęboko osadzone oczy i krótkie, ciemnoblond włosy. Jego cera była śniada, i trudno było się temu dziwić – stojąc przez wiele tygodni przy dystrybutorze, bardzo się opalił.

Poczuł głód. Trzymając kierownicę kolanami i kontrolując ją jako tako lewą ręką, zabrał się do odpakowywania kanapki z wędliną i ogórkiem. Odległość z Zielonej Góry do Międzyrzecza to jakieś sześćdziesiąt kilometrów, ale kanapki zrobił tak na wszelki wypadek.

Raptem wśród płynącej z głośników muzyki usłyszał głośnie brzęczenie, które w pierwszej chwili uznał za zakłócenie pracy radia. Zaniepokojony rozejrzał się. Kątem oka zauważył wielką osę krążącą niebezpiecznie blisko jego twarzy. Nigdy nie bał się owadów, ale nie znosił, kiedy coś podobnego pojawiał się w samochodzie. Czuł się wtedy kompletnie bezbronny. Pomyślał o tych wszystkich paskudnych przypadkach, kiedy ktoś ukąszony przez pszczołę czy osę okazywał się uczulony na ich jad, puchł, siniał, dusił się i umierał.

Machnął energicznie ręką, raz i drugi przeklinając siarczyście, zupełnie jakby w duchu liczył, że obrażona osa ostentacyjnie opuści pojazd. Próby pozbycia się skrzydlatego intruza tak go zaaferowały, że dopiero po kilku sekundach, jakby w zwolnionym tempie, zrozumiał, że dzieje się coś bardzo niedobrego. W pierwszej chwili miał wrażenie, że wlatuje w powietrze. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Potem nastąpił gwałtowny przechył auta na prawą stronę połączony ze wstrząsami i mocne szarpnięcie. Opel zarył się w coś miękkiego i stanął. Silnik zgasł. Słyszał tylko śpiew ptaków.

Przez chwilę siedział lekko oszołomiony w samochodzie, patrząc na świat z dziwacznej, ukośnej perspektywy. Musiał jak najszybciej wydostać się z auta. Nie miał pewności, czy ze zbiornika nie wycieka paliwo. Jedna przypadkowa iskra mogła spowodować wybuch...

Łukasz wygramolił się na zewnątrz niczym czołgista wychodzący przez właz. Obszedł wokół pojazdu, starając się na chłodno ocenić sytuację. Paliwo nie wyciekało, a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Boczne koła zapadły się głęboko w gliniastą maź, która mimo trwających upałów jakimś cudem przetrwała na dnie rowu. Karoseria od strony pasażera została lekko wgnieciona. Próba uruchomienia silnika i wyjechania z pułapki nie wchodziła w grę. Opel to nie jeep. W pojedynkę Łukasz miał niewielkie szanse, ale mimo to spróbował. Po piętnastu minutach absurdalnych wysiłków, podczas których udawało mu się co najwyżej rozbujać samochód, dał za wygraną i usiadł pod pobliskim drzewem, zastanawiając się, co począć dalej. Miał wrażenie, że

świergoczące wśród drzew ptaki naśmiewają się z niego.

Poważnie zaczął rozważać możliwość sprowadzenia pomocy drogowej. Niestety, na wyświetlaczu cały czas widniała mała ikonka przedstawiająca przekreślony maszt przekaźnika. Brak zasięgu.

Musiał na piechotę... Wyciągnął niewielki plecak „Alpinusa”, do którego włożył butelkę z resztką wody mineralnej, reklamówkę z kanapkami, cyfrowy aparat fotograficzny oraz niewielkiego, przenośnego laptopa. Niezawodny „HP”, z ekranem o przekątnej 14 cali, stanowił istotny element majątku, jaki udało mu się do tej pory zgromadzić. Biorąc pod uwagę, że samochód był przechylony, czuł się niemal jak akrobata wykonujący cyrkowe sztuczki. Ze schowka wydobyl tekturową teczkę z dokumentami, portfel i klucze od kawalerki w Zielonej Górze. Wszystko wrzucił do plecaka. Znow sięgnął po telefon. Dopiero po dwudziestu minutach chodzenia tam i z powrotem oraz wspinania się na niewielkie wzniesienia uwierzył, że tu naprawdę nie da się z niego skorzystać.

Trasa wydawała się jednak dość prosta. Nie było wątpliwości, że droga prowadzi do Kurska. Ruszył więc przed siebie. Przeszedł może ze sto metrów, gdy usłyszał krzyk. Rozejrzał się wokoło, nie do końca pewien, czy nie ulega jakiemś złudzeniu. Głos zdawał się należeć do dziecka i dobiegał z leśnej gęstwiny. Był odległy, nieartykułowany, dało się wyczuć w nim strach, samotność i zagubienie. Stańczyk się zatrzymał. Być może jakiś dzieciak zgubił się w lesie i woła o pomoc, pomyślał. Nie był typem bohatera, a jednak nie wyobrażał sobie, że mógłby ot tak, po prostu, pójść dalej. W dzieciństwie uwielbiał filmy o Supermanie i był przekonany, że tenże nie zlekceważyłby dobiegającego z lasu wołania o pomoc.

- Hej! – zawołał, przyłożywszy obydwie dłonie do ust.
- Jestem tutaj!

Krzyk rozległ się znowu, ale jakby z większej odległości. Łukasz z niepokojem przypomniał sobie informacje, jakie wyszukał na temat znajdujących się w okolicy bunkrów i niezabezpieczonych podziemi. Dzieciak mógł gdzieś wpaść i przemieszczać się, być może pod ziemią, dlatego jego głos był coraz mniej słyszalny. Kto wie, może brakowało mu powietrza i dusił się uwięziony w jakiejś pułapce. Należało działać jak najszybciej. Łukasz wbiegł między drzewa, ciągle pokrzykując. Starał się w ten sposób nie tylko pokazać swoje położenie, ale też dodać dziecku odwagi.

– Już idę! Nie ruszaj się! Wołaj, żebym mógł cię znaleźć! – krzyczał, coraz głębiej zapuszczając się w las. Tutaj gęstwina była już dużo mniej przyjazna, niż można było dostrzec to z drogi. Wybijała chaszcze oplatały mu nogi, a wypełnione kamieniami doły stanowiły groźną pułapkę. Teren najpierw ostro piał się w górę, lecz potem gwałtownie opadał, zwabiając go w głęboki wąwóz. Głos odzywał się raz za razem, ale zdawał się dobiegać z różnych miejsc. Stańczyk przez krótką chwilę miał nawet wrażenie, że dostrzegł coś lub kogoś na wzniesieniu, między drzewami. Gdy przypatrzył się jednak lepiej, stwierdził, że to stary, zmurszały pień wyglądający niczym pozostałość po drzewie strzaskanym piorunem. Wołanie ucichło.

Po kilkunastu minutach chodzenia po lesie był skłonny uznać, że słyszał jakiegoś ptaka. Z czoła ściekały mu gęste, ciężkie krople potu, a koszulka przylgnęła do pleców. Zdał sobie również sprawę, że zatracił poczucie kierunku i że nie ma pojęcia, z której strony znajduje się

kamienista droga.

Słońce już prawie skryło się za horyzontem, a on nadal nie wiedział, dokąd idzie ani gdzie dokładnie się znajduje. Mógł podążać w stronę Kurska, ale równie dobrze, i to wydawało się w tej chwili najbardziej prawdopodobne, mógł się od niego oddalać w niewiadomym kierunku. Wrodzona złośliwość losu sprawia, że najbardziej godne obstawienia są złe scenariusze. Właśnie z tej przyczyny wszyscy prorocy wieszczą zwykle katastrofy i wojny, wiedzą bowiem dobrze, że ponure scenariusze muszą prędzej czy później się ziścić, zapewniając udaną przepowiednię.

Ostatnie, czerwone promienie prześwitywały nisko między sosnami. Jaskrawa zieleń drzew przybladła, zszarzała, jakby znużona całodziennym upałem. Las zdawał się zamierać i oczekiwać na nadciągającą noc.

Łukasz już jakiś czas wcześniej wypił resztę wody i teraz pragnienie przypominało o sobie jak namolny żebrak. Twarz oblepiały mu pajęczyny, w które wszedł nieostrożnie, lekki z początku plecak ciążył nieprzyjemnie, w dodatku dręczyły go muchy i komary. Co gorsza, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Nie mógł uwierzyć, że tak po prostu się zgubił. Na miłość boską, nie tutaj, nieopodal Międzyrzecza.

Przemknęło mu nawet przez myśl, że mógłby skorzystać jakoś z laptopa, ale przecież jeśli nie działał telefon, to raczej nie można się było spodziewać, że w głębi lasu funkcjonuje otwarta sieć bezprzewodowa.

Raz po raz sprawdzał zasięg w telefonie. Gdyby pojawił się chociaż na chwilę, bez wahania zadzwoniłby pod 112. Miał wrażenie, że zgubił się z kretesem. W dodatku świadomość, że międzyrzeczkie lasy ciągną się przez dziesiątki kilometrów, nie dodawała otuchy. W innych okolicznościach może potrafiłby spojrzeć na całą sytuację jak na przygodę, o której można później, przy piwie, opowiedzieć znajomym. Teraz miał zwyczajnie dość. W przeszłości zdarzało mu się kilka razy spędzić noc w lesie, ale miał wtedy ze sobą namiot, śpiwór i latarkę na cztery baterie, no i był z nim Witek, z racji słusznej postury zwany Bizonem, przyjaciel i współlokator, amator zjawisk paranormalnych, trenujący od wielu lat krav magę – ofensywną, wywodzącą się z Izraela sztukę walki.

Mrok gęstniał powoli, ale nieubłaganie. Stańczyk zastanawiał się, co zrobi, gdy dalsza wędrówka stanie się niemożliwa.

Witek na pewno potrafiłby sobie poradzić. W przeszłości brał udział w obozach przetrwania, potrafił wyznaczać kierunek, obserwując porastające drzewa i kamienie mech, rozpalać ogień z użyciem specjalnego krzesiwa, a nade wszystko – zwykle zachowywał pogodę ducha, nawet w obliczu największych trudności.

Iglasty las zdawał się tymczasem coraz bardziej ustępować liściastym drzewom, których kształty majaczyły wokoło w gęstniejącej ciemności. Gałęzie przypominały ręce topielców wyciągnięte rozpaczliwie w górę i unieruchomione w tym dramatycznym geście. Masywne, ponure pnie drzew trwały w zapadającym mroku niczym kolumny prastarej, pogańskiej świątyni, otaczając go ze wszystkich stron. W pewnym momencie poczuł, że jego stopa zapadła się w

ziemię na kilka centymetrów. Zrobił jeszcze krok do przodu i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą grzęzawisko.

Wokół roznosił się zapach gnijących szczątków roślin, armie much krążyły w powietrzu. Wszystko wskazywało na to, że znalazł się na obrzeżu mokradeł. Przed oczami stanęła mu historia badacza, o której kiedyś przeczytał w „Gazecie Lubuskiej”. Pracownik naukowy Uniwersytetu Zielonogórskiego prowadził samotne badania na leśnych terenach otaczających Międzyrzecz. Pewnego razu znikł bez śladu, a zakrojone na wielką skalę poszukiwania długo nie przynosiły żadnego rezultatu. Jak podawała gazeta, samochód naukowca odnaleziono właściwie przypadkowo, po wielu miesiącach, zatopiony w grzęzawisku, razem z ciałem nieszczęsnego kierowcy. Sprawa, jak to zazwyczaj bywa, po pewnym czasie zupełnie ucichła. Nieszczęśliwy wypadek jakich wiele, nauczka, by nie zapuszczać się zbyt głęboko w las, a zwłaszcza nie robić czegoś równie szalonego, jak wjeżdżanie ciężkim autem na mokradła, bez jakiegokolwiek logicznego uzasadnienia, a tak właśnie według dziennikarzy postąpił naukowiec.

Łukasz zawrócił i szedł dalej, z zaciśniętymi zębami przedzierając się przez gęstwinę. W pewnym momencie dostrzegł majaczącą w mroku lukę pomiędzy pniami drzew. Zrezygnowany ruszył w tamtym kierunku i tym razem, o dziwo, się nie zawiódł. Wyszedł na kamienną drogę wijącą się wśród drzew. Ogarnęła go radość. Po wielu godzinach przedzierania się przez chaszcze miał uczucie, jakby wkroczył na wygodny deptak. Zrzucił plecak na ramię i energicznie ruszył przed siebie pewien, że niebawem dotrze do ludzkich osiedli. Miał w portfelu nieco gotówki, więc był przekonany, że uda mu się znaleźć kąt do przenocowania. Rano postarałby się poszukać kogoś, kto pomógłby mu wydobyć samochód.

Nagle dostrzegł przy drodze jakiś kształt. Po chwili już wiedział, co to jest.

Opel tkwiący w przydrożnym rowie.

Przez cały czas osiągnął jedynie tyle, że wrócił do punktu wyjścia. Do głowy przychodziły mu dwa rozwiązania. Mógł czekać. Nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później powinien pojawić się jakiś samochód. Zważywszy na późną porę i że była to mało uczęszczana okolica, mogło to nastąpić nawet za kilka godzin. Z mapy sprawdzonej przed wyjazdem w Internecie wynikało, że do maleńkiego Kurska od strony szosy można dojechać co najmniej na dwa sposoby. Biorąc pod uwagę wątpliwy stan kamiennej drogi, należało podejrzewać, że większość kierowców woli ją omijać. Mógł również nieco odpocząć i ponownie spróbować dotrzeć do Kurska na piechotę, a gdyby w tym czasie pojawił się jakiś samochód, spróbować go zatrzymać i poprosić kierowcę o pomoc lub podwiezienie. Drugie wyjście wydawało się bardziej sensowne niż bezczynne wyczekiwanie.

Na razie jednak usiadł pod drzewem, by chwilę odpocząć. Od pewnego czasu odnosił dziwne wrażenie, że nie jest w lesie sam. Co chwila rozglądał się uważnie wokoło, ale nie mógł dostrzec niczego podejrzanego. Teraz, gdy siedział samotnie pod drzewem, w niemal całkowitych ciemnościach, uczucie to było jeszcze intensywniejsze, prawie namacalne. Jego zmysły wyostrzyły się, a dźwięki nabrały ostrości.

Łukasz zasadniczo nie bał się lasu, był typem romantyka i lubił samotność na łonie przyrody. Tutaj, z jakiegoś powodu, zaczynał czuć się nieswojo. Miał wrażenie, że las zamiast usypiać,

budzi się. Zerwał się wiatr. Tu i ówdzie odzywały się nocne ptaki, trzeszczały pnie drzew, trzaskały gałązki. Siedział nieruchomo, wpatrzony w ciemność nocy, opierając plecy o masywny pień. W głowie zrodziła mu się dziwna i niepokojąca myśl. Pecha miał podejrzenie dużo. Zupełnie jakby nad okolicą ciążyło jakieś niepokojące fatum.

Odganiał tego typu myśli, ale one powracały. Na korony drzew napierał wiatr, początkowo spokojny, później coraz bardziej uporczywy. I jeszcze te trzaski. Dochodziły zewsząd. Jakieś skrobania. Szelest liści...

Wyobraźnia szaleje tym bardziej, jeśli ma się przyjaciela takiego jak Witek, który jest niestrudzonym poszukiwaczem zjawisk paranormalnych i pisze właśnie pracę magisterską na temat okultyzmu w Polsce. Trudno jest nie przesiąknąć opowieściami o duchach, strzygach i wampirach, jeśli słyszy się je niemal codziennie.

Powinien już ruszyć w stronę Kurska, ale na myśl o nocnej wędrowce przechodził go dreszcz. Samochód dawał złudne poczucie bezpieczeństwa, nawet zepsuty. Był symbolicznym łącznikiem z cywilizacją.

Ciemna postać pojawiła się między odległymi drzewami zupełnie niespodziewanie. Dostrzegł ją niejako na granicy percepcji, wśród innych, majaczących w oddali cieni. Zerwał się na równe nogi, niezbyt pewien, czy to, co widzi, nie jest złudzeniem. Serce pod wpływem adrenaliny waliło mu jak oszalałe. Panowały ciemności, a jedynym źródłem nikłego światła był księżyc w drugiej kwadrze.

Postać się nie poruszała. Przypominała okrytego ciemnym płaszczem człowieka. Po chwili jednak czerń otaczająca sylwetkę stopniowo zgęstniała, a jej kontury się rozmyły. Łukasz ze zdumieniem stwierdził, że w mroku dostrzega jedynie drzewa.

Starał się nie poddawać lękowi. Wzrok lubi w takich okolicznościach płatać figle, a pnie drzew potrafią w ciemności przybierać najbardziej fantastyczne kształty, jeśli tylko wpatrywać się w nie dostatecznie długo.

Nagle spostrzegł coś, co przeszło go strachem. Nieopodal, w odległości kilkunastu metrów, błysnęło słabe, żółte światełko. Przesuwało się powoli na niewielkiej wysokości. Po chwili znikło i pojawiło się w innym miejscu, nieco bliżej. Sekundę później w ciemnościach nocy dało się usłyszeć jakieś przemykające stworzenie.

Wilki, pomyślał w pierwszej chwili Łukasz. Żółtawe światełko mogło być lśnięciami ślepiami. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, by w tej okolicy grasowały wilki. Może zdziczałe psy? Porzucone przez właścicieli potrafiły przystosować się do życia w lesie, łącząc się nieraz w watahy. Rozszarpały leśne zwierzęta. Łukasz słyszał też o przypadkach, kiedy potrafiły pustoszyć gospodarstwa, zagryzając inwentarz. Były to jednak informacje o niewielkim stopniu wiarygodności, wyczytane przypadkowo na epatujących tanią sensacją stronach internetowych, które za wszelką cenę starają się przyciągnąć uwagę nawet najbardziej absurdalnymi tematami.

Łukasz wiedział, że przed psem trudno uciec. Dość skuteczną, wypróbowaną przez setki lat bronią przeciwko agresywnym czworonogom jest zwykły kij. Daje on przynajmniej możliwość trzymania zwierzęcia na dystans, ale żadnego solidnego kija w pobliżu nie było. Owszem, mógł ułamać gałąź, ale nie chciał zwracać na siebie uwagi hałasem. Możliwość wspięcia się na drzewo również nie wydawała się najlepszym pomysłem. Zwłaszcza że gałęzie na pobliskich drzewach

zaczynały się dopiero na wysokości mniej więcej dwóch metrów. Rozległ się hałas. Coś poruszyło się gwałtownie w pobliskich krzakach. Cokolwiek to było, znieruchomiło na moment, a potem ruszyło w jego stronę. Łukasz instynktownie rzucił się w stronę samochodu. Najszybciej jak potrafił otworzył drzwi i wgramolił się do środka. Zatrzasnął drzwi za sobą i usłyszał głośne „łup” czegoś wielkiego i ciężkiego, co uderzyło w karoserię. Potem zapanowała martwa cisza.

Siedział wewnątrz pojazdu, dysząc ciężko i oblewając się potem. Bardzo żałował, że nie zabrał w podróż latarki. Mógłby teraz wysłać w ciemność snop jasnego światła. Wiedziałby, co za cholerstwo wyskoczyło na niego z krzaków. Poza tym, jeśli rzeczywiście był to jakiś zdziczały pies lub dzik, to jasne światło mogłoby go odstraszyć. Kiedy odważył się spojrzeć w szyby samochodu, zobaczył tylko czerń nocy, jakby całe auto otulał czarny welon pograżonej w żałobie panny młodej. Mijały sekundy, które wydawały się minutami. Następnie rozległo się stukanie w szybę. Raz, a potem drugi. Mocne, stanowcze „Puk, puk!”.

ROZDZIAŁ 2

Kilka dni wcześniej czarna furgonetka marki Mercedes zajęchała cicho pod fabryczne ogrodzenie. Tylne szyby były zaślepione, podobnie jak w wielu policyjnych wersjach tego pojazdu. Piotr Wettermann cały czas uważał, że Organizacja mogłaby postarać się o coś bardziej dyskretnego. W mniej uczęszczanych dzielnicach i małych miejscowościach taki samochód jeszcze bardziej przykuwał uwagę, ludzie czasem sądzili, że należy on do monterów, którzy przyjechali usunąć jakąś usterkę. Podchodzili i pytali o ewentualną przerwę w dostawach prądu.

Wettermann był dużym facetem dobiegającym pięćdziesiątki. Siwe, schludnie ostrzyżone włosy i niebieska koszula z kołnierzykiem sprawiały, że wyglądał raczej na zwykłego urzędnika, specjalistę, który zjawiał się po to, by załatwić jeszcze jedną papierkową robotę, lub na nadzorującego pracę inżyniera.

Od dłuższego czasu narastała w nim irytacja. Frustrowały go pewne szczodre zapewnienia, jakie otrzymał przed laty od wpływowych osób, obietnice, które nigdy nie zostały dotrzymane. Już dawno temu miał dostać państwową posadę i wysoką pensję, która i tak byłaby przykrywką dla prawdziwego dochodu. Tymczasem wciąż był na służbie i wykonywał zadania, które bardzo go niepokoiły. Sprawy pachniały coraz gorzej. Nie obawiał się, ponieważ nadal wierzył w opiekę, jaką roztaczała nad nimi Organizacja. Miał po prostu wątpliwości, coraz więcej wątpliwości. Także gorzej sypiał. Nawiedzały go koszmary, których nieodłącznym elementem był upiorny, krwawy blask.

Odniosł wrażenie, że dzisiejszy przyjazd pod fabrykę był niepotrzebny. Nie będą przecież na razie działać. „Działać” nie było może idealnym określeniem tego, co robili, ale lubił go używać, gdyż brzmiało... racjonalnie, pozwalało zachować kontakt z bezpieczną rzeczywistością. Mieli jedynie wskazanej osobie „przekazać informację”. W jego przekonaniu mogli sprawę równie dobrze załatwić telefonicznie z tajnego biura w Zielonej Górze, znajdującego się w prywatnej willi pana Albersa, lecz jego polecenia były jasne – udać się na miejsce. Albers nie znosił

sprzeciwu. Posiadał też wiedzę daleko większą niż zwykli agenci na temat tego, czym w rzeczywistości jest Nowa Synagoga. Sam Albers był postacią tajemniczą, a dowiadywanie się czegokolwiek na jego temat groziło wielkim niebezpieczeństwem. Należało raczej słuchać i wykonywać rozkazy.

Wettermanna niepokoiło, że mimo dziesięcioletniej już służby nadal tak niewiele wiedział o Nowej Synagodze. Ludzie, z którymi dotąd rozmawiał i którzy składali mu liczne obietnice, dbali o dyskrecję i oficjalnie nie należeli do Organizacji. Byli wśród nich wysoko postawieni policjanci, oficerowie służb specjalnych, a nawet znany polityk. Piotr Wettermann coraz bardziej podejrzewał, że oni sami byli jedynie pionkami w większej grze, której prawdziwego celu i znaczenia po prostu nie znał. Czy takim ludziom rzeczywiście można było ufać?

Dodatkowo drażnił go siedzący obok, ubrany w drogi garnitur Erwin Bauer, jak zawsze pedantyczny i skupiony. Na bladej twarzy błąkał mu się zimny, śliski uśmiezek.

Wettermann znał Bauera nie od dzisiaj. Pracowali razem prawie od dziesięciu lat. Odnosił wrażenie, że nazwisko Bauer nie jest prawdziwe. Członkowie Nowej Synagogi często przybierali fałszywe nazwiska i działali pod przykrywką trefnych dokumentów. Być może również Erwin nie jest jego prawdziwym imieniem. Nigdy jednak nie zapytał o to wprost, ponieważ Bauer bez wątpienia doniósłby o jego zainteresowaniu komuś z góry. A góra nie lubiła wścibskich ludzi. Wettermann aż wzdrygnął się na myśl o tym, co mogliby zrobić jemu i jego rodzinie. W przeciwieństwie do Bauera miał dzieci, wspaniałą dwudziestoletnią córkę Marię, i żonę Annę, które sądziły, że jest kimś w rodzaju przedstawiciela handlowego. Mądrzej było zachować pytania dla siebie. Lepiej było stać po właściwej stronie.

Żeby przerwać ciszę, Wettermann zadał pytanie, choć znał na nie odpowiedź.

– Kto telefonuje? Ja czy ty?

Bauer tylko uśmiechnął się paskudnie. Organizacja dawała mu moc, której potrzebował, wykraczającą poza ludzką zdolność pojmowania. Uwielbiał bawić się ludzkim zaskoczeniem, niedowierzaniem. Ba, lubił, gdy go obrażano, znieważano, odsyłano do zakładu dla obłąkanych. Delektował się tymi chwilami i niekiedy świadomie je przedłużał, dobrze wiedząc, że role w każdej chwili mogą się odwrócić. Kiedy tylko tego zapragnie. Sięgnął po telefon komórkowy i wybrał starannie numer swoimi długimi, wypielegnowanymi palcami.

W biurze było bardzo gorąco. Niedawno zainstalowana klimatyzacja zepsuła się kilka dni po jej uruchomieniu. Od tamtego czasu, mimo ponaglących telefonów, nie pojawiał się żaden serwisant. Działał tylko cicho szumiący nawiew, wtłaczający do wnętrza budynku obrzydliwie ciepłe powietrze.

Dyrektor westchnął i pokręcił z dezaprobatą głową. Pochodził z zamożnej i znanej w całym mieście rodziny Koteckich. Jego ojciec, z zawodu cukiernik, dorobił się prawdziwej fortuny w latach dziewięćdziesiątych dzięki kilku prywatnym cukierniom „Słodka Dziurka”. Później wystartował w wyborach na stanowisko radnego, które wygrał. Stał się wpływową osobą i bez większego problemu mógł załatwić swojemu synowi posadę dyrektora naczelnego w „Stal-

Exporcie”, firmie zajmującej się produkcją i wysyłką na rynki zagraniczne podzespołów do maszyn rolniczych.

Kotecki na podzespołach rolniczych znał się równie dobrze jak na żegludze międzyplanetarnej. Mimo to uwielbiał zjawiać się w pracy około jedenastej i przemierzać halę produkcyjną. Z zadowoleniem obserwował popłoch, jaki wzbudzał wśród pracujących przy maszynach robotników. Chodząc po hali, lubił sprawiać wrażenie człowieka, który właśnie zdołał oderwać się od trudnych obowiązków i znów bardzo gdzieś się spieszy, lecz mimo to „po raz kolejny musi wszystko wszystkim tłumaczyć”.

Szybko zorientował się, że wzbudzanie lęku jest najskuteczniejszą i równocześnie prostą metodą zarządzania firmą, szczególnie jeśli człowiek na niczym się nie zna. Chodził więc wśród huczących maszyn i odgrywał prawdziwą komedię. W tej wycieczce zawsze towarzyszyła mu grupka służalczych brygadzystów. Co chwila zatrzymywał się przy jakimś stanowisku pracy i przyglądał się wszystkiemu uważnie, z dezaprobatą kręcąc głową. Dawał do zrozumienia, że „coś jest nie tak”, chociaż nie miał pojęcia co. Wtedy można było mieć pewność, że jeden z usłużnych brygadzystów to „coś” dostrzeże. Mogło to być zbyt wolne lub zbyt szybkie, a więc niedokładne tempo pracy. Mogła to być niewłaściwa postawa pracownika, która zdradzała brak należytego szacunku do wykonywanych obowiązków. Odłożone na chwilę narzędzie natychmiast dawało się uznać za przejaw bałaganu panującego na stanowisku pracy. Wtedy dyrektor, wewnątrz ubawiony, z kamienną twarzą stwierdzał „właśnie!” i cała procesja ruszała dalej. W takich momentach po raz tysięczny z upodobaniem rozpoczynał swoją opowieść o tym, jak od najmłodszych lat ciężko pracował. Już jako kilkunastoletni chłopak musiał harować na budowie, bo czasy wtedy „nie były tak lekkie jak teraz”. Potem, ucząc się, w pocie czoła pracował w wielkiej fabryce na nocnych zmianach. Autobusy kursowały rzadko, więc codziennie na piechotę przemierzał kilkanaście kilometrów. Ta historia, w której tak się lubował, na początku była nieco niedopracowana. Na przykład nie sprecyzował, gdzie dokładnie mieściła się ta fabryka, jak się nazywała lub co w niej właściwie produkowano. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ i tak było jasne, że nikt nie odważy się zapytać o takie szczegóły. Z czasem jednak, właściwie hobbystycznie i z nudów, udoskonalał swoją opowieść. Dodawał dramatyczne szczegóły, takie jak chora matka, śnieżne zasy, przez które musiał przedzierać się, brnąć do pracy, lub surowy majster, który „nauczył go, co to znaczy pracować”. Powtarzał tę historię tak wiele razy, że właściwie sam zaczynał w nią wierzyć.

Istotnym motywem, jaki zawsze należało uwzględnić w rozmowie z pracownikami, była trudna, pogarszająca się sytuacja firmy. Dzięki temu można było mieć pewność, że nikt nie zapyta o podwyżkę.

– Trudna sytuacja wynika z niedostatecznego zaangażowania niektórych osób w pracę – przemawiał do robotników. – Nie chcę nikogo wskazywać palcem. Na razie... Od waszej pracy zależy dochód firmy. I mój, i wasz. Żebyście wy mogli zarobić, musi zarabiać cały zakład. Czy to jest logiczne, co ja mówię? Tak czy nie?

Oczywiście nikt nigdy nie odważył się odpowiedzieć „nie”. W rzeczywistości sytuacja finansowa „Stal-Exportu” była bardzo stabilna. Firma miała podpisane długoterminowe kontrakty, a branża generowała duże zyski.

Po około godzinnym obchodzie dyrektor mógł się udać do swojego zacisznego gabinetu. Do wyjazdu na spotkanie (czyli powrotu do domu) pozostawało nieco czasu. Wzrok Koteckiego padł na biurko. Stała tam fotografia jego córki. Jasne, odziedziczone po matce włosy okalały kształną, uśmiechniętą buzię. Dyrektor odruchowo dotknął wskazującym palcem ramki, w której umieszczone było zdjęcie. Miał wrażenie, że córka uśmiecha się do niego. On także się uśmiechnął.

Eliza Kotecka studiowała na trzecim roku zarządzania i marketingu w Wyższej Szkole Ekonomii Stosowanej i Pedagogiki. Była jego oczkiem w głowie. Kiedy ukończy studia – myślał – znajdzie jej wspaniałą pracę. Jest taka zdolna i inteligentna.

Investował w naukę córki, ile się dało. Już na pierwszym roku kupił jej samochód, mały model nissana, by mogła dojeżdżać na zajęcia. Opłacał lektorów języka angielskiego i hiszpańskiego oraz korepetytorów. Dbał także o to, by każde wakacje spędzała za granicą, szlifując znajomość języków obcych. Kochana córeczka, powtarzał w duchu. Wspaniała z niej dziewczyna... Z rozmyślań wyrwał go dzwoniący telefon. Kiedy wchodził do gabinetu, wyraźnie powiedział sekretarce, aby mu nie przeszkadzano.

- Pani Asiu, prosiłem przecież... – fuknął.
- Szef wybaczy, ale dzwoni jakiś pan i prosi o pilną rozmowę.
- Co?! Nie ma mnie! Wyjechałem przed chwilą – chciał szybko uciąć sprawę. – Niech pani powie, że wyszedłem dosłownie przed chwilą i bardzo się spieszyłem.
- Przepraszam, szefie... ale ten pan powiedział, że to bardzo ważne. Że to bardzo ważne dla pana.
- Co takiego?... – zdziwił się Kotecki. Ogarnął go lekki, niesprecyzowany niepokój. A także ciekawość. – Proszę połączyć.

W słuchawce rozległ się krótki, elektroniczny sygnał. Rozmówca był na linii.

- Słucham, Kotecki przy telefonie.
- Dzwonię w imieniu fundacji charytatywnej Słoneczne Dzieciństwo. Chciałbym, by pan i pańska firma przekazali na nasze konto datkę charytatywny w wysokości dziesięciu tysięcy złotych.

Dyrektor przewrócił oczami. Jasna cholera, wywalę tę sekretarkę na zbity pysk!

- Z radością wspieramy podobne inicjatywy. Jednakże w obecnym czasie budżet naszej firmy nie przewiduje... – chciał dokończyć, ale Bauer mu przerwał.
- Pieniądze mają płynąć na nasze konto najpóźniej do jutra.

Kotecki poczuł, jak narasta w nim złość i irytacja. Kto, u diabła, ośmiela się rozmawiać z nim w ten sposób? Postanowił jednak zachować jeszcze przez chwilę kulturalny, ale pełen wyższości i stanowczy ton.

- Proszę pana, w sprawach darowizn proszę się kontaktować z naszym działem...
- Jeśli pieniądze nie trafią na nasze konto, za godzinę wydarzy się wypadek. Wtedy pojmie pan nasze możliwości. Nazwijmy to małą prezentacją. Jeśli mimo tego nie będzie pan chętny, aby pomóc chorym dzieciom – głos Bauera ociekał sarkazmem – pana córka zginie.

Połączenie zostało przerwane.

Kotecki znieruchomiał ze słuchawką w dłoni. Drżał. To jakiś chory dowcip, pomyślał. Padłem

ofiara kretyńskiego dowcipu, to wszystko. Oglądał kiedyś w telewizji program „Na celowniku” poświęcony szantażom. Najważniejsze – powiedział jeden z zaproszonych do studia gości – to nie ulec szantażystom i jak najszybciej powiadomić policję.

To nie był dowcip, podpowiadał mu rozsądek.

Policja. Powiniennem zadzwonić na policję...

Już sięgał ręką po słuchawkę, ale się zawahał. A jeśli to był rzeczywiście kawał? Już widział te szydercze uśmiechy i tonę niepotrzebnie wypisanych papierów. Niegdyś skradziono mu samochód, wiedział zatem, co go czeka. Poza tym miał wszelkie podstawy, aby czuć się bezpiecznie. Jego dom na przedmieściach otoczony był wysokim parkanem i posiadał skomplikowany system alarmowy, uwzględniający możliwość szybkiej interwencji firmy ochroniarskiej. Podwórza strzegły dwa wielkie rottweilery. Jego córka dojeżdżała wszędzie samochodem. W dodatku jej plan dnia był zmienny i trudny do przewidzenia.

Powróciła myśl o głupim dowcipie zwolnionych z pracy robotników. Nie dam się zastraszyć smoluchom – pomyślał. – Idioci!.

Włączył laptop. Mimo wszystko zamierzał sprawdzić w Internecie, czy rzeczywiście istnieje fundacja, której nazwę usłyszał od tego bezczelnego typu. Okazało się, że tak. Strona była wykonana bardzo starannie. Umieszczono na niej zdjęcie radosnych dzieci sięgających po piłkę. Nad tym sielankowym obrazkiem górowało uśmiechnięte, obracające się słońeczko. Dyrektor poczuł, jak opuszcza go całe napięcie. Dowcipniś uznał, że go nabierze na coś tak durnego! Bo niby jaka fundacja uciekałaby się do szantażu, aby zdobyć środki finansowe? To by było na tyle, pomyślał, czując, że napięcie spływa z niego niczym woda z topniejącego lodowca. Tymczasem Erwin Bauer i Piotr Wettermann udali się pod adres ustalony w czasie wcześniejszej „pracy operacyjnej”.

Skończywszy zajęcia, Eliza Kotecka wróciła do domu. Wychodząc z samochodu, zupełnie nie zwróciła uwagi na zaparkowaną nieopodal czarną furgonetkę. Brama zamknęła się bezszelestnie, a tresowane psy kręciły się czujnie wokół jej auta. Słoneczna pogoda sprawiała, że była w doskonałym humorze. Po drodze wysiadła na moment z samochodu i kupiła wielkie, przeciwsłoneczne okulary. Czowała się teraz jak prawdziwa gwiazda. Miała nieodparte wrażenie, że lada chwila pojawi się tłum podekscytowanych reporterów, którzy tratując się nawzajem, zaczną pstrykać jej zdjęcia. W jej wyobraźni, właściwie nie wiadomo czemu, wszyscy ci dziennikarze przypominali przystojnych włoskich piłkarzy.

W domu panował przyjemny chłód. Teraz miała chwilę dla siebie. Przejrzała się w wielkim lustrze. Nie była zmęczona, a jednak wyobraziła sobie, że jest, wydymając usta w znudzonym grymasie, który podpatrzyła u jakiejś aktorki. Pod nogami plątał się jej wielki, śnieżnobiały kot, Mikser.

Zrzuciła z siebie ubranie i naga poszła do łazienki. Postanowiła przygotować sobie gorącą, relaksującą kąpiel. Kiedy parująca woda zaczęła napełniać ogromną wannę, usiadła na jej brzegu i z uwagą oglądała paznokcie u nóg. Zastanawiała się, czy lepiej będzie pomalować je na różowo, czy też może wybrać jaskrawą czerwień. Po namyśle zdecydowała się na to drugie. Czerwień wydała się jej bardziej seksowna i przykuwająca uwagę. Lubiła myśleć o sobie jak o „kobiecie

demonicznej” i „kobiecie uwodzicielskiej”. Wymyślała różne przymiotniki, które można by dodać do słowa „kobieta”. Przyszło jej do głowy „kobieta niepokorna” oraz – nie wiedzieć czemu – „kobieta miejska” i „kobieta plażowa”.

Nagle zdało się jej, że słyszy hałas dobiegający z parteru, jakiś rumor, jakby coś miękkiego i ciężkiego osunęło się na podłogę. Zakręciła wodę.

– Tato? – zapytała. Było jeszcze nieco za wcześnie na powrót ojca. Odpowiedziała jej głucha cisza. Już chciała na powrót odkręcić kran, kiedy nagle z parteru dobiegł głośny, metaliczny brzęk i coś, co przypominało głośnie sapnięcie. Tym razem nie mogło to być złudzenie.

– Mikser? – Była prawie pewna, że kot zlaźł na dół i rozrabia. Mimo to poczuła, że serce bije jej mocniej. Owinęła się w wielki niebieski ręcznik i wyszła na hol.

W domu panowała cisza, nie licząc dobiegającego z łazienki kapania wody. Gdy zaczęła schodzić po schodach, doznała wrażenia, że w domu jest jeszcze ktoś. W powietrzu wisiało coś niedobrego, coś, co sprawiło, że ręce pokryły jej się gęsią skórą. Jakaś złowroga obecność. Snopy słonecznego światła wpadającego przez okna, przefiltrowane przez półprzymknięte żaluzje nabrały dziwnej, purpurowej barwy, a przecież do zachodu słońca było jeszcze bardzo daleko. Postanowiła, że zawróci, pójdzie do sypialni na górze, zamknie się w niej i zadzwoni do ojca.

U podnóża schodów pojawił się kot. Miauknął głośno, żałośnie.

– Ach, głuptasie, nastraszyłeś mnie. Chodź do pańci.

Zbiegła po schodach, żeby wziąć Miksera na ręce, ten jednak wyrwał się i uciekł.

Nagle coś mokrego i oślizgłego niczym zimny wąż owinęło się wokół jej kostki. Krzyknęła przerażona. W tym samym momencie poczuła silne uderzenie w plecy, które sprawiło, że upadła. Strach i zaskoczenie były tym większe, że nie mogła dostrzec żadnego widzialnego napastnika. Poczuła, że coś łapie ją za włosy i gwałtownie ciągnie po podłodze. Zaczęła krzyczeć. To niemożliwe, myślała. To nie dzieje się naprawdę! Dyszała z przerażenia, starając się dojrzeć napastnika. Na jej nadgarstku pojawiło się nacięcie. Jedno, drugie. Trysnęła gęsta krew. Zupełnie jakby ktoś ciął ją niewidzialnym nożem. Ponownie krzyknęła, a kolejna rana pojawiła się na jej drugim przedramieniu. Czuła wyraźnie nacisk rozcinającego tkanę twardego ostrza. Krew zaczęła płynąć z ran, plamiąc parkiet. Zawsze bardzo bała się bólu, przerażała ją nawet zwykła wizyta u dentysty. Teraz miała wrażenie, że ktoś kaleczy ją niespiesznie, z wyrachowaniem. Po chwili wszystko ustało. Eliza leżała nieruchomo na ziemi, gwałtownie łkając z przerażenia i rozglądając się wokół.

Wtedy to usłyszała. Ciężkie kroki obchodziły ją kręgiem. Spróbowała podnieść się, ale w prawej stopie odezwał się przeraźliwy ból. Spojrzała na nią i zobaczyła, że jest wykręcona pod dziwnym, nienaturalnym kątem. Kroki zbliżały się i oddalały, zupełnie jakby ktoś niewidzialny bawił się jej lękiem.

Podpełzła w kierunku drzwi wejściowych. Poruszała się na czworakach, naga i pokaleczona. Każdy ruch sprawiał, że w jej kostce gwałtowną falą wybuchał pulsujący ból. Koniuszkiem palca dosięgła umieszczonego przy drzwiach przycisku i uruchomiła system alarmowy. Zdażyła jeszcze spojrzeć na pokryty wielkimi plamami krwi dywan. Przed oczami zawirowały jej ciemne

plamy. Osunęła się w niebyt.

Kiedy Kotecki zaparkował przed swoim domem, stały tam już dwa samochody grupy interwencyjnej.

Ochroniarze z firmy „Aramis” nie mogli dostać się na posesję, ponieważ po placu biegały dwa groźne psy. Postanowili więc obserwować dom i nie zawiadamić jeszcze policji, na wypadek gdyby alarm okazał się fałszywy.

Dyrektor pilotem otworzył bramę i uwiązał psy, które gniewnie spoglądały na przybyłych ochroniarzy, lecz posłusznie reagowały na każde skinienie pana. Dyrektor był niemal pewien, że do środka nie mógł się dostać żaden włamywacz. Dom przypominał twierdzę. Z drugiej strony bardzo niepokoiło go to, że nie mógł dodzwonić się do córki.

Jeden z ochroniarzy poprosił o klucz do budynku. Stwierdził, że procedury bezpieczeństwa wymagają, aby to on wszedł pierwszy. Kotecki dał mu klucze, ale zaznaczył, że idzie razem z nim i że żadne procedury go nie zatrzymają.

Drzwi zostały otwarte. Wszyscy na moment znieruchomieli. Dla Koteckiego był to wyjątkowo potworny widok. Na ziemi leżała jego zakrwawiona córka. Ochroniarz podbiegł do niej i sprawdził puls. Stwierdził, że dziewczyna żyje, że tylko straciła przytomność. Wezwano pogotowie. Dyrektor stał jak sparaliżowany, mimo że przecież powinien coś zrobić. I to jak najszybciej.

W tym samym czasie czarna furgonetka była już daleko. Wettermann czuł dojmujący chłód zięjący z tylnej części samochodu. Nie miał on nic wspólnego z instalacją klimatyzacyjną. Tak było zawsze, kiedy to się działo, kiedy On przychodził. Wettermann zawsze wolał unikać tylnej części auta, starał się nie myśleć o tym, co tam się znajduje, w przeciwieństwie do Bauera, który aż ślinił się na myśl, że znów będzie mógł wykonać swoją „małą pracę”.

Było jeszcze coś, co sprawiało, że Wettermann starał się trzymać z dala od sekretów, jakie kryła furgonetka. Miał wrażenie, że Bauer – przez te wszystkie lata chętnie obcujący z dziwnym, szkarłatnym blaskiem wydobywającym się z przypominającego kryształ kamienia oraz noszący przy sobie różne odrażające przedmioty – zmieniał się, zupełnie jakby przepelniało go jakieś wstrętne promieniowanie. Tego nie można było od razu dostrzec, ale jednak w pewien sposób stawał się coraz bardziej zimny, nieobliczalny i szalony.

Następnego dnia Kotecki nie miał najmniejszej ochoty jechać do pracy. Przyszło mu jednak na myśl, że znowu może dzwonić tajemniczy mężczyzna. Zamierzał jeszcze tego samego dnia złożyć doniesienie dotyczące szantażu i próby wyłudzenia okupu. Bał się jednak i postanowił grać na zwłokę. Jeśli mężczyzna zadzwoni – a był przekonany, że tak właśnie się stanie – poprosi go o numer konta. W ostateczności przeleje pieniądze. Dziesięć tysięcy nie stanowiło dla niego dużej kwoty, nawet gdyby miał je zapłacić z własnej kieszeni.

Telefon zadzwonił koło południa. Bauer nakazał mu przelanie dwunastu tysięcy na konto fundacji.

- Teraz dwanaście? – fuknął Kotecki. Był wściekły.
- Koszty manipulacyjne i odsetki – odparł szczerze ubawiony agent Organizacji.
- Przelew wyjdzie jeszcze dzisiaj... – Z trudem przełknął ślinę. – Może być niewielkie opóźnienie związane z księgowaniem pieniędzy na rachunku.
- Nie ma problemu. Jeszcze nieraz przekona się pan o naszej wspańiałości – odparł Bauer.

Kotecki odłożył słuchawkę. Nie wiedział, co począć. Postanowił wsiąść do samochodu i pojechać na komendę. Powinni znaleźć drani, którzy włamali się do jego domu, zaatakowali jego córkę i teraz go szantażują. Pierdolony afrykański busz!

*

– Według naszych ustaleń nie można mówić o włamaniu – komendant, z którym Kotecki zażądał bezpośredniej rozmowy, mówił spokojnym tonem, jeszcze bardziej drażniącym dyrektora. W komisariacie panował zaduch. Ściany w gabinecie były ciemnozielone, ozdobione archaicznym wzorkiem. Z oddali dobiegał odgłos pisania na mechanicznej maszynie. Na ścianie wisiał stary kalendarz przedstawiający uśmiechniętą policjantkę, przeprowadzającą przez pasy grupkę dzieci. Meble wchodzące w skład wyposażenia gabinetu wykonane były z taniej, jasnej sklejki. Wszystkie oznaczono sygnaturą, wypisaną w widocznych miejscach flamastrem.

Siedzący za biurkiem policjant był potężnie zbudowanym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Na jego otoczonym siwiejącymi włosami czole perliły się krople potu. Słyszalny oddech, przypominający sapanie miecha, zdradzał problemy z krążeniem.

– Słuchaj pan – rzucił Kotecki, siląc się w swoim mniemaniu na spokojny ton – moja córka wróciła z uczelni do domu. Została napadnięta i dotkliwie pobita. Jakiś sadystyczny skurwiel okaleczył ją, cudem wezwała pomoc. Boję się pomyśleć, co by się stało, gdyby nie zdołała na czas włączyć alarmu. Co mi pan, do cholery, wmawia, że nie było napadu?

– Proszę w takim razie wyjaśnić mi – odparł policjant – w jaki sposób napastnik dostał się do domu?

Było to oczywiste pytanie. Kotecki dobrze pamiętał zasuniętą bramę, biegające nieufne psy, zamknięte drzwi. Mimo to, pracując już kawał czasu na stanowisku szefa, nauczył się, że najlepszą obroną jest atak.

– Ja mam to wiedzieć? – powiedział groźnie. – To wy powinniście to wiedzieć!!! Może wszedł przez okno?!

Podniesiony ton o dziwo nie zrobił wrażenia na komendancie. Miało się nawet wrażenie, że policjant uśmiechnął się delikatnie, mrużąc jednocześnie oczy przed wpadającym do pokoju słońcem.

– Proszę nie podnosić głosu – odpowiedział cicho, jednocześnie rytmicznie posapując. – Wszystkie okna w pańskim domu były zamknięte od wewnątrz. Sprawdziliśmy to dokładnie. Przypominam, że w domu ma pan założoną klimatyzację, która nie pracuje najlepiej, jeśli okna są pootwierane. Poza tym nie wiem, w jaki sposób włamywacz ominął psy, jeśli stanowiły one dla ochroniarzy barierę nie do przebycia. Może uspił je grą na flecie? Nie wiem. Wiem za to, że poli-

cjant rozmawiał z pana córką w szpitalu. Dziewczyna twierdzi, że została zaatakowana przez niewidzialną siłę. Na pana miejscu wziąłbym pod uwagę umówienie córki z odpowiednim lekarzem specjalistą.

Kotecki zdębiał. Komendant natomiast mówił dalej:

– Rany na rękach najprawdopodobniej świadczą o nieudanej próbie samobójczej. W wannie była gorąca woda. Możliwe, że córka sama przestraszyła się tego, co zrobiła, i postanowiła wezwać pogotowie. Schodząc po schodach, poślizgnęła się, łamiąc nogę i tłukąc się. Przyzna pan, że z naszego punktu widzenia jest to wyjaśnienie znacznie bardziej prawdopodobne niż niewidzialna, atakująca ludzi siła.

– Ale moja córka nigdy... – wyjąkał dyrektor. – Była szczęśliwa. Dawałem jej wszystko...

– Proszę pana – policjant nieoczekiwanie przechylił się przez zasłane dokumentami biurko i ujął ramię dyrektora ciepłym, pełnym serdeczności, teatralnym gestem – ja sam mam córkę. Proszę mi wierzyć, pieniądze to nie wszystko, co możemy dać drugiej osobie. Często rodzice, właśnie tacy jak pan, pochłonięci ciężką pracą, zapominają, że najważniejsza jest nasza obecność i rozmowa z dzieckiem o jego problemach. Żyjemy nie tylko dla siebie, ale też dla innych. Radzę panu o tym pamiętać.

Kotecki wyszedł z komisariatu oszołomiony. Wsiadł do samochodu i pojechał odwiedzić córkę w szpitalu. Jeszcze tego samego dnia przelał całe dwanaście tysięcy na konto fundacji Słoneczne Dzieciństwo. Późnym wieczorem w domu dyrektora zadzwonił telefon.

– Dziękuję panu za przelew i wsparcie naszej działalności – oznajmił Erwin Bauer. – Żyjemy przecież nie tylko dla siebie... ale także dla innych. Jestem pewien, że nasza dalsza współpraca będzie bardzo udana. Prosimy pozdrowić również córkę i życzyć jej szybkiego powrotu do zdrowia.

Bauer rozłączył się i wybrał numer komendanta.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił go. – Organizacja będzie wdzięczna.

Potem przerwał połączenie i gdy policjant nie mógł go już słyszeć, dodał:

– Może pozwolą ci jeszcze trochę pożyć, zanim złapie cię nagły zawał serca.

Wettermann mógł obserwować, jak jego usta rozciągają się w pełnym satysfakcji paskudnym grymasie.

ROZDZIAŁ 3

Łukasz wiedział, że socjologia to niezbyt szczęśliwy wybór z punktu widzenia rynku pracy, ale studia były za to ciekawe. A to przecież też jest ważne. Zawsze trochę dziwili go ludzie, którzy wybierając kierunek edukacji, kierowali się jedynie opłacalnością zawodu, jaki będą w przyszłości wykonywali. Czy warto męczyć się przez pięć lat nad czymś, czego się nie lubi, jedynie po to, by w przyszłości robić to do końca życia? Nie odpowiadało mu takie podejście, chociażby w grę miały wchodzić spore pieniądze. Nie spodziewał się wtedy, że za takie właśnie myślenie życie wymierzy mu niedługo bolesną lekcję.

Pięć lat upłynęło bardzo szybko. Często jest tak, że kiedy przeżywamy jakiś szczęśliwy okres, nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę. Dopiero po pewnym czasie wspominamy miniony etap z przyjemnością, myśląc o nim jak o „tych dobrych dniach”. W przypadku czasu, który Łukasz spędził na studiach, było inaczej – potrafił cieszyć się każdą chwilą. Przez cały okres studiów musiał pracować na swoje utrzymanie. Były to kolejno prace sprzedawcy w sklepie odzieżowym, pomocnika w myjni samochodowej, kelnera, barmana, a także w czasie jednych wakacji – praca listonosza. Pomimo to zawsze starał się znaleźć czas na zakosztowanie studenckiego życia – spotkanie ze znajomymi w pubie czy środową rockotekę w zielonogórskim klubie „Cztery róże dla Lucienne”. Uwielbiał pręźnie rozwijające się studenckie kabarety i często był na ich przedstawieniach w „Kotłowni”.

Pracę magisterską obronił wcześniej, bo już w czerwcu 2005 roku. Nie chciał czekać do października. Wydawało mu się, że uzyskanie dyplomu ułatwi znalezienie pracy i stanie się przepustką do nowego rozdziału w życiu, do którego odnosił się z pewnym lękiem, ale też z dużymi nadziejami.

Wtedy nikt nie podejrzewał, że za kilka lat światowa gospodarka przeżyje załamanie i nastąpi kryzys. Mnóstwo ludzi brało kredyty. Można było pożyczyć naprawdę spore pieniądze, prawie na „piękne oczy”. Funt stał bardzo wysoko i wiele osób decydowało się na wyjazd do Anglii. Stańczyk również zastanawiał się nad taką możliwością, ale coś sprawiło, że pozostał w kraju. Może była to obawa przed ryzykiem związanym z wyjazdem, a może też wiara, że w Polsce również wiele można osiągnąć.

Mijały miesiące, a na podanie o pracę pisane przez młodego magistra socjologii nikt nie odpowiadał. Systematycznie odwiedzał Urząd Pracy, zaglądając do pozornie zapełnionych ofertami pracy gablot: murarz z grupą inwalidzką, portier, portier z grupą inwalidzką, galwanizer, pracownik ubojni. .. Praca była, ale zawsze kiepska. Zaczęła się konfrontacja z brutalną rzeczywistością. Jedyne zajęcie, jakie udało mu się znaleźć, to stanowisko sprzedawcy na stacji paliw. Całą zimę i wiosnę spędził za kasą i przy dystrybutorze. Nadal mieszkał, tak jak w czasie studiów, razem z Witkiem. Nie tak sobie to wszystko wyobrażał.

Niespodziewanie, pod koniec czerwca Łukasz otrzymał list polecony od ciotki Janiny. Mieszkała w Międzyrzeczu, ale sam nie był do końca pewien, kiedy widział ją po raz ostatni. Chyba przy okazji jakiegoś pogrzebu. W jego wspomnieniach wszyscy goście wydawali się nienaturalnie duzi, więc on sam musiał być wtedy mały. Nie pamiętał nawet jej twarzy. Napisała, że powinien szybko przyjechać. Wspominała o domu, który – jak wywnioskował z nieco pokrętej treści listu – miał dziedziczyć.

Łukasz nigdy nie spodziewałby się, że los pomoże mu w taki właśnie sposób. Nie miał rodzeństwa, rodziców stracił, będąc dzieckiem, a do czasu osiągnięcia pełnoletności opiekowała się nim babcia, która również zmarła. Później musiał radzić sobie zupełnie sam, wynajmując mieszkanie razem z Witkiem i poszukując dodatkowych prac z elastycznym grafikiem, który umożliwiłby równoczesną naukę.

Sprawa domu przedstawiała się wówczas jeszcze w sposób dość niejasny, ale to wystarczyło, by pobudzić wyobraźnię i entuzjazm Łukasza. Doszedł do wniosku, że najwyraźniej czas pracy na stacji paliw, gdzie przez długie miesiące musiał tankować paliwo wyniosłym synom bogatych

biznesmenów i pokornie dziękować za litościwe napiwki, dobiegł wreszcie końca i karta się odwróciła. Porzucenie pracy było decyzją lekkomyślną, ryzykowną, a jednak stanowiącą nieodpartą pokusę, a zdrowy rozsądek nigdy nie był jego najmocniejszą stroną. Mijały przecież letnie miesiące, które tak uwielbiał spędzać na wędrówkach po lesie. Radość z listu była więc podwójna. Po pierwsze, wyglądało na to, że otrzymał jakiś spadek, który zapewne uda mu się w miarę szybko spieniężyć, a pozyskane środki zainwestować. Po drugie, miał dobry pretekst, żeby rzucić harówkę na stacji i wyjechać gdzieś na parę dni. Jego entuzjazm wzrósł jeszcze bardziej, gdy po powrocie do kawalerki, siedząc przy komputerze i popijając zimny sok pomarańczowy, wpisał w wyszukiwarce hasło „Kursko”.

Kursko leżało kilka kilometrów od Międzyrzecza i liczyło sobie około trzystu mieszkańców. Miejscowość otoczona była gęstymi lasami, co Łukasz skonstatował nie bez zadowolenia. Turystyczną atrakcją stanowił również pałac, znajdujący się obecnie w rękach prywatnego właściciela. W okolicy były także trzy duże jeziora: Kursko, Długie i Chycina. Regionalną ciekawostką stanowiły niemieckie bunkry, pozostałość po Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym. Potężny system fortyfikacji zaczęto wznosić w latach trzydziestych. Podczas walk w czasie drugiej wojny światowej z nieznanymi do końca względów wykorzystano go tylko w niewielkim stopniu.

Łukasz nie zastanawiając się długo, napisał wypowiedzenie. Ponieważ pracował w ramach umowy-zlecenia, mógł zrezygnować z dnia na dzień. Postanowił wręczyć pismo nazajutrz kierownikowi stacji, dwudziestoletniemu chłopakowi, synowi właściciela. Kierownik, student zaoczny pierwszego roku marketingu, traktował wszystkich podwładnych z ostentacyjną wyższością. Myśl, że następnego dnia da mu wypowiedzenie, napępiała go lekką satysfakcją. Tak naprawdę cieszył się jednak tym, że wreszcie los uśmiechnął się do niego i przyszłość nie rysuje się w tak ciemnych barwach, jak mu się wydawało przez ostatnie długie miesiące.

Wieczorem w kawalerce zjawił się Witek, dźwigając pod pachą spore naręczce skserowanych książek. Zdumiony obejrzał list i razem z Łukaszem zasiedli przy komputerze, buszując w Internecie i odwiedzając rozmaite portale aukcyjne. Zastanawiali się, ile można by dostać za taką nieruchomość. Nie mieli pojęcia, w jakim jest stanie. Jednak dowiedzieli się, że domami w tej okolicy bardzo zainteresowani są Niemcy. Była więc szansa na utargowanie całkiem dobrej ceny.

Łukasz zaczął snuć domysły, co mógłby zrobić z pieniędzmi uzyskanymi ze sprzedaży. Oczywiście było ciut za wcześnie na takie rozważania, nie mógł się im jednak oprzeć. Witek z początku nieco powstrzymywał niepokonany entuzjazm przyjaciela, obawiając się, że sprawa okaże się niewypałem. Wieczorem jednak musiał wyjść na trening do zielonogórskiej sekcji krav magi, w której ćwiczył już od paru lat. Sztuka walki, w dodatku o tak niezwykłych, żydowskich korzeniach, pozwalała mu odpocząć od nauki i stanowiła ciekawą formę aktywności. Łukasz został sam z marzeniami i doszedł do wniosku, że najrozsądniejszym wyjściem byłoby otwarcie w mieście, być może właśnie w Zielonej Górze, własnego biznesu. Mógłby wtedy spokojnie zarabiać na życie, będąc samemu sobie panem. Nie wiedział wówczas, że za marzycielstwo i lekkomyślność przyjdzie mu jak zwykle zapłacić.

W drodze z Zielonej Góry do Międzyrzecza Łukaszowi towarzyszyło wspomnienie

zaskoczenia widocznego na twarzy kierownika stacji. W końcu rzadko zdarzało się, że pracownik zwalniał się sam. Dodatkowo, niby od niechcienia, Łukasz napomknął o otrzymanej wiadomości i obiecujących perspektywach na przyszłość. Podejrzał, że ta informacja popsowała szefowi humor na cały dzień.

Wyjechał wcześniej rano, ponieważ chciał możliwie szybko załatwić formalności i jeszcze tego samego dnia obejrzeć nieruchomość.

O tej porze ruch na szosie był niewielki. Jechał więc dość szybko, mijając od czasu do czasu grzybiarzy i sprzedawców jagód. W dwóch miejscach dostrzegł ogromne skupiska gipsowych krasnali ogrodowych.

Na miejscu był przed dziesiątą, zaliczając jeszcze postój w przydrożnym barze.

Rozmyślał o ciotce Janinie. Nie należała do bliskiej rodziny i dokładnego pokrewieństwa nie byłby w stanie nawet określić.

Ciotka Janina mieszkała w trzypiętrowej kamienicy. Do jej mieszkania prowadziły strome, drewniane schody. Wspinając się na górę, usłyszał, jak otwierają się jakieś drzwi. Zamknęły się jednak, zanim obrócił głowę. Przez otwarte okna umieszczone na półpiętrach wpadało słońce i słychać było gruchanie gołębi. Na jednych drzwiach dostrzegł duży, mosiężny numer 13. Zastukał energicznie.

Otworzyła mała, siwiuteńka kobieta, podpierająca się laską. Przez chwilę przyglądała się swojemu gościowi z pewną dozą nieufności, po czym w jej oczach ukazał się błysk zrozumienia.

– Wejdz, wejdz – zaprosiła Łukasza do mieszkania. – Napijesz się kawy? A może herbaty?

Wybrał herbatę. Kiedy ciotka podreptała do kuchni, miał troszkę czasu, by zerknąć na jej mieszkanie. Było to typowe lokum w starej kamienicy. Na ścianach, wyklejonych żółtkniętą tapetą, wisiało sporo obrazów. Dało się rozpoznać świętego Franciszka w otoczeniu ptaków, świętego Józefa Robotnika i świętą Cecylię siedzącą przy organach. W centralnym miejscu wisiał wielki obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę. Łukasz znał się trochę na świętych, gdyż jego babcia była osobą głęboko religijną.

Przez zakurzone okna wpadało niewiele światła, a w mieszkaniu panował zaduch. Na starych meblach leżało mnóstwo fotografii, czarno-białych i naznaczonych zębem czasu. Duży drewniany ścienny zegar tykał miarowo. Na krzesłach leżały jakieś ubrania, a po nich bezceremonialnie przechadzał się wielki, szary, spasiony kot z zielonymi oczami, wyglądający na klasycznego dachowca. Widać było, że to on sprawuje tutaj faktyczne rządy.

Rozległ się gwizd czajnika i ciotka powróciła z gorącą herbatą. Usiadła naprzeciwko Łukasza, a kot – jak na komendę – usadowił się wygodnie na jej kolanach i zaczął świdrować go wzrokiem. Oczy kobiety, kiedyś zapewne błękitne, nabrały wodnistego, mlecznobiałego zabarwienia. Prawa ręka drżała delikatnie, kiedy głąskała swojego pupila.

– Dobrze, że przyjechałeś – rzekła. – Jest parę spraw, o których chciałabym ci powiedzieć. Chodzi o stary dom w lesie, koło Kurska. Wiesz, że nie mam nikogo, więc pomyślałam o tobie. Jesteś młody, może ta chata na coś ci się przyda. Nie wiem za bardzo, w jakim jest teraz stanie. Nie zaglądałam tam od dawna. Tylko czasem jeździł tam pan Rysiek, jak go uprosiłam. Miły starszy pan, mieszkał na parterze. Zginął niedawno, jak jechał na tym swoim motorze przez las.

Podobno zasłabł, uderzył w drzewo... Robił, co mógł, by zadbać o dom.

Staruszka zamyśliła się, jakby gmerając w wymieszanej niczym zupa pamięci, ale po chwili mówiła już dalej.

*

– Kiedyś mieszkał tam twój wuj Bolesław, mój brat. Umarł po prostu, nagle... lekarze powiedzieli, że na serce. Pod koniec życia stał się odłudkiem. Wierz mi, kiedy żył, robił wszystko, żeby zniechęcić mnie do odwiedzin. Inni ludzie w ogóle bali się tam chodzić, miał napady szału. Wrzeszczał, że wszystkich pozabija, wymachiwał siekierą. Nie zawsze ta ki był, nie zawsze. Kiedyś rodzice byli z niego dumni. Dużo czytał, był ciekaw świata. W starej chacie było dużo książek... Po jego śmierci wyprzedałam je, żeby mieć na leki. Zaszył się w tej swojej samotni. Dzisiaj lekarze powiedzieliby – depresja, a może nawet coś poważniejszego. Kiedy czuł się gorzej, potrafił wspominać o szeptach i głosie, jaki rzekomo słyszał. Pokażę ci jego zdjęcie. Jesteś do niego bardzo podobny.

Ciotka wstała z trudem, otworzyła szufladę w kredensie i powróciła do stołu ze zdjęciem. Było ono czarno-białe i przedstawiało szczupłego człowieka na tle jakiegoś budynku. Rzeczywiście. Podobieństwo było znaczne, choć wuj Bolesław miał niewielkiego wąsa. Pomimo archaicznego stroju mężczyzny na fotografii Łukasz odniósł wrażenie, jakby patrzył na swoje własne zdjęcie, postarzone w komputerowym programie.

– Ponieważ jestem jego młodszą siostrą – kontynuowała ciotka – odziedziczyłam po nim ten dom... Ale ja go nie potrzebuję. Mnie on jest na nic. Za daleko od miasta. Jeśli chcesz, zapiszę go tobie, jeśli nie – ja nie mam siły ani ochoty, żeby się nim zajmować.

Łukasza odrobinę zdziwił ten zrezygowany ton. Samotne życie musiało odcisnąć na ciotce swoje piętno. Przez te wszystkie lata żyła zapomniana, na uboczu. Łukasz poczuł ukłucie winy. Przecież wiedział, że gdzieś tam jest jego ciotka, stara i samotna, co z tego, że daleka. Kobięcina chyba czytała w jego myślach, bo jej twarz nabrała bardziej ciepłego, przyjaznego wyrazu.

– Wierzę, że ten dom na coś ci się przyda. W okolicy chętnie osiedlają się Niemcy. To zawsze jakaś działka, która może mieć znaczną wartość. Pamiętaj tylko, by uważać na siebie. W lesie nie jest zbyt bezpiecznie.

Jeszcze tego samego dnia Łukasz pojechał ze staruszką do notariusza. Załatwienie formalności okazało się proste, ciotka najwyraźniej dobrze orientowała się we wszelkiego rodzaju sprawach urzędowych. Nic dziwnego – sporą część życia pracowała w Urzędzie Skarbowym w Międzyrzeczu. Po złożeniu niezbędnych podpisów Łukasz odwiózł ją do domu, a sam wyruszył do Kurska, chcąc czym prędzej obejrzeć chatę, która miała, jak wówczas sądził, odmienić jego życie na lepsze.

Po chwili namysłu Łukasz zdecydował się uchylić okno samochodu, w którym się ukrył. Pomyślał, że jeśli ktoś puka do wnętrza, to zapewne wie, że on jest w środku. Nawet gdyby ten ktoś miał złe zamiary, okazywanie strachu nie było najlepszą strategią.

- Kto puka? Czego chcesz? – zawołał, starając się ukryć drżenie głosu.
- Hej, panie... – usłyszał głos. – Żyjesz pan?

Zastanawiał się, co począć. W wyobraźni znów ujrzał ciemną postać, która napędziła mu takiego stracha. Z drugiej strony chowanie się w samochodzie nie miało sensu. Przecież jeśli facet miałby złe zamiary, to równie dobrze mógłby powybić szyby w wozie. Łukasz uznał, że byłby wtedy w podwójnie złej sytuacji, schwytany w pułapkę i pozbawiony możliwości ucieczki. Jeśli natomiast wysiądzie, będzie mógł zobaczyć, z kim ma do czynienia. Znajdzie się na otwartej przestrzeni, więc zyska przynajmniej jakąś szansę ucieczki – kombinował w myślach. Zebrał się więc na odwagę, odblokował drzwi, otworzył je gwałtownie i możliwie szybko wy dostał się z wozu.

Oślepiło go światło latarki. Stojący przed nim człowiek miał koło sześćdziesiątki, roboczą flanelową koszulę i czapkę z daszkiem na głowie. Wyglądał jak robotnik pracujący przy wycince drzew.

– Żyjesz pan? – powtórzył. Generalnie nie sprawiał wrażenia groźnego. Zagwizdał i zaraz zjawił się u jego boku spory wilczur. Najwyraźniej to on tak przestraszył Łukasza.

– Miałem wypadek – wyjaśnił Łukasz. – Auto utknęło bocznymi kołami w rowie i nie mogę go wyciągnąć.

– Teraz nic nie zrobimy – odparł mężczyzna. – Za ciemno. Chodź pan ze mną do domu, przenocujesz pan i rano się auto wyciągnie. Daleko jedzie?

– Do Kurska.

– Do Kurska... – powtórzył jakby z namysłem. – Zresztą nie moja sprawa.

– Przy okazji zdążyłem się zgubić – wyjaśnił Łukasz. – Zdawało mi się, że w lesie słyszę wołanie. Myślałem, że ktoś woła o pomoc.

Mężczyzna przystanął na moment.

– Jak takie coś słyhać, to się nie trzeba oglądać ani zbaczać z drogi, tylko szybko przed siebie iść – stwierdził.

– Przecież ktoś mógł naprawdę potrzebować pomocy.

– Mówię przecież, że w las lepiej nie wchodzić.

Milczeli przez resztę drogi. Łukasz zastanawiał się, czy dobrze robi, korzystając z zaproszenia nieznajomego. Na wszelki wypadek starał się iść cały czas za nim, w bezpiecznej odległości. Przyglądał mu się uważnie. Chłop nie był już młody, ale w jego ruchach widać było sprężystość i siłę. Pewnie całe dni spędzał na ciężkiej, fizycznej pracy w lesie. Na plecy zarzucony miał tłumok, ale trudno było ocenić, co mogło znajdować się w środku. Chyba jestem przesadnie podejrzliwy, pomyślał Łukasz.

Między drzewami pojawił się złoty blask. Mały drewniany dom stał wśród drzew, a nad drzwiami wejściowymi paliła się zawieszona na kablu żarówka.

– Wejdz pan. Po schodach w górę jest mały pokoik. Tam można przenocować, a rano coś się pomyśli z tym samochodem.

– Jeszcze go kto ukradnie – usiłował żartować Łukasz.
– Tutaj ludzie po nocy nie chodzą. Boją się – odparł całkiem poważnie gospodarz.
– Boją się? – Chciał chłopą pociągnąć trochę za język, głównie po to, by wyczuć, czego może się po nim spodziewać. – A czego? Duchów?

Facet przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz się rozmyślił.

– Tam, na górę, po schodkach – powtórzył i odwrócił się plecami, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Stańczuk wdrapał się po skrzypiących schodach, nad którymi królowało wielkie poroże jelenia. Schody, drzwi i ściany w budynku były wykonane dość topornie. Wyglądało na to, że dom w dużej mierze samodzielnie zbudował jego mieszkaniec. Sufit sporządzono z desek, podobnie jak drzwi do pomieszczenia, gdzie miał spać. Popukał w ściankę działową. Zdawało się, jakby była wykonana z tektury lub gipsu. Pokoik był malutki, a na całe jego wyposażenie składało się łóżko i miniaturaowa szafka. Kiedy wyprostował się, jego głowa niemal dotykała sufitu. Po chwili pojawił się gospodarz.

– Herbata, kanapki, koc – oznajmił lakonicznie, kładąc herbatę i plastikową tackę z kanapką na szafce, a kraciasty koc na łóżku. Łukasz nie zdążył nawet podziękować, bo mężczyzna wyszedł.

Zjadł kanapki, które pokryte były czymś w rodzaju rozdrobnionej kiełbasy. Domyślił się, że musi to być jakiś lokalny przysmak. Uchylił malutkie okienko i do pokoiku wleciało świeże powietrze. Drzwi do pomieszczenia nie miały nawet klamki z prawdziwego zdarzenia, a jedynie drewniany kołek. Brakowało jednak rygła, więc ich zamknięcie było niemożliwe. Padł na łóżko i przez dłuższą chwilę nasłuchiwał. Nie miał zamiaru spać, ale szybko uświadomił sobie, że jest zbyt zmęczony.

Obudził go poranny chłód i zapach rześkiego powietrza. Zerwał się na równe nogi, w pierwszej chwili nie do końca przypominając sobie, gdzie jest. Malutkie okienko jaśniało jaskrawym światłem. Spróbował przez nie wyjrzeć, ale dostrzegł jedynie drzewo. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że dochodzi ósma. Ubierając się, myślał tylko o tym, aby jak najszybciej odszukać właściciela i zorganizować wydobycie samochodu.

Gospodarza znalazł na zewnątrz, zajętego karmieniem psa. Ogromny wilczur, tym razem przypięty na łańcuchu, powitał Łukasza krótkim warknięciem, ale zaraz się uspokoił.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie Stańczuk. – Znajdzie się w okolicy ktoś z samochodem? Wie pan... troszkę się śpieszę, zależy mi na czasie... Chciałbym też wiedzieć, ile to będzie kosztowało...

– Dobry – powiedział chłop, odwrócił się, kompletnie ignorując pytanie i gdzieś poszedł. Po chwili wrócił, prowadząc konia za uzdę. Minę miał taką, jakby cieszyło go zdziwienie miastowego.

– Koń? – spytał Łukasz.

– Ano – odparł i ruszył przed siebie, nie zadając sobie nawet trudu, by obejrzeć się i sprawdzić, czy jego gość podąża za nim.

Po jakichś dwudziestu minutach dotarli na miejsce. Samochód leżał nietknięty, w takim stanie,

w jakim był pozostawiony. Na karoserii lśniły wielkie krople porannej rosy. Zapowiadał się piękny dzień, niebo było błękitne, a po lesie rozchodził się oszałamiający świergot ptaków. A jednak gdy Łukasz podszedł bliżej, wzdrygnął się. Spozrzegł na przedniej szybie delikatne odciski dziecięcych dłoni i kilka większych, należących jakby do dorosłego. Nie było jednak czasu na zastanawianie się, kto w nocy kręcił się koło wozu.

Chłop stanął w rozkroku, złapał się pod boki i przez chwilę miał taką minę, jakby w swoim życiu wydobył z rowów setki samochodów. Następnie z torby zarzuconej na ramię wyciągnął zwój solidnej liny. Jeden koniec przywiązał do uzdy konia, a drugi do haka holowniczego. Gestem dał Łukaszowi do zrozumienia, że koń, choć silny, może sam nie dać rady. Stańczuk wsparł się więc o auto obiema rękami i czekał na sygnał. Małomówny dobroczyńca klepnął konia energicznie w bok i gwizdnął przeciągle, samemu również ciągnąc za linę. Po krótkiej chwili auto stało znów na leśnej drodze.

– Bardzo panu dziękuję.... – powiedział, wyciągając portfel.

– Zobacz, czy chodzi – stwierdził rzeczowo chłop, tym samym dając do zrozumienia, że pieniąż jako rzecz przyziemna nie jest godzien najwyższej uwagi.

Ku radości Łukasza po wduszeniu sprzęgła i przekręceniu kluczyka silnik prawie od razu zaskoczył. Stańczuk jeszcze raz podziękował i odjechał, pozostawiając mężczyznę bogatszego o pięćdziesiąt złotych.

ROZDZIAŁ 5

Kursko jest niewielką, malowniczą wioską liczącą około trzystu mieszkańców. To jeden z niewielu atrakcyjnych turystycznie zakątków, gdzie panuje jeszcze cisza i spokój. Czas płynie tu wolno, a wielu młodych opuszcza rodzinne strony, przenosząc się do większych miast. W weekendy nad Jeziorem Kurskim spotkać można nielicznych przyjezdnych rybaków, ci jednak szybko powracają do miasta, pozostawiając po sobie opustoszałą, porośniętą trawą zatoczkę i sklecone z desek pomosty.

Jadąc kamienną drogą, Łukasz dostrzegł kilkanaście domów, dość ładnych i zadbanej, jak gdyby wrośniętych we wszechobecny las. Wiele z nich sprawiało wrażenie starych, odremontowanych budynków. Kilka jednak wyglądało, jakby wybudowano je całkiem niedawno. Później wyboista droga urywała się i znów przechodziła w wygodny asfalt, koło drewnianego, przystrojonego kolorowymi wstążkami krzyża. Jego uwagę przykuł duży pałac. Rusztowania oraz stojąca przed nim betoniarka sugerowały, że jest on obecnie w remoncie. Na ogrodzeniu przymocowano tabliczki informujące, że jest to teren prywatny. Nieopodal znajdował się betonowy przystanek, ustawione w szeregu niebieskie skrzynki na listy, jakiś spory opuszczony budynek z czerwonej cegły oraz coś, co wyglądało na zapomniany i nieczynny od dawna kiosk Ruchu.

Ciotka Janina z grubsza wytłumaczyła mu, jak dostać się do starej chaty, wspomniała, że ma kierować się „na Moczary”. Jednak w rzeczywistości wszystko przedstawiało się jakoś inaczej.

Musiał spytać o drogę. Przed jednym z domów zauważył młodą, jasnowłosą kobietę. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Ubrana była w wytarte dżinsy i białą bluzkę bez rękawów.

– Przepraszam, którędy do Moczarów, do starej chaty? – zapytał, podchodząc do ogrodzenia. W przydomowym ogródku bawiło się trzyletnie dziecko.

– Do Moczarów? – zdziwiła się. Stańczyk miał nawet wrażenie, że w jej oczach zobaczył niepokój. – A czemu o Moczary pytasz?

To pytanie zbiło go z tropu. Nie zamierzał opowiadać kobiecie swojej historii, był bowiem pewien, że cała wioska wiedziałaby od razu, że zjawił się ktoś obcy.

– Chcę rozejrzeć się za jakimś domem w okolicy... jakąś działką – odrzekł. – Chciałbym w coś zainwestować w okolicy.

– I dlatego chcesz jechać na Moczary? – Blondynka przyjrzała mu się rozbawiona. Zdawało się jednak, że pod tym rozbawieniem kryje się jeszcze coś innego, jakby nieufność i lęk. – Tam nic nie ma.

– Wie pani, to takie rodzinne sprawy, nie chciałbym wchodzić w szczegóły. Po prostu ktoś doradził mi, żebym tam pojechał i się rozejrzał.

Bawiący się w ogródku malec rozpląkał się gwałtownie z jakiegoś powodu i kobieta w jednej chwili straciła całe zainteresowanie osobą gościa.

– Trzeba jechać tą asfaltową drogą w dół, potem będzie taka leśna droga, po prawej. Trzeba się jej trzymać – rzuciła za siebie, odchodząc.

Podziękował i wrócił do samochodu. Kątem oka dostrzegł, jak w oknie pobliskiego domu porusza się firanka, a jakaś twarz znika dokładnie w momencie, w którym ją dostrzegł.

Zakreślił energicznie kierownicą i ruszył asfaltową drogą, którą wskazała mu kobieta. Z początku opadała ona w dół, a potem znów gwałtownie pięła się w górę. Jechał tak z dziesięć minut, mijając częściowo ukryte wśród drzew domki letniskowe i delektując się widokiem rozłożystych koron dębów, które spletały się w górze, tworząc coś na kształt zielonego, liściastego sklepienia, przez które przebijało słońce.

Wtedy zdał sobie sprawę, że nie zapytał kobiety o sklep. Była to rzecz ważna, wręcz strategiczna, ponieważ nie wiedział, jak rozwinie się sytuacja. Kto wie – może nawet spróbuje przenocować w leśnym domostwie? Teraz nie było jednak nikogo, kogo dałoby się zapytać o drogę.

Pomyślał, że mógłby wykorzystać telefon. Zerkając na wyświetlacz, zauważył, że na drodze zasięg się pojawił. Zatrzymał auto na poboczu. Nie miał co prawda Internetu w telefonie, swojej kultowej, lecz przestarzałej już nieco nokii, ale przecież mógł poprosić o pomoc Witka. Wybrał numer i chwilę czekał.

– Cześć – odezwał się przyjaciel. – Jak tam w leśnych ostępach? Znalazłeś już jakieś ukryte, poniemieckie skarby?

– Nie, ale słyszałem ducha. Później okazało się, że to ptak. Zgubiłem się, ale na szczęście nie na zawsze. Potem jakiś człowiek przenocował mnie i pomógł mi wydobyć samochód.

– Widzę, że nie próżnujesz – skomentował Bizon. – Nie mogłeś wezwać pomocy przez telefon?

– Tu nie ma zasięgu, i to w wielu miejscach.

- Sądziłem, że w dzisiejszych czasach zasięg łapie się nawet na Księżycu.
 - Słuchaj – zmienił temat Łukasz. – Szukam sklepu spożywczego. Może w Internecie jest jakaś wskazówka, gdzie go znaleźć?
 - Już sprawdzam – odparł Witek. – Akurat siedzę przed kompem.
 - Oglądasz gołe baby?
 - Zgadłeś. Czytam właśnie o procesach czarownic, a gołe baby skwierczą na stosie. Ale wyjątkowo, dla ciebie, przerwę to frapujące zajęcie.
 - Jestem wzruszony – odparł Łukasz.
- Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza, w której dało się dosłyszeć delikatne klikanie.
- Masz sklep spożywczy w Nowym Kursku – zabrzmiał optymistycznie głos Witka.
 - Zauważyłem drogowskaz przy skrzyżowaniu – przypomniał sobie Łukasz.
 - No widzisz. Życie jednak nie jest aż tak skomplikowane, na jakie wygląda. To niedaleko. Na mapce zaznaczono, że jest koło kościoła i remizy strażackiej, zatem to chyba Kursko Center.
 - Dzięki za pomoc.
 - Bywaj. I informuj mnie o rozwoju sytuacji, znalezionych skarbach, podziemiach, a także zauważonych duchach.
 - Nie omieszkam. Nie oglądaj za dużo gołych bab, nawet jeśli to czarownice – zażartował Łukasz i się rozłączył.

Zawrócił i dodał gazu. Był niemal pewien, że zdoła odnaleźć skręt w las, o którym mówiła kobieta. Zrobienie zapasów jedzenia wydawało mu się teraz jednak kwestią priorytetową, a jego żołądek zdawał się podzielać tę przyziemną opinię. Minał przystrojony krzyż. Jechał kilka minut prosto, by w końcu znaleźć się na wiodącej przez otwartą przestrzeń drodze.

Nowe Kursko to wioska podobna do samego Kurska, jednak więcej jest tu pól i gospodarstw, a las zdaje się być w tej okolicy w defensywie, ustępując nieco miejsca terenom rolniczym.

Kościół znajduje się na wzniesieniu, jest niewielki i ładnie komponuje się z okolicą, głównie dzięki malowniczej, kwadratowej wieżyczce. Za kościółkiem można dostrzec mały cmentarz. Nieopodal mieści się remiza, sprawiająca wrażenie wymarłej, oraz sklep spożywczy.

Za ladą sklepu królowała kobieta około pięćdziesiątki. Ufarbowane na blond włosy miała spięte w duży kok. Samo pomieszczenie było przestronne, a obok artykułów spożywczych znajdowały się tu również artykuły chemiczne i gospodarstwa domowego.

- Dzień dobry – rzucił.
- Dzień dobry – odparła sprzedawczyni, przyglądając mu się z zainteresowaniem i pewną nieufnością.
- Poproszę chleb. Nie, dwa chleby, krojone. – Łukasza tknęło nagle jakieś przeczucie. W końcu zaliczył już jedną nieprzewidzianą przygodę. Kto wie, czy z jakiegoś powodu nie będzie musiał w starej chacie posiedzieć nieco dłużej? – I masło. Wędlinę, w plasterkach. I dwie konserwy. Ser żółty. Dwie duże butelki wody mineralnej. Niegazowanej. I dwie butelki Żubra.

Kobieta podliczyła należność i spakowała zakupy do foliowej torby. Stańczuka naszła ochota, by pociągnąć ją za język, dowiedzieć się czegoś o okolicy.

- A co to za kościół? – zapytał.

– Świętego Antoniego Padewskiego – odrzekła sprzedawczyni. – Parafia jest w Templewie.
– Aha. – Łukasz nie miał pojęcia, gdzie jest Templewo. – Ładna okolica. Pewnie dużo tu Niemców i turystów...

– Czy ja wiem, czy dużo? Ale ludzie się kręcą, przyjezdni.
– Jak nie Niemcy i nie turyści, to jacy przyjezdni?
– Kręcą się różni po okolicy, tacy miastowi. Nie turyści ani bunkrowcy, bo tych na milę poznam. Wojskowi jakby jacyś. Są też tacy, co na urzędników wyglądają.

Łukasz mimowolnie się uśmiechnął. Myśl, że do Kurska mogliby przyjeżdżać „wojskowi” lub „urzędnicy”, wydała mu się w pewien sposób fantastyczna. Widać kobiecie się nudzi i lubi ubarwić nieco rzeczywistość. Sprzedawczyni jednak nagle poczerwieniała na twarzy. Przyjrzała mu się badawczo, a w jej oczach zagościł lęk.

– Muszę sprzątać. Dostawa przyszła. Ja tam nic nie wiem. Kto tu jeździ i po co. – Ostentacyjnie zaczęła przekładać słoiki na półce, jakby dając do zrozumienia, że nic poza nimi nie mogłoby jej zainteresować oraz że rozmowa dobiegła do końca.

– Do widzenia – powiedział Łukasz, świadomy, że być może jeszcze będzie musiał tu wrócić. Zachowanie kobiety zaskoczyło go, ale złożył je na karb lekkiego zdziwienia.

Odpowiedziało mu milczenie i stukot przekładanych słoików. Sprzedawczyni najwyraźniej chciała stworzyć wrażenie, że choćby rozbrzmiały trąby Sądu Ostatecznego, ziemia zatrzęsa się, a z piekielnych czeluści wypęłzył Lewiatan, nic nie byłoby w stanie oderwać jej od pracy.

ROZDZIAŁ 6

Jadąc do starej chaty, Łukasz starał się jakoś zaplanować resztę dnia. Było już dobrze po południu. Nie spieszył się oczywiście nigdzie i w gruncie rzeczy traktował cały wyjazd jak przygodę. Zdał sobie jednak sprawę, że nie jest przygotowany do noclegu w nieznanym domu. Podszedł do tego wszystkiego po prostu lekkomyślnie. Nie miał ze sobą ani śpiwora, ani latarki. Nie wiedział, jakie warunki mogą panować w starej chacie. Pocieszył się jednak, że w najgorszym wypadku może na noc wrócić do Międzyrzecza i przenocować u ciotki albo nawet przespać się w samochodzie.

Dziesięć minut od momentu, kiedy minął krzyż, dostrzegł zapuszczoną leśną drogę odbijającą w las. Nie mieściło mu się w głowie, że wuj Bolesław mógł kiedyś mieszkać na takim odludziu. Zwolnił, gdyż na drodze leżało mnóstwo gałęzi. Z pewnością od dawna nikt tędy nie przejeżdżał.

Już myślał, że znowu zablądził, gdy nagle jego oczom ukazał się drewniany budynek. Zatrzymał się na skraju polany i wyłączył silnik. Zabrał z tylnego siedzenia plecak, a następnie wysiadł z samochodu. Na pierwszy rzut oka drewniany parterowy domek wydawał się w całkiem dobrym stanie. Zbudowany z grubych bali, ze spadzistym, pokrytym drewnianym gontem dachem i zamkniętymi okiennicami, wyglądał solidnie. Łukasz zastanawiał się, czy na pewno trafił we właściwe miejsce. Postanowił to jak najszybciej sprawdzić.

Proste drzwi wykonano z grubych desek, których solidne sęki i słoje przypominały ludzkie

twarze unieruchomione w drewnie magicznymi mocami przyrody.

Zauważył również, że futryna nosi ślad lekkiego wgniecenia, zupełnie jakby próbowano się tu kiedyś włamać. Stańczuk wsunął w zamek klucz, który otrzymał od ciotki, i zapadka przekręciła się gładko. Z bijącym sercem otworzył na oścież skrzypiące drzwi i wszedł do środka.

W pomieszczeniu było ciemno. Zaraz za drzwiami wejściowymi znajdował się mały przedsionek, a z niego wchodziło się do całkiem sporego pokoju. Łukasz odruchowo rozejrzał się za włącznikiem światła. W starej chacie nie było jednak elektryczności.

Prawie po omacku udało mu się dotrzeć do okna i otworzyć okiennice. Do środka wpadło jasne światło dnia, a Stańczuk mógł bez przeszkód przyrzeć się wnętrzu. Wbrew temu, czego się spodziewał, nie było tu jakoś szczególnie ponuro. Ściany pokoju pomalowano na biało, wisiało na nich kilka prostych ozdób – kilimek z wizerunkiem przeciągającego się kota, wypleciony z wikliny motyl i jakieś stare obrazki przedstawiające kwiaty. Gdyby nie gruba warstwa kurzu pokrywająca przedmioty, można by dojść do wniosku, że właściciel wyszedł tylko na chwilę. Pan Rysiek, kiedy jeszcze żył, musiał porządnie dbać o to miejsce.

Na środku stał prosty drewniany stół i trzy krzesła. Błat przykryty był szarym obrusem, na którym postawiono szklany wazonik. W rogu pokoju znajdował się duży kafłowy piec, a przy nim łóżko. Pod jedną ze ścian stała potężna, wykonana z ciemnego drewna szafa.

Dziwne było to, że nikt do tej pory niczego stąd nie ukradł. Wgniecenie na futrynie mogło sugerować, że w przeszłości podejmowano próby włamania, choć z niewiadomych powodów musiały zakończyć się niepowodzeniem. Łukasz pomyślał, że pewnie niewielu ludzi w ogóle wie o istnieniu tej starej chaty.

Z plecaka wyciągnął aparat i zrobił kilka zdjęć wnętrza, po części by udokumentować swój przyjazd, lecz również z myślą o sprzedaży domu.

Bezpośrednio z pokoju wchodziło się do kuchni. Tutaj także znajdował się węglowy piec, ale niski, przystosowany do gotowania, z dużą blachą i fajerkami na górze. Staromodny kredens, niewielki stolik i dwa krzesła dopełniały wystroju wnętrza. I tu Łukasz otworzył okno i okiennicę. Dopiero teraz z całą wyrazistością zdał sobie sprawę z ciszy i spokoju, jakie panują w tej okolicy. W oddali śpiewały ptaki, a on pierwszy raz w życiu czuł się jak prawdziwy gospodarz we własnym domu. Było to wyjątkowo przyjemne uczucie.

W jasnym świetle dostrzegł umieszczoną w podłodze dyskretną klapę. Schylił się, podniósł ją i zobaczył małą piwniczkę, na której dno prowadziła drabinka. Pomieszczenie służyło zapewne do przechowywania zapasów.

Wyszedł na zewnątrz i zrobił kilka zdjęć budynku z większej odległości. Wszędzie wokoło roztaczał się gęsty las, chociaż dało się zauważyć kilka ścieżek. Być może wydeptali je grzybiarze lub po prostu zwierzęta. Przynależał sobie, że niedługo sprawdzi, dokąd prowadzą.

Nieopodal chaty stał zбитy z desek wychodek. Stara, zapewne niegdyś zielona farba teraz odłaziła z niego płatami, zaświadczając o długich upalnych latach i deszczowych jesieniach.

Na tyłach, pod lasem znajdowała się studnia, przykryta spróchniałymi deskami. Kiedy Łukasz

je zdjął i zajął w głąb, w dole dostrzegł własne odbicie w migoczącym lustrze wody. Nad studnią zamontowany był nadgryziony zębem czasu kołowrót z nawiniętą na niego liną. Brak wiadra nie stanowił problemu – w kuchni Łukasz zauważył aż trzy, włożone jedno w drugie.

Nagle, zaglądną do studni, dostrzegł w lustrzanym odbiciu, że za jego plecami ktoś stoi. Obejrzał się gwałtownie, ale nikogo nie dostrzegł. Przed oczami tańczyła mu tylko ciemna plamka, pozostałość po migoczącym w głębi studni słonecznym blasku. To tylko złudzenie, pomyślał.

Po krótkim rozpoznaniu terenu wrócił do chaty. Cisza była teraz jakaś inna niż pierwotnie, jakby pełna wyczekiwania na coś lub na kogoś.

Wyciągnął z plecaka laptop i postawił go na stole. Miał go właśnie uruchomić, kiedy posłyszał dobiegające z kuchni skrobanie. Jakby mysz albo szczur. Łukasz nie bał się gryzoni, a jednak świadomość, że coś podobnego będzie biegło po pokoju, gdy on smacznie zaśnie, zmotywowała go do działania.

*

Kiedy wszedł do kuchni, skrobanie ani na chwilę nie ustało, mimo że podłoga trzeszczała pod jego stopami. Gryzoń najwyraźniej nic sobie nie robił z obecności właściciela. Łukasz zorientował się, że dźwięk dobiega zza starego kredensu.

Postukał groźnie pięścią w mebel. Odgłos ucichł, ale jedynie na chwilę. Później do skrobania dołączyło jakby ciche kwilenie. Nie było wątpliwości, że za kredensem coś się zaległo, być może cała szczurza rodzina. Świetnie, pomyślał. Po prostu pięknie.

A potem napał na mebel. Odsuwał go od ściany centymetr po centymetrze, odsłaniając zakrytą pajęczynami przestrzeń. Chrobotanie i piski ucichły, ale Łukasz dalej działał. W pewnej chwili dostrzegł, że w ścianie, przy podłodze, znajduje się dziura.

Zdeterminowany rozejrzał się za odpowiednim przedmiotem, by ją zatkać. Najlepszy byłby kamień, stwierdził, po czym pośpiesznie wyszedł na zewnątrz i odszukał odpowiedni. Ważąc go w dłoni, wrócił do chaty. Następnie zanurzył rękę w przestrzeń między meblem a ścianą. Ta zaczęła się kruszyć pod naciskiem jego ramienia. Kawałeczki tynku odpadały z łoskotem.

Łukasz cofnął się zdziwiony. Chata albo była w gorszym stanie, niż sądził, albo gryzonie poczyniły w tym miejscu znaczne spustoszenie. By ocenić rozmiar uszkodzeń, oderwał fragment ściany. Przyszło mu to nadszpedzowanie łatwo, a pod spodem powstała pusta przestrzeń.

Wyglądało na to, że natrafił na zamurowaną skrytkę. Pusta przestrzeń stanowiła dla gryzoni świetną kryjówkę.

W środku znajdował się jakiś przedmiot. Łukasz zanurzył rękę w wyrwie i po kilku nieudanych próbach udało mu się wydobyć czarną, skórzaną walizkę. Biorąc pod uwagę, że spoczywała w sąsiedztwie gryzoni i była zamurowana w ścianie, to jej stan przedstawiał się całkiem dobrze. Skóra była w wielu miejscach poprzegryzana, pokryta dziwnym, organicznym nalotem i popstrzona odchodami, ale generalnie walizka nadal trzymała się kupy.

Chrobotanie i kwilenie się nie powtórzyły.

Stańczyk położył znalezisko na podłodze. Przez głowę przelatywały mu myśli o ukrytym

skarbie, starych dokumentach lub broni. Ostrożnie otworzył walizkę. W środku znajdował się jedynie stary, pożółkły brulion wypełniony odręcznym pismem oraz niewielka, szklana kulka, jakich zapewne niegdyś używało się do zabawy. Wziął ją do ręki i prawie natychmiast poczuł dziwne ciepło narastające w dłoni. W pierwszej chwili chciał odłożyć przedmiot na swoje miejsce, lecz uczucie, choć intensywne, było w pewien sposób przyjemne. Zdało mu się, że ciepło rozlewa się na całe jego ciało, zmienia się w białe światło. Przymknął oczy. W jednej chwili pogrążył się jakby w półśnie, jednak, o dziwo, uczucia i emocje, jakie odczuwał, były intensywniejsze niż na jawie. Jego umysł zaczął tworzyć obrazy. Oglądał je niemal tak, jakby były na wyciągnięcie ręki. Z początku wydawały mu się przypadkowe i niczym niepowiązane. Widział dzieci trzymające się za ręce; jedno z nich płakało, a drugie próbowało je pocieszyć, człowieka wpadającego do płonącego budynku, matkę tulącą do piersi nowo narodzone dziecko, lekarza ratującego chorego, parę starszków trzymających się za ręce... Obrazy rozmywały się i przechodziły jeden w drugi, ale czuł, że to nie one są ważne, ale to, co je generuje, co jest pod powierzchnią... ciepło, światło, jedność, czysta biała energia... gęsta, słodka niczym syrop. Emanująca z obrazów miłość była niemal przytłaczająca. Całą siłą woli zmusił się do rozwarcia palców. Kulka z łoskotem upadła na ziemię.

Dobłą minutę dochodził do siebie. Czasem miewał podobne odczucia. Nieraz były one pozytywne, wiele jednak przedmiotów napełniało go niezrozumiałym lękiem. Do tej pory sądził, że jest to wynik pewnego rodzaju wybujałej wyobraźni. Nigdy jednak emocje nie były tak silne jak teraz. Wreszcie szybko, starając się zamknąć umysł na niezwykłą emanację kulki, złapał ją i wrzucił na powrót do walizki.

Jak najszybciej chciał zapoznać się z treścią brulionu, licząc, że znajdzie w nim jakąś wskazówkę dotyczącą pochodzenia niezwykłego przedmiotu.

Zapadał zmrok i w chacie robiło się ciemno. Samotny nocleg w domu na odludziu, w kompletnych ciemnościach, nie wydawał się zbyt budującą perspektywą. Znalezienie walizki napełniało go niepokojem, miał dziwaczne uczucie, że zdarzenie było w pewien sposób nieprzypadkowe, że oto upuścił kamyczek, który wywołać może lawinę nieprzewidzianych zdarzeń.

Zaczął przetrząsać kredens w kuchni. Na jednej z półek znalazł pokaźnych rozmiarów lampę naftową. Jej klosz wykonany z pożółkłego, grubego szkła ochraniała metalowa siatka. Z taką lampą śmiało można było wędrować nawet przez las w czasie wietrznej pogody, zwłaszcza że miała u góry wygodny uchwyt. Z głębin starego kredensu wydobył sporą butlę wypełnioną naftą. Według pobieżnej oceny, przy oszczędnym użytkowaniu, taki zapas mógł spokojnie starczyć na kilka nocy.

Łukasz postawił lampę na stole i wypełnił po brzegi zbiornik naftą. Namoczył w niej również knot. Rozejrzał się za zapalkami. Były pod ręką, na kuchennym piecu. Najwyraźniej pan Rysiek spędzał tu noc, a przynajmniej był na nie przygotowany, pomyślał Stańczuk i zapalił z namaszczeniem lampę, po czym zamontował z powrotem klosz na zbiorniku i zwiększył płomień. Działała bez zarzutu. Otworzył brulion i pogrążył się w lekturze. Papier był stary, niemal zbrązowiały i na rogach częściowo kruszył się w palcach. Zapiski już na pierwszy rzut

oka sprawiały wrażenie nieuporządkowanych i chaotycznych, sporządzanych w różnych momentach, jakby wuj Bolesław porzucał nagle myśl o opisanu czegokolwiek, a potem wracał do niej pod wpływem jakiegoś impulsu.

Charakter pisma i jego układ również wskazywały na silne emocje autora. Niektóre słowa, szczególnie na końcach akapitów, zdawały się nakreślone w pośpiechu.

A więc stało się. Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że udało ci się odnaleźć walizkę. Kimkolwiek jesteś, nie zazdroszczę ci twojego położenia, wiedz bowiem, że trafiłeś na miejsce przekłete. Któż może wiedzieć, ileż jeszcze pozostało mi dni życia. Mam nadzieję, że nie jest ich wiele. Moja wola słabnie. Przez lata trwałem, dotrzymując placu, samotnie mierząc się z czymś, czego nigdy nie byłem w stanie pojąć.

Okoliczni mieszkańcy mają mnie za odludka, dziwaka i człeka niespełna rozumu. Niech tak pozostanie. Podsyłam w nich to przekonanie ze wszystkich sił. Każdego, kto odważy się włóczyć po okolicy, obrzucam wyzwiskami i straszę siekierą. Nawet moją ukochaną siostrę, która kilka razy próbowała odwiedzić mnie w tej samotni. Udaję niebezpiecznego szaleńca i pijusa, aby ludzie unikali przekłetej okolicy. Nie mają pojęcia, na jak straszne niebezpieczeństwo mogą narazić się, przebywając tutaj.

Nie twierdzą, że to, co się stało, pozostawiło mój umysł w nienaruszonym stanie. Czasem kiedy czuję, że On jest blisko, nie potrafię opanować strachu. Zdaje mi się, że słyszę jego głos. Nie mogę żyć pośród ludzi, muszę pozostawać w chacie, w której się urodziłem i która należała do naszej rodziny od pokoleń. Tylko lektura licznych książek pozwala mi na chwilę wytchnienia i daje złudzenie przebywania z innymi ludźmi.

On jest przebiegły jak węź. Potrafi trwać w oczekiwaniu. Nasza zguba jest jego celem. Być może przybył z piekła, być może z gwiazd. Czy ma to jakieś znaczenie? Władę wszystkimi językami i ma tysiące twarzy. Staje się tym, czym zapragnie się stać. To myśmy go przywołali.

Czuję, że mój czas dobiega końca. Przez te wszystkie lata starałem się coś zdziałać, ale cóż można uczynić przeciwko Niemu. Poświęcona woda i sól mogą chronić, ale nie mogą Go zatrzymać ani odesłać.

To w tych lasach bestia została przywołana po raz pierwszy, i ja jestem za to współodpowiedzialny. Z dnia na dzień czuję, że ciało zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa. Moje myśli stają się bluźniercze i pełne zwątpienia. Walizkę ukrywam w miejscu niedostępnym, póki jestem w stanie to uczynić. Ktoś powinien wiedzieć...

Kilka lat po wojnie w Międzyrzeczu pojawiła się zagadkowa kobieta. Nie sposób było jej nie zauważyć, ponieważ przyciągała uwagę wszystkich mężczyzn swoją niezwykłą urodą, elegancją i urokiem osobistym. Nie wiadomo było dokładnie, kim jest ani w jakim celu przyjechała. Nikt nie miał również odwagi zapytać ją o to wprost. Miejskie plotkarki twierdziły, że to rosyjska hrabina, która przyjechała z Warszawy. Towarzyszył jej mężczyzna w średnim wieku, sprawiający wrażenie bardzo dystyngowanego. Przedstawił się jako doktor Langman. Prawie natychmiast kupili kamienicę w samym centrum Międzyrzecza, oferując za nią bajorńską sumę. Otworzyli

również coś na kształt towarzystwa, które oficjalnie miało zajmować się krzewieniem kultury. Spotkania tego towarzystwa odbywały się w ich kamienicy, w dużym salonie. Przybysze jakimś sposobem szybko zjednali sobie przychylność nowej władzy.

Ksenię Lebediew, bo tak się nazywała kobieta, poznałem osobiście podczas jednego ze spotkań organizowanych przez towarzystwo. Urzekła mnie nie tylko swoją urodą, ale także inteligencją. Rozmawialiśmy długo i już wtedy powiedziała, że ma dla mnie pewną propozycję. Ona oraz doktor Langman potrzebowali pomocnika, człowieka, który znał miejscowe realia i zająłby się finansami towarzystwa, a także jego prowadzeniem od strony administracyjnej.

Jestem zachwycony. Wynagrodzenie, jakie mi zaoferowano, w zupełności zaspokaja moje potrzeby. Czuję się wyróżniony i co najważniejsze, dostrzeżony przez Ksenię.

Tyle dobra można zdziałać, któż mógłby to ogarnąć umysłem. Mam wrażenie, że do tej pory błędziłem w ciemnościach, a moje życie było niewiele warte. Jak mogłem zajmować się głupotami, które tylko dawały pozory prawdziwego życia?

Tyle jest wokół nas nędzy, tyle ludzkiego upodlenia. Przechodzimy obok niego zupełnie obojętnie, a przecież doznają go istoty takie same jak my. Ksenia otworzyła mi oczy. Pokazała mi nie tylko cielesną niedolę człowieka, ale też jego wewnętrzną pustkę. Nauczyła mnie, że pomagać bliźniemu można, wspomagając go nie tylko materialnie, ale także duchowo. Chłonę jej słowa jak życiodajny napój.

Zrozumiałem, że nie każda wiedza powinna być dostępna dla ogółu. Tajemnica jest pancerzem mądrości – mówi często doktor Langman. To przemily człowiek, bardzo wykształcony. Zna kilka języków. Interesuje się medycyną, filozofią i studiami biblijnymi. Obiecał, że opowie mi o niezwykłych zagadkach nauki – hipnozie i magnetyzmie zwierzęcym. Są to dla mnie kwestie zupełnie do tej pory nieznane. Doktor mówi, że za pomocą tych nowych dziedzin wiedzy będzie można pomóc wielu ludziom i to w sposób niewyobrażalny. Szczegóły jednak na razie zachowuje dla siebie.

Ksenia wyjaśniła mi, że nasze spotkania będą od tej pory przeznaczone dla wybranych. Przestraszyłem się, że nie zaliczam się do nich! Ksenia rozwiła moje obawy, uśmiechając się czarująco, jak tylko ona jedna potrafiła. Powiedziała, że właśnie ja jestem szczególnie wybrany i że jestem jej „powiernikiem”.

Na spotkania dla przyjaciół przychodzi kilkanaście osób. Wiele znam z widzenia, są wśród nich osoby znane w naszym mieście i piastujące wysokie stanowiska. Wszyscy zachowujemy jednak dyskrecję i nie zdradzamy się z niczym na zewnątrz. Oficjalnie jesteśmy dla siebie nieznanymi ludźmi. Piszę „oficjalnie”, bowiem doktor Langman nieustannie podkreśla, że jesteśmy jedną wielką rodziną i bezwarunkowo musimy się wspierać. Uważam, że jest to bardzo słuszne i piękne. Używa czasem nazwy „Nowa Synagoga”, nie wiem jednak dokładnie, co miałyby ona oznaczać.

Podczas jednej z prelekcji doktor zaprezentował niezwykle działanie magnetyzmu zwierzęcego. Poprosił, aby ktoś spośród obecnych zgodził się wystąpić w roli ochotnika. Zgłosił

się młody człowiek, Piotr, z bogatej rodziny Lucewiczów. Langman poprosił go, aby położył się na rozłożonym na podłodze jedwabnym obrusie. Następnie wyciągnął z kieszeni mały, lśniący przedmiot i przez chwilę przesuwając nim przed oczami młodzieńca, wypowiadając po cichu jakieś słowa. Potem postawił dwa krzesła w odległości około półtora metra od siebie. Poprosił dwóch mężczyzn, aby unieśli chłopaka, trzymając go za głowę i pięty. Rozległy się okrzyki zdumienia. Młodzieniec sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim śnie, a jego ciało było w zdumiewający sposób usztywnione. Doktor poprosił o umieszczenie trwającego w tym niezwyklej stanie człowieka na krzesłach tak, aby jedynie czubek jego głowy oraz pięty miały oparcie. Następnie usiadł na brzuchu młodzieńca, zupełnie jak siada się na ogrodowej ławce, po czym zapalił cygaro. Obciążone ciało nie wygięło się ani odrobinę. Rozległy się oklaski, salwy śmiechu, ale też ciche okrzyki grozy.

Doktor wyjaśnił, że podobny efekt osiąga się poprzez wpływanie na krążące w ciele człowieka energie. Stwierdził, że odkrycie to będzie można wykorzystywać w przyszłości do znieczulania pacjentów podczas medycznych zabiegów.

Nie był to jednak koniec pokazu zadziwiających umiejętności doktora. Langman wyciągnął z kieszeni marynarki jedwabną chusteczkę i zamachał nią przed oczyma śpiącego. Ten usiadł na ziemi, ale nadal pozostawał jak gdyby w uśpieniu. Doktor tymczasem zdjął z półki książkę. Następnie zwrócił się do młodego człowieka, mówiąc: „To piękna dziewczyna, w której zakochałeś się od pierwszego wejrzenia”.

Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania widzów. Młody człowiek klęczał przed książką, wpatrując się w nią z nieśmiałym zachwytem i fascynacją. Potem wziął ją ostrożnie na ręce, głaskał, całował i przytulał, jakby to rzeczywiście była najukochańsza osoba. Wreszcie Langman zabrał książkę i ustawił ją na powrót na półce, jednocześnie informując młodzieńca, że piękna narzeczona wyjechała niespodziewanie i że nigdy jej już nie zobaczy. Na to nieszczęśnik zalał się autentycznymi łzami. Biegał po całym salonie jak oszalały Romeo, wypatrując swojej wyimaginowanej Julii. Jego rozpacz sięgnęła takiego pułapu, że rzucił się w stronę okna, najwyraźniej chcąc popełnić samobójstwo. Na szczęście doktor w porę zareagował, pstrykając głośno palcami. Młodzieniec obudził się natychmiast, ze zdumieniem czując łzy na własnych policzkach. Nie wierzył, kiedy opowiadano mu, co czynił i jak się zachowywał.

ROZDZIAŁ 7

Łukasz usłyszał ciche, ale wyraźne szuranie. Ktoś był w pokoju. Odłożył brulion i ostrożnie podszedł do drzwi. Przerazenie momentalnie zmieniło jego nogi w odlane z ołowiu walce. Wazonik umieszczony na środku stołu sunął powoli jak gdyby poruszany jakąś niewidzialną siłą. Po chwili spadł razem z obrusem, a spod stołu wystrzelił ciemny kształt.

Przez długą chwilę Stańczuk stał nieruchomo, ciężko dysząc. Po chwili dotarło do niego, że to sprawka bezpieczeństwa kociska, które korzystając z niedomkniętych drzwi, wślizgnęło się do środka i postanowiło pobawić zwisającym obrusem. Ale co on tu robi?, pytał w myślach. Najwyraźniej te na pozór domowe zwierzęta mogły poradzić sobie, żyjąc na własny rachunek.

Łukasz podszedł do drzwi i zatrzasnął je mocno, przekręcając jednocześnie zamek i zaciągając zasuwę.

Wrócił do lektury zapisków. Światło lampy kładło wokół długie cienie.

Były też spotkania przeznaczone jedynie dla szczególnie wybranych, których doktor nazywał Umiłowanymi. Jeden z tematów poruszanych przez niego podczas nocnych prelekcji stanowiła tajemnica duszy ludzkiej. Wyjaśniał, że jest to forma energii, rodzaj trwałej i nieprzemijającej substancji. W czasie wykładu zwrócił się bezpośrednio do mnie i zapytał, czy pamiętam czasy, gdy byłem dzieckiem. Odparłem, że chociaż niektóre wspomnienia są mgliste, pamiętam to dość dobrze. Zwrócił się zatem z pytaniem, czy byłem wtedy tą samą osobą, którą jestem obecnie, oraz czy będę nią w przyszłości, kiedy nadejdzie starość. Przytaknąłem, bo przeciwna odpowiedź wydawała mi się absolutnie niedorzeczna.

„Zatem wiesz już teraz, czym jest ludzka dusza”, stwierdził doktor. „Jest tym, co w tobie niezmiennie w obliczu nieistotnych, zewnętrznych przemian ciała i umysłu”.

Kiedy doktor mówił do mnie, ogarnęła mnie głęboka radość. Poczulem, że posiadam wiedzę niedostępną dla zwykłych śmiertelników. Moje wzruszenie zostało dostrzeżone przez siedzącą zaraz obok piękną Ksenię, która uścisnęła ciepło moją dłoń.

Langman wyłożył nam, że oprócz świata, który postrzegamy za pomocą zmysłów i rozumu, istnieje nieskończenie wiele innych światów. Rządzą w nich prawa zupełnie odmienne od tych, jakie obowiązują w naszym Wszechświecie. Nie ma tam czasu ani przestrzeni lub są one, ale wyglądają zupełnie inaczej. Żyją tam inteligentne i bardzo potężne istoty. Zapytałem wówczas nieśmiało, czy jest jakiś sposób, by się z nimi porozumiewać, a może nawet dostać się do ich świata. Z początku przestraszyłem się, że doktor zrugą mnie za tak śmiałe pytanie. Lecz on spojrzał z niespotykaną serdecznością w moje oczy. Wyjaśnił cierpliwie, że nie jesteśmy w stanie przejść do innych światów, gdyż nasze fizyczne ciała nie mogłyby w nich istnieć. Jednak niektóre istoty są w stanie przemieszczać się z jednego świata do drugiego, jeśli tylko wie się, jak im to umożliwić. Opowiedział następnie o parowcu, który aby płynąć, potrzebuje energii. Stwierdził, że każda podróż wymaga pewnej jej ilości, wprost proporcjonalnej do odległości oraz oporów ośrodka, w którym się odbywa. Zacząłem nieco gubić się w jego uczonych wywodach. Zapamiętałem jednak to, co oznajmił na sam koniec: że największym źródłem energii jest właśnie dusza, ponieważ jest tym, co trwa wiecznie...

Mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Nie każda wiedza powinna być dostępna dla profanów. Doktor i Ksenia nauczyli mnie, że od tej pory będziemy spotykali się w sekretnym miejscu. Jest to stara, zrujnowana kaplica położona w lesie, nieopodal zapomnianego już zupełnie cmentarza. Langman zakupił otaczający ją teren.

Lękałem się, lecz z całego serca pragnąłem poznać tajemnice, o których wspominał doktor. Sekret życia pozagrobowego fascynował mnie od zawsze.

Ponieważ kaplica miała stać się miejscem spotkań, należało ją odbudować. W tej kwestii nieocenionym źródłem wskazówek był doktor. Wyjaśnił, że należy zrobić to zgodnie z Regulami.

Pomieszczenia powinny być dwa, jedno mniejsze, a drugie większe. Powinno się także zrobić przedsionek, którego brakowało. Zaszczyt wykonywania prac budowlanych przypadł mnie. Mogłem dobrać sobie jednego tylko pomocnika, człowieka godnego zaufania. Nie chciałem korzystać z pomocy miejscowych robotników, bo choć większość z nich była dobrymi fachowcami, to jednak nie stronili od alkoholu i byłem pewien, że mają długie języki. Wybrałem do pomocy człowieka, którego znałem jeszcze z czasów nauki w szkole powszechnej. Wiedziałem, że zna się w znacznym stopniu na pracach budowlanych, jest dyskretny i zamknięty w sobie.

Zauważyłem, że doktor uważnie obserwuje mojego znajomego podczas pracy. Przyglądał mu się uważnie, a raz nawet podszedł do niego, wykonując dłonią tajemnicze gesty, na co ten zareagował zaskoczeniem. Doktor jednak uśmiechnął się i poprosił, aby nie odrywał się od pracy. Niebawem zawołał mnie na bok i stwierdził, że „nie będzie pamiętał”.

Przed rozpoczęciem prac nad przebudową kaplicy Langman długo porównywał plany ze wskazaniem kompasu. Mówił nieustannie coś o Ascendencie i Descendencie oraz Pieczęciach. Używał również rozwidlonej gałązki, którą trzymał w dłoniach, spacerując po łące. Wreszcie wydał szczegółowe polecenia odnośnie do wielkości poszczególnych pomieszczeń i proporcji, zgodnie z którymi należy podzielić budynek. Nieopodal kaplicy znajdowało się wejście do poniemieckich podziemi. Langman nakazał je zasypać i wykopać sekretny tunel łączący podziemia z kaplicą.

Gdy prace były na ukończeniu, doktor przystąpił do urządzania głównego pomieszczenia. Poleciał, aby jego ściany pomalować na białą. Następnie, posługując się kompasem, oznaczył na suficie cztery strony świata. Całe wyposażenie pokoju stanowił prosty stolik i mała szafka. Na jednej ze ścian umieściłem na polecenie Langmana duże lustro w metalowej oprawie. Potem doktor poprosił, abym zostawił go samego, gdyż chciałby oddać się ćwiczeniom duchowym i modlitwie.

Kiedy pewnego razu zapytałem doktora o cel naszych działań, odparł, że powinienem wykazać się cnotą cierpliwości i nie zadawać pytań, jeśli nie jest to konieczne. „Wszystko jest już przesądzone i postanowione” – dodał.

Pewnego wieczoru Ksenia powiadomiła mnie, że powinienem stawić się nocą na naszym sekretnym miejscu spotkań. Nad lasem szalała wichura i obawiałem się, czy uda mi się bezpiecznie dotrzeć do kaplicy. Wokoło spadały kawałki odłamanych wichrem gałęzi, jak gdyby las starał się zatrzymać mnie w drodze. Parłem jednak niepowstrzymanie naprzód, mając wciąż na względzie znaczenie ceremoniału, który miał zostać odprawiony.

Gdy dotarłem na miejsce, na powitanie wyszła mi Ksenia. Ubrana w czarną suknię i czarny welon wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Było nas troje. Doktor zapewnił, że właśnie taka liczba jest najbardziej odpowiednia i celowo mnie zaprosił.

Kiedy wszedłem do głównego pomieszczenia kaplicy, byłem bardzo podekscytowany. Wszędzie wokół porozstawiano płonące świece. Na podłodze wyrysowano obok siebie trzy koła, z których środkowe było największe. Kręgi wypełnione były znakami, których znaczenia nie pojmowałem.

Wreszcie Langman przemówił. Wyjaśnił, że dzięki specjalnym inwokacjom przywołamy anioła, który da nam wszystkim niezwykłą moc, dzięki której zdobędziemy władzę i pieniądze, jakie trudno sobie nawet wyobrazić. Będziemy mogli kontrolować i wykorzystywać jego moc za pomocą Pieczęci. Wcześniej wiele opowiadał o Koniunkcji, jaką tworzą dobrane Słowa i Symbole, a także Gesty. W swojej młodzieńczej głupocie i naiwności przystałem na tę szaloną propozycję człowieka, którego dziś uważam za głupca opętanego chciwością. Sądzę ponadto, że mógł wówczas słyszeć Głos i być może to on właśnie nakłonił go do Rytuału.

Okolo północy ustawiliśmy się w nakreślonych na podłodze kołach. Doktor stanął w środkowym, a Ksenia i ja po jego bokach. Langman z najwyższą surowością ostrzegł nas, że pod żadnym pozorem nie wolno nam opuszczać kręgów, chyba że on sam wyraźnie nam to nakaze. „Cokolwiek by się działo, musicie pozostawać wewnątrz” – powtórzył. Następnie położył przed sobą niewielkich rozmiarów worek wykonany z czarnej skóry. Otworzył księgę i silnym, donośnym głosem zaczął wypowiadać niezrozumiałe dla mnie słowa. Po części przypominały one łacinę, ale były tam również słowa brzmiące odmiennie, wypowiadane w jakimś innym języku.

Doktor nie odwracając się, podniósł dłoń w geście ostrzeżenia. Pomyślał widocznie, że chciałem opuścić nakreślony na podłodze krąg. W drugiej dłoni trzymał długi, lśniący sztylet. Wtem kątem oka dostrzegłem niespotykane zjawisko. Księżyc, który oświetlał wnętrze, przybrał niepokojący, szkarłatny kolor. Sądząc, że ulegam złudzeniu, powiedziałem głośno o tym, co dostrzegłem. Doktor jednak nie spojrział nawet w okno, trwając w skupieniu. Stwierdził jedynie, że „On nadchodzi”, po czym zaintonował dziwaczną, jak gdyby żalobną pieśń.

Niespodziewanie zerwał się wiatr. Zdumiało mnie to, ponieważ przebywaliśmy w zamkniętym pomieszczeniu. Najdziwniejsze jednak było to, że w ogóle nie czułem podmuchów na sobie. Przejawiał się on w przytłumionych i pochylonych płomieniach świec, poruszał białym obrusem, którym nakryty był znajdujący się w pokoju stolik.

Doktor ponownie zaintonował jakąś formułę, ale nie zdołał jej dokończyć. Potężne uderzenie wichru zdmuchnęło część świec, a do pokoju wtargnął szkarłatny blask zagląającego w okna księżyc. Znajdujące się w pomieszczeniu lustro eksplodowało z przeraźliwym hukiem, wyrzucając chmurę ostrych jak żyłki odłamków szkła. Przestraszona Ksenia krzyknęła głośno, odruchowo osłaniając twarz. Wykonała przy tym krok w tył. Doktor zawołał ostrzegawczo, ale przeraźliwe wycie wiatru zagłuszyło jego słowa. Zauważyłem, że ciemność gęstnieje. Było to zjawisko trudne do opisania. Miałem wrażenie, że mrok formuje się na kształt chmury zwisającej nad naszymi głowami, czarnej jak smoła i kłębiącej się niczym morską toń w czasie sztormu. Cały pokój wypełniły wyladowania elektryczne. W powietrzu czuć było zapach powietrza po burzy. Nagle przed naszymi oczami zaczęła formować się postać nieustannie zmieniająca swój kształt. Przez chwilę przypominała rzeźbę jakiegoś rzymskiego boga przystrojonego w wieniec z wawrzynu i jadącego na ognistym rydwanie. Przerażony dostrzegłem, że pod nim kłębi się morze węży, pajaków, skorpionów i mnóstwo wszelkiego robactwa. Ogarnął mnie straszliwy lęk i obrzydzenie. Całą swoją wolę skupiłem na tym, by nie opuścić magicznego koła, czułem bowiem, że poza nim czeka mnie zguba. Spojrzałem w dół i ujrzałem, że stoję na skraju ogromnej przepaści, której dna nie mogłem nawet dostrzec. Demon tymczasem przybrał nową formę, upodabiając się teraz do kwitującego w powietrzu mężczyzny, którego głowa była głową kozła z

ogromnymi, zawiniętymi rogami. Prawa ręka przerażającego stwora uniesiona była w geście przypominającym błogosławieństwo, druga była wyciągnięta w naszym kierunku i zdawała się trzymać kulę ognia. Oczy potwora były zielone z czarnymi jak noc prostokątnymi źrenicami, które wpatrywały się w nas z hipnotyzującą siłą.

„Biada matkom śmiertelnych, których łona wydały owoce. Przyszedł wichur i straci je w ogień nieugaszony” – rozległ się straszliwy, wibrujący niczym żalobny dzwon głos. – „Tam płonąć będą po wszystkie dni, nie znajdując spokoju. Otworzyliście drzwi do Czełusci i nie macie mocy, by je zamknąć. Nastal czas pokarmu, czas pożywienia. Pragnę!”.

Nagle kaplica zapełniła się postaciami o umęczonych, napelnionych rozpaczą twarzach. Wokół dostrzegłem dzieci, ludzi w sile wieku i starców, a nawet niemowlęta i płody, unoszących się w powietrzu, kwitujących, jak gdyby skapanych w substancji, która raz przypominała ogień, a raz krew. Niektóre z ciał wydawały się dotknięte rozkładem, inne nie. Wiele z nich wyciągało w naszą stronę ręce, jakby w błagalnym geście, inne znów zdawały się rzucać przekleństwa i grozić.

Ksenia, ogarnięta przerażeniem, cofnęła się o jeszcze jeden krok, wychodząc poza magiczny krąg. W mgnieniu oka całe jej ciało stanęło w płomieniach, jakby było oblane naftą. Usłyszałem straszliwy, pełen ostatecznej trwogi krzyk. Przez krótką chwilę jej wzrok spotkał się z moim. Później płonące ciało osunęło się na ziemię. Doktor z twarzą bladą jak ściana wykrzykiwał jakieś słowa. Domyśliłem się, że próbuje walczyć. W wyciągniętej ręce trzymał Pieczęć. Było jednak jasne, że doszło do jakiejś potwornej pomyłki i nie jest w stanie kontrolować siły, jaką przywołał. Rozległo się głośnie trzeszczenie stropowych belek, jakby napierała na nie jakaś potworna siła, i nagle dach kaplicy eksplodował, odsłaniając nocne niebo. Potworna postać demona uniosła się w majestatycznym ruchu, a wraz z nią podążyły widma. Po chwili całe zjawisko zatraciło swoją ostrość i zanikło, jak gdyby rozprzestrzeniając się po lesie. Część świec, postrącana przez wiatr roznieciła pożar, błyskawicznie rozszerzający się po drewnianej podłodze. Zrozumiałem, że jeśli pozostaniemy w przekłętą kaplicy jeszcze chwilę, grozi nam nieuchronna zguba.

Langman klęczał. Z przerażeniem zauważyłem, że jego włosy całkowicie posiwiały. Złapałem go za ramię, szarpiąc i starając się uratować przed ogniem.

„Zrobiliśmy straszną rzecz. Niech Bóg nam wybaczy... Jakim byłem głupcem, jakim byłem głupcem!” – powtarzał wciąż i odpychał mnie, nie pozwalając sobie pomóc.

Zrozumiałem, że jeśli będę zwlekał, zginę razem z nimi. Wybiegłem więc jak najszybciej i zacząłem uciekać co sił z tamtego miejsca, zostawiając za sobą straszliwą pożogę.

Od tamtego czasu nie zaznaję spokoju. Zło rozpanoszyło się wokół. Ludzie giną bez wieści. Woda święcona i sól chronią dom i częściowo chronią mnie, ale wiem, że On jest blisko. Mogę się bronić, lecz jestem za słaby, by walczyć. W walizce postanowiłem umieścić pewien szczególny dla mnie przedmiot, który zawsze przynosił mi szczęście. To najzwyklejsza kulka do gry, którą otrzymałem w prezencie od mojej ukochanej matki na dziesiąte urodziny. Byliśmy wtedy bardzo biedni i wiem, że nie stać było jej na jakikolwiek droższy prezent. Niemniej pewien jestem, że podarowała mi go z wielką miłością. Zastanawiałem się, czy notatek nie przekazać moje siostrze, ale wiem, że nie zrozumie. Żeby zrozumieć, trzeba być tutaj.

Po tragedii towarzystwo rozpadło się, ludzie, którzy brali udział w spotkaniach, udawali, że

się nie znają. Na wszystkich padł lęk, choć zapewne nikt poza mną nie wiedział, co się właściwie stało. Kiedy następnego dnia poszedłem w tamto miejsce, ujrzałem tylko zgliszcza. Nie znalazłem ciał ani Langmana, ani Kseni, zupełnie jakby ktoś je usunął, ale przyszło mi też do głowy, że mogły zostać rozszarpane przez leśne zwierzęta. Milicja przez pewien czas przeszukiwała tamto miejsce, ale bez większych odkryć, a przynajmniej ja o niczym szczególnym się nie dowiedziałem.

Później kilka razy próbowałem udać się w tamta okolicę. Miałem jednak przecucie, że jest to miejsce bardzo złe i niebezpieczne, dlatego dokładnej jego lokalizacji nie chcę nawet podawać. Później zaniechałem tych wypraw, skupiając swoje wysiłki na obronie domu.

Na tym zapiski się kończyły. W opinii Łukasza zdawały się potwierdzać smutną opowieść o chorobie umysłowej wuja Bolesława. Świadczył o tym również ich charakter. Nie wiadomo było, czy ma się do czynienia z listem, czy z pamiętnikiem. Raczej można było odnieść wrażenie, że wuj rozpaczliwie chciał przelać na papier coś, co zapewne w większej mierze stanowiło dzieło jego wyobraźni. To było jak opowiadanie. Fantastyczny twór, literacka fikcja.

Przez chwilę Łukasz zastanawiał się, czy nie powinien pokazać znaleziska Witkowi. Był pewien, że temat mógłby go zainteresować. Postanowił się jednak z tym wstrzymać. Notatki stanowiły wynik choroby wuja Bolesława, a ich faktograficzna wartość w takim przypadku była znikoma. Pokazywanie tych pełnych lęku wyznań komukolwiek jako zwykłej ciekawostki wydało mu się nieuczciwe wobec zmarłego.

Była głucha noc. Otaczająca dom, widoczna za oknami ciemność miała w sobie coś przytłaczającego. Wrażenie bycia obserwowanym, jakie Łukasz cały czas odnosił, stało się teraz niemal namacalne, zupełnie jakby ktoś obdarzony niezłomną wolą przypatrywał mu się uważnie. Siedząc na łóżku przy zapalanej lampie, popijał w ciszy piwo.

W pewnym momencie w rogu pokoju zatrzeszczała podłoga. Najpierw raz, a potem drugi, nieco bliżej. Łukasz zamarł, ale dźwięk się nie powtórzył. Poczł się zmęczony. Zamknął okna. W chacie panował chłód. Zajrzał do przepastnej szafy i na jej dnie pośród kilku kłopotów odnalazł dwa złożone w kostkę koce. Zalaływały nieco wilgocią, lecz były grube i wyglądały na ciepłe. Sprężyny materaca głośno zaprotestowały, gdy rzucił się na łóżko. Jeden z koców zwinął i umieścił sobie pod głową jak zaimprovizowaną poduszkę.

Zgasił lampę i pozwolił, by ciemność ogarnęła go niczym wezbrane morze.

Śnił mu się wuj Bolesław stojący pośrodku izby. Ubrany był w ciemny, trumienny garnitur i poruszał delikatnie ustami, jakby próbując powiedzieć coś istotnego.

ROZDZIAŁ 8

Dwa miesiące wcześniej burmistrz Mirecki siedział w swoim gabinecie w Urzędzie Miasta i kontemlował widok za oknem. Na pierwszym planie przebiegała świeżutko wyremontowana za unijne pieniądze droga. Nieco dalej, nad rzeką Ropicą mieścił się niewielki, ale zadbane park. Pośród niedawno zasadzonych topoli znajdował się placyk, na środku którego tkwił stoliczek

wyposażony w blat imitujący szachownicę. Zdawało się, że lada moment zjawią się uradowani emeryci i rozstawią na nim pionki, by rozegrać partyjkę. Tym bardziej że słoneczna, letnia pogoda zachęcała do przesiadywania na zewnątrz.

Emeryci nie zjawiali się jednak nigdy, a przynajmniej nie wtedy, kiedy Mirecki obserwował skwer. Wszystko przez ten smród dochodzący z rzeki, dumał. I tak było lepiej niż kiedyś. W czasach PRL-u, kiedy Rafał Mirecki był jeszcze małym Rafałkiem, Ropica nie nadawała się właściwie do niczego. Przypominała smolisty, brudny kanał. Biorąc pod uwagę dawny oraz obecny stan rzeki, wszyscy wyborcy powinni ustawić się w kolejce i całować mnie w dupę, myślał.

Zdawał sobie sprawę, że podstawą sukcesu w polityce są pieniądze. Każda kampania kosztowała go krocie. Należało wydrukować mnóstwo ulotek, plakatów, opłacić dziennikarzy, fachowców od wizerunku, wynająć sale. Z rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy wystarczało być znaną, zaufaną osobą o odpowiednich koneksjach. Realia się zmieniały i trzeba było podążać z duchem czasów, jeśli nie chciało się zostać w tyle. Przebrane wybory mogły oznaczać przejście do defensywy, a tego należało unikać za wszelką cenę. Skąd jednak czerpać zyski? Potencjał eksploatacyjny miasta się kończył. Wszystkie możliwe lokalizacje pod obiekty handlowe zostały już wysprzedane. Coraz trudniej było przedstawić budowę dziesiątego z kolei centrum handlowego jako inicjatywy, której celem jest stworzenie nowych miejsc pracy. Poza tym konkurencja w tym biznesie wzrosła. Zdarzało się, że zgodę na budowę w innych miastach władze podpisywały nawet w zamian za dwutygodniowe wczasy, co kiedyś było nie do pomyślenia. Pod tym względem świat ewidentnie schodził na psy. Na dodatek cholerni ekolodzy pojawiali się wszędzie, gdzie tylko zwęszyli dobry interes. Nie mógł zapomnieć grupki wariatów, którzy przykuli się do kilku starych drzew rosnących na posesji, na której stanąć miał Maxi-Market. Chciwe małpy skapitulowały dopiero po wpłaceniu pokażnej sumy na konto założonej przez nich organizacji ekologicznej.

Świetny interes, na którym można było niegdyś zbić niezłą kasę, stanowiły przetargi. Mirecki miał znajomego właściciela firmy produkującej kostkę brukową. Natychmiast ogłoszono przetarg na remontowanie dróg i chodników. Oczywiście tylko formalny, jego warunki sporządzono akurat tak, by spełniała je firma „Rubruk”. Niemal całe miasto wyłożono kostką – wszędzie, gdzie tylko było to możliwe i nie ocierało się o absurd. Spora część pieniędzy, które miasto przeznaczyło na ten cel, wróciła okrężną drogą do kieszeni burmistrza. Nie minęło wiele czasu, gdy zięć Mireckiego wpadł na pomysł założenia firmy zajmującej się poprawą bezpieczeństwa dzieci udających się do szkoły. Burmistrz natychmiast podjął decyzję, że w to przedsięwzięcie powinno zaangażować się miasto. Było to posunięcie strategicznie godne Napoleona. Każdy, kto spróbowałby skrytykować pomysł, byłby w oczach mediów i opinii publicznej na straconej pozycji jako człowiek bez serca, niemal dzieciobójca. Po drugie, udział miasta w tej działalności nadawał wizerunkowi burmistrza nowy, ciepły i ludzki wymiar. Po trzecie wreszcie, udało się pozyskać dodatkowe fundusze z tytułu aktywizacji bezrobotnych. Grupa starych bab, ubranych w odblaskowe kamizelki, miała za zadanie przeprowadzać dzieci przez pasy. „Bezpieczeństwo dzieci nie ma ceny” – brzmiało hasło przedsięwzięcia. Na ulotkach wypowiadał je sam Mirecki, a słowa były umieszczone w komiksowej chmurce. Jeszcze teraz pamiętał, jak zaskoczyły go

śnieżnobiałe zęby i jaskrawo błękitne oczy, które miał na tym obrobionym przez grafików zdjęciu.

Mirecki uważał się za świetnego gospodarza. Mało kto w mojej sytuacji potrafiłby tak wszystkim pokierować, pomyślał, rozpierając się wygodnie w fotelu. Włączony komputer szumiał cichutko. Na ekranie raz po raz przeskakiwało logo Windows. Po jakiego licha mi ten komputer, zastanawiał się, i tak nic na nim nie robię. Poczł się nagle źle z tym faktem. Nowoczesna technologia marnowała się, a przecież powinna służyć człowiekowi. Postanowił sprawdzić swoją pocztę. Nie robił tego od kilku dni, a przecież czekał na maila od Danusi, dyrektorki szkoły podstawowej. Spotkał się z nią już kilka razy przy okazji pełnienia obowiązków służbowych i wpadła mu w oko. Znajomość z czysto służbowej zaczęła przechodzić w jakiś nowy, do końca niezdefiniowany, ale obiecujący wymiar. Przynajmniej w odczuciu burmistrza.

Nie zdążył jednak dotknąć myszki, gdy do drzwi gabinetu ktoś zapukał.

– Proszę! – powiedział głośno, przybierając formalny wyraz twarzy.

Do gabinetu wsunęła się głowa pani Ani, sekretarki. Miała mocno opaloną buzię i długie, kręcone, kruczoczarne włosy.

– Przyszedł pan w sprawie inwestycji na terenach Lasku Małeckiego – oznajmiła konspiracyjnym szeptem.

Lasek Małecki to była tak zwana „śliska sprawa”. Nie chodziło o kilka drzew, ale o ostatni w okolicy zakątek, gdzie rosły okazałe dęby i buki, ostatnią enklawę zieleni. Na szczęście nie był to żaden rezerwat przyrody. Mimo to wielu mieszkańców miasta czuło do niego zrozumiały sentyment. Od mniej więcej tygodnia terenem interesowała się duża firma, chcąc w tym właśnie miejscu wybudować nowoczesne, zamknięte osiedle luksusowych domów.

Nawet w Mireckim lasek wywoływał zamglone wspomnienia z przeszłości. To właśnie tam chodził na spacer z swoją pierwszą dziewczyną. Mimo to był człowiekiem czynu, a nade wszystko – interesu. Miał żonę i trójkę dzieci, którym należało zapewnić byt. Nie miało znaczenia, że dzieci mają już swoją pracę. „Kapitał musi zostać w rodzinie” – tak brzmiało jego życiowe motto. Sentymenty powinny schodzić na dalszy plan.

Zdawał sobie sprawę, że lasek jest ostatnią szansą, asem w rękawie. Postanowił tę partię rozegrać jak najlepiej.

– Proszę wpuścić tego pana – powiedział, zbierając z biurka rozrzucone w nieładzie papiery.

Do biura wszedł Bauer, jak zwykle ubrany w elegancki, drogi garnitur. Gładko zaczesane do tyłu włosy nadawały mu ponadczasowy wygląd. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że mógłby pojawić się w urzędzie równie dobrze dwadzieścia lat temu, jaki i za kolejne dwadzieścia lat – nie wzbudzając swoim strojem większego zdumienia. No chyba, że uwagę przykułaby jego błada cera i lodowate spojrzenie.

Bauer podszedł do biurka i w milczeniu podał Mireckiemu rękę na powitanie. Mimo tego gestu bił od niego chłód, który sprawił, że burmistrz poczuł się nieswojo. Na ustach gościa błąkał się subtelny, ironiczny uśmiezek.

– Słucham pana, jak domyślam się... – Mirecki chciał przerwać wydłużającą się niepokojąco ciszę – pan w sprawie...

– Dobrze się pan domyśla – odparł agent. – Chcemy, aby miasto przekazało teren Lasku Małeckiego naszej firmie. Będziemy tam inwestować.

Mirecki nie przywykł, aby interesant rozmawiał z nim w ten sposób. Petenci dzielili się zazwyczaj na dwie kategorie. Pierwsi starali się o coś prosić. Powoływali się przy tym na swoją trudną sytuację życiową, okoliczności, w jakich się znaleźli, i tak dalej. Drudzy również prosili. Dodawali jednak do swoich próśb zawołowane obietnice, wspominając mimochodem o niezmiernej wdzięczności za spełnioną prośbę, a czasem sugestywnie opowiadali o posiadanych dobrach, takich jak na przykład solarium czy centrum odnowy, z których burmistrz lub jego bliscy będą mogli nieodpłatnie korzystać. „Wszyscy jesteśmy ludźmi – lubił mawiać w takich sytuacjach – i na pewno można się jakoś dogadać”. Siedzący naprzeciw agent Nowej Synagogi nie należał do żadnej z tych kategorii. Mimo to Mirecki postanowił właściwie przedstawić całą sprawę.

– Teren, o którym pan wspomina – odparł – jest bardzo cenny z punktu widzenia ochrony środowiska naturalnego. Oczywiście, nie mówię jednoznacznie „nie”, ale sam pan rozumie... Nie mogę tej decyzji podjąć samodzielnie. Może należałoby zorganizować jakąś konferencję, a to są oczywiście dodatkowe koszty...

– Proszę słuchać – przerwał mu nagle stanowczym tonem Bauer. – Pan traci mój i swój czas. Decyzja ma być podjęta do końca tygodnia. Przez podjęcie decyzji rozumiem przekazanie naszej firmie gotowych dokumentów.

– Słucham? – Mirecki nie dowierzał własnym uszom. – Ależ... to są procedury administracyjne, taka decyzja wymaga zgody kilku osób, to sprawa na kilka miesięcy. Pan nie rozumie...

– To pan nie rozumie. Nie rozumie pan niebezpieczeństwa, które może panu zagrozić – odparł Erwin Bauer bez zmużenia oka.

– Czy to próba zastraszenia? – Mirecki starał się, by jego głos zabrzmiał surowo. Nie udało mu się. Wyczuwalna pewność siebie rozmówcy sprawiała, że w żołądku czuł zimną, wielką kulę. Coś było nie tak. Pod wpływem chłodnego, hipnotycznego spojrzenia oczu Bauera kula strachu powiększała się w zastraszającym tempie.

– To jedynie ostrzeżenie. Nasze możliwości przekraczają to, co może pojąć pański umysł. Rozumiem jednak, że jako racjonalista potrzebuje pan dowodów, które mogłyby pana przekonać. Otrzyma je pan. – Bauer mówił teraz powoli, smakując chwilę. – Kiedy podejmie pan właściwą decyzję, proszę dać znać. Wystarczy, że pomyśli pan „tak”. Do widzenia.

Bauer wstał. Był pewny sukcesu. W zaparkowanej pod urzędem furgonetce znajdował się Kryształ i Blask, jaki roztaczał. To on kontrolował sytuację. Prawą rękę włożył do kieszeni, dotykając Pieczęci, a lewą szybko wykonał w powietrzu dziwny znak, który skojarzył się burmistrzowi jedynie z pokretnym błogosławieństwem.

Mirecki chciał uśmiechnąć się ironicznie pod nosem, ale nagle poczuł, że nie może tego uczynić. Zaskoczony, spróbował dotknąć twarzy, ale ręka spoczywała nieruchomo na poręczy fotela. Z narastającym przerażeniem uświadomił sobie, że nie może poruszać swoim ciałem. Chryste! Dostałem wylewu! – pomyślał.

W jego opinii mógł to być tylko wylew, czyli to, czego obawiał się najbardziej. Obydwaj jego

bracia, Staszek w wieku dwudziestu lat, a Janek dwudziestu pięciu – umarli właśnie w ten sposób. Choć od ostatniej śmierci minęło dziesięć lat, matka Mireckiego nigdy nie pozbierała się po strasznym ciosie. Staszek doznał udaru, prowadząc samochód, który zjechał z drogi i uderzył w przydrożne drzewo. Janek wrócił z uczelni i zmęczony położył się na chwilę na łóżku, skarżąc się, że boli go głowa. Nie wstał już nigdy. Wizja nagłej, niespodziewanej śmierci była czymś, z czym Mirecki nie mógł sobie poradzić i co przerażało go śmiertelnie. Kiedy obsesyjne myśli stały się nie do zniesienia, w największej tajemnicy udał się do psychiatry. Pojechał w tym celu nawet do sąsiedniego miasta, tak by nikt nigdy się o tym nie dowiedział. Obawiał się, że mogłoby to źle wpłynąć na jego wizerunek. Przepisane przez lekarza leki antydepresyjne zadziałały niczym sprytni sprzątacze, którzy zamieśli brudy pod dywan.

Teraz koszmar, którego lękał się tyle lat, wydawał się straszną rzeczywistością. Nie był to już sen, z którego dało się zbudzić, ani niewyraźne wyobrażenie. To działo się tu i teraz. Mirecki poczuł, jak lęk wdziera się w jego ciało potężną falą, niczym przyływ. Nie mógł jednak krzyknąć. Nie mógł poruszyć nawet pojedynczym mięśniem twarzy. A więc tak to wygląda, pomyślał.

Ale czy nie powinien stracić przytomności? Nie miał większego pojęcia o medycynie, wydawało mu się jednak, że powinno tak się stać. Tymczasem jego świadomość nie tylko nie znikła, ale na skutek ogromnego stresu jeszcze bardziej się wyostrzyła. Czuł z niebywałą dokładnością uwierające go krzesło. Słyszał bardzo wyraźnie dobiegającą gdzieś z oddali cichą rozmowę. Nie mógł jednak w najmniejszy sposób się poruszyć. Był kompletnie sparaliżowany.

Jego oczy zastygły wpatrzone w lewy kąt gabinetu, gdzie w doniczce stał fikus. Nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Ktoś wszedł do gabinetu.

– Przepraszam, panie burmistrzu – usłyszał głos pani Ani. – Panie...

Nastała chwila ciszy.

Gdzie podział się ten mężczyzna, który...

Wyszedł. Spokojnie, tylko spokojnie.

Rozległy się wytłumione przez miękki dywan kroki. W polu widzenia Mireckiego pojawiła się opalona twarz sekretarki. Przyglądała mu się otwartymi ze zdziwienia oczyma. Na jej twarzy wyraz niepokoju walczył z lekkim rozbawieniem, zupełnie jakby spodziewała się, że siedzący nieruchomo szef zerwie się gwałtownie z głośnym „bu!”.

No dalej, dalej! Ty durna lafiryndo, wezwij pogotowie! – wrzeszczał w myślach Mirecki. Jego wargi jednak ani drgnęły. Poczuł natomiast, że szczypią go oczy. Nie mrugał już od pewnego czasu.

„Durna lafirynda” tymczasem wpatrywała się w niego z zaskoczonym i przestraszonym wyrazem twarzy. Zastanawiała się, co robić. Po chwili znikła z pola widzenia. Ciche kroki oddaliły się szybko. Mirecki nadśluchiwał. Miał wrażenie, że z oddali dobiegają jakieś podniesione głosy. Najwyraźniej pani Ania postanowiła zawołać kogoś na pomoc. Mijały sekundy, w odczuciu Mireckiego długie jak godziny. W końcu rozległ się tupot. W biurze pojawiło się kilka osób.

– Może śpi. – Mirecki rozpoznał głos pani Moniki, pracownicy punktu informacyjnego, mieszczącego się na dolnej kondygnacji urzędu. Była to niziutka dziewczyna z upiętymi w kitkę

jasnymi włosami, nierzucająca się w oczy typowa szara myszka. Nagle zdał sobie sprawę, jak mało wie o swoich pracownikach, jak niewiele go obchodzili. Byli czymś w rodzaju tła dla jego własnych planów i osoby. Teraz, gdy zagrożone było jego życie, doceniał dopiero fakt, że wokół niego znajdują się inni ludzie.

– Nie sądzę – rozległ się męski głos. W polu widzenia pojawił się informatyk. Jego twarz znalazła się blisko twarzy burmistrza. Mirecki wyraźnie poczuł nieświeży oddech i zapach wody kolońskiej. Wyczulony strachem umysł rejestrował wszystko z niezwykłą wyrazistością. – Pani Aniu, niech pani dzwoni po karetkę!

Podekscytowane głosy się oddaliły. Wbrew wszelkim zasadom udzielania pierwszej pomocy, został w gabinecie zupełnie sam. Zaraz zjawi się lekarz i mi pomoże. Muszę być spokojny. Może to nic groźnego, skoro cały czas jestem przytomny, próbował uspokoić się Mirecki.

Nagle usłyszał niskie buczenie. Prawdopodobnie osa lub bąk. Dźwięk stał się wyraźny, ale w polu widzenia nadal nie było nic widać. Wtem poczuł, że na jego twarzy coś wylądowało. Owad wydawał się nieco za ciężki na pszczołę lub osę. Więc jednak tłusty, dobrze odżywiony bąk. Czuł wyraźnie, jak przebiera odnóżami, rozpoczynając spacer po jego twarzy.

Skupił całą siłę woli, aby nosem wydmuchnąć nieco powietrza. Miał nadzieję, że owad odleci. Nie był jednak w stanie tego zrobić. Jego system nerwowy przypominał przecięte kable. Żaden z rozpaczliwie wysyłanych przez mózg impulsów nie docierał do mięśni.

Bąk tymczasem się przemieszczał. Powoli, niespiesznie zmierzał w kierunku otwartego lewego oka. Błagam cię, Boże, aby nie zaczął chodzić po moim oku, rozpaczliwie myślał burmistrz. Wszystko, tylko nie to. Owad pieczołowicie przebierając odnóżami, kontynuował swoją wędrówkę. Zatrzymał się na granicy lewej powieki, jakby zde gustowany nagłą przeszkodą.

Mirecki przechodził prawdziwe piekło. Doskonale wyczuwał najmniejsze poruszenie skrzydlatego intruza. Był jednak zupełnie bezradny. Tymczasem nieoczekiwanie bąk wzbił się w powietrze. Burmistrz doskonale widział teraz, jak kołuje leniwie nad jego twarzą. Modlił się w duchu, by owad odleciał. Pomyślał o herbatnikach leżących na niewielkim szklanym stoliku konferencyjnym. Tam leć, tam są doskonale ciasteczka, powtarzał w duchu, jakby starając się telepatycznie pokierować bąkiem.

Nagle wszystkie nadzieje spaliły na panewce. Owad usiadł na dolnej wardze półotwartych ust. W ciągu jednej strasznej chwili Mirecki zrozumiał, co zaraz nastąpi. Wielki bąk bezceremonialnie wszedł do środka, najwyraźniej zadowolony, że udało mu się znaleźć tak przytulne schronienie.

Rozległy się głosy. Ekipa pogotowia ratunkowego.

Lekarz musiał już mniej więcej wiedzieć, co się dzieje, bo od razu przystąpił do działania. Wprawne, silne ręce pochwyciły go, zdjęły z fotela i ułożyły na dywanie. Ujrzał nad sobą dwóch mężczyzn. Jeden z nich ubrany był w czerwony kombinezon z odbłaskowymi naszywkami, drugi w biały kitel. Ten w kitlu przycisnął palec do jego tętnicy szyjnej.

Jestem uratowany, przemknęła mu przez głowę myśl. Mimo znajdującego się w ustach owada wstąpiła w niego jakaś nadzieja.

Poczuł, że lekarz rozwiązuje mu krawat i rozpina koszulę. Na piersiach wyczuł dotyk zimnej słuchawki.

– Brak akcji serca. Reanimacja – rzucił lekarz do sanitariusza. Czyjeś palce pochwyciły jego szczękę i odciągnęły ją w dół. Mirecki poczuł okropny ból. Przestraszony nagłym wtargnięciem do jego kryjówki owad użądlił w język i wyleciał z rozwścieczonym buczeniem.

– Cholera! Użarł go! – skomentował sanitariusz. – Żeby tylko nie był uczulony. Skąd mogłem wiedzieć!

Mireckiego ogarnęła rozpacz czarna jak noc. Ból pulsował w jego ustach, przyprawiając go niemal o szaleństwo. Czuł, że jakieś ręce uciskają mu klatkę piersiową, że ktoś wdmuchuje mu do ust powietrze. Myśli kotłowały mu się pod czaszką jak wodna kipiela.

– Bierzemy go do karetki – usłyszał.

Podnieśli go i ułożyli na czymś twardym. Widział nad sobą sufit i twarz lekarza. Znieśli go na dół, a potem upuścili budynek. Oślepiające światło słońca sprawiło mu straszny ból. Zrozumiał, że jego źrenice nie zwięzają się, a zatem nie są w stanie regulować dopływu światła. Kiedy sądził już, że oślepie na dobre, znalazł się wewnątrz karetki. Z hukiem zatrzaśnięto drzwi. Spodziewał się rabanu, zastrzyków, impulsów elektrycznych. Jakaś część jego umysłu nadal podsuwała mu obrazy znane z amerykańskich filmów pokazujących spektakularne akcje reanimacyjne. Zamiast tego przez chwilę panowała cisza. W końcu Mirecki usłyszał głos lekarza.

– Jakby to nie był waźniak, to już bym odpuścił – powiedział. – Facet jest martwy od co najmniej pół godziny.

– To co, lodoweczka, nie? – ni to stwierdził, ni zapytał sanitariusz.

Przez chwilę panowała cisza.

– Wiesz, potrzebowałem chwili do namysłu. Mamy trupka – odpowiedział lekarz – ale lepiej wygląda, że wzięliśmy go do karetki. Posiedzimy chwilę w środku i wyjdziemy. Jakby co, to była reanimacja jeszcze w karetce. Powinienem od razu stwierdzić zgon, ale może tak lepiej. W końcu to waźniak. Nie chcę, żeby później rodzina się czepiała.

– Uhm – odparł sanitariusz.

Mireckiego ogarnął bezgraniczny lęk, w którego falach utonął gdzieś ból, jaki sprawiło mu ukąszenie. Muszę coś zrobić. Cokolwiek. Poruszyć chociażby powieką lub małym palcem. Święty Boże, ratuj mnie!, krzychał w myślach. Uświadomił sobie, co go czeka. Zostanie pochowany, a jego świadomość będzie utrzymywać się jeszcze długo, długo po tym, kiedy na trumnę spadnie ostatnia gruda ziemi. A co będzie potem?

Wtem przypomniał sobie słowa mężczyzny wychodzącego z gabinetu. „Kiedy podejmie pan właściwą decyzję, proszę dać znać. Wystarczy, że pomyśli pan »tak«”.

Tak! Tak! – zaczął wrzeszczeć w myślach. Wszystko załatwię na już, na teraz, dam wam wszystko, co tylko będziecie chcieli, nie tylko las, ale wszystko...!

Nagle zdał sobie sprawę, że krzyczy na głos. Lekarz i sanitariusz odskoczyli przerażeni faktem, że trup właśnie ożył. Opuchlizna w ustach sprawiła, że wydobywał z siebie jedynie nieartykułowane dźwięki. Mimo to wrzeszczał nadal, nie mogąc się opanować. Darł się przez całe pół godziny, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie, mimo bólu, który zdawał się rozsadzać mu usta.

Decyzja została podjęta już następnego dnia. Drzewa wycięto, przekształcając dawny las w teren budowy. Szybkość, z jaką Mirecki podjął wszystkie decyzje, miała swoje dobre strony. Ekolodzy nie zdążyli przykuć się do drzew, a pierwsze nieśmiałe głosy protestu pojawiły się, gdy było już po wszystkim. Trudno w to uwierzyć, ale decyzja burmistrza przysporzyła mu więcej sympatyków niż przeciwników. Budowę osiedla większość mieszkańców zinterpretowała jako krok w dobrym kierunku. Las nie był w zasadzie nikomu potrzebny, „mieszkania dla młodych” – tak. Miał wszelkie szanse, aby wygrać w kolejnych wyborach. Specjaliści od kreowania wizerunku, z którymi współpracował od dłuższego czasu, doszli do wniosku, że dzięki wydarzeniom związanym z Lasem Małeckim można stworzyć nowy obraz Mireckiego – polityka służącego przede wszystkim ludziom i ich rzeczywistym potrzebom, któremu w dodatku udało się przechytryć ekologów i pokonać bezwład administracji. „Po pierwsze – człowiek”, miało brzmieć hasło nowej kampanii.

Wszyscy jednak mówili, że Mirecki zmienił się w ostatnim czasie nie do poznania. Niegdyś podrywacz, lew salonowy, człowiek mający na wszystko odpowiedź, teraz stał się zamknięty w sobie. Ci, którzy mogli oglądać go z bliska, zauważali, że lekko posiwiiał. Najczęściej składano to na karb przepracowania.

On tymczasem czekał. Wiedział, że telefon prędzej czy później zadzwoni lub że prędzej czy później do drzwi gabinetu rozlegnie się pukanie. Zjawi się mężczyzna, który po raz kolejny złoży mu propozycję nie do odrzucenia. A on nie będzie miał żadnej możliwości, aby mu się przeciwstawić. Nie, poprawiał się w myślach Mirecki, wpatrując się nieruchomo w drzwi. Nie jemu, lecz sile, która za nimi stoi.

Także w całym urzędzie coś się zmieniło. Na trawniku znajdowano martwe wróble. Częściej niż zwykle zacinęły się wejściowe drzwi, szwankowały faksy, wypływając szeregi niezrozumiałych znaków i słów. Obumierały doniczkowe kwiaty, za to w ogromnej ilości pojawiły się muchy. Na chodniku przed urzędem dzieci raz za razem rysowały kredą dziwaczne symbole. Dzieci, których nikt nigdy nie widział. Były to zdarzenia na pozór drobne, których uczestnikami stawały się różne osoby, i oczywiście nikomu z pracowników nawet przez myśl nie przeszło, by łączyć je w jakąkolwiek całość.

Dla burmistrza nieustanne wyczekiwanie i niepokój były jak rdzewiejąca powoli, ale nieubłagane burta statku. Czuło się, że pewnego dnia materiał straci swoją wytrzymałość, a czarna morska toń wdrze się do wnętrza okrętu. W tym przypadku okrętem był umysł Mireckiego.

Pracownicy z bliższego otoczenia burmistrza wyczuwali te niepokojące, targające nim emocje, ale oczywiście nie domyślali się, jaka jest ich prawdziwa przyczyna.

Pewnego dnia w jego gabinecie rozległ się głośny huk wystrzału.

*

Samobójstwo burmistrza miasta zostało utrzymane w tajemnicy. Oficjalnie podano, że „zmarł po długiej i ciężkiej chorobie”, do końca sprawując przyznany mu urząd i heroicznie znosząc cierpienia. Jego mizerny wygląd, podkrążone oczy i ziemista cera, jakie cechowały go przez

ostatni miesiąc, zdawały się tylko potwierdzać tę wersję zdarzeń. Jego podwładni wspominali, jak „niemal cudem” go odratowano. Kręcili głowami nad nieprzewidywalnością ludzkich losów, jedząc pączki i pijąc kawę.

„Coś niedobrego wisiało w powietrzu” – stwierdziła sekretarka, ale zamilkła zaraz speszona, nie wiedziała bowiem sama, co właściwie ma na myśli.

Pomimo deszczowej pogody na pogrzebie zjawilo się wielu ważnych gości. Było także sporo zwykłych obywateli miasta, których przygnała głównie ciekawość. Przybyły delegacje szkół, władz miejskich, policji, biskup i orkiestra dęta straży pożarnej. Niczyjej uwagi nie przykuł Erwin Bauer, stojący nieco na uboczu. Jego twarz częściowo skrywał otwarty czarny parasol. Uważny obserwator, gdyby tylko taki się znalazł, mógłby dostrzec na jego twarzy delikatny, szyderczy uśmiezek. Bauer odwrócił się, odszedł kilkanaście kroków, wyciągnął telefon i wybrał numer Albersa, by zdać relację z przebiegu uroczystości, słów, które padły, a także dostarczyć informacji o ludziach, którzy się pojawili. Nie było to już tak przyjemne jak obserwowanie pogrzebu. Coraz bardziej irytowała go konieczność tłumaczenia się przed przełożonym.

Niebawem jednak to on będzie rozdawał karty, tak jak zapewniał Głos.

ROZDZIAŁ 9

Ksiądz Stanisław Ruta obudził się gwałtownie, bez wyraźniej przyczyny. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś szmer lub głośne skrzypnięcie. Plebanię w Templewie, w której mieszkał od przeszło dwudziestu lat, znał jak własną kieszeń. Wiedział, jak skrzypią drzwi od kuchni, a jak te wejściowe. Znał na pamięć gamę wygrywaną przez stare schody prowadzące na pięterko, na którym miał swoją sypialnię.

– Zdawało mi się – mruknął cicho sam do siebie, odwrócił się na drugi bok i spróbował myśleć o czymś konkretnym, bo wtedy najłatwiej zapadał w sen.

Trzeszczenie zabrzmiało nieco głośniejsze. Tym razem był przekonany, że ktoś majstruje przy drzwiach wejściowych. Usiadł gwałtownie na łóżku i przez chwilę zastanawiał się, co robić. Całkiem się rozbudził. Zegar tykał miarowo w ciemności. Po omacku dotarł do włącznika światła. Miał nadzieję, że samo jego zapalenie odstraszy ewentualnego intruza. Rozległo się ciche pstryknięcie, ale światło się nie zapaliło. Tylko nie panikuj, pomyślał. Wygląda na to, że nawaliły bezpieczniki.

Starął się opanować ogarniający go niepokój i wymacał latarkę, którą ze względu na częste w tej okolicy przerwy w dostawach prądu trzymał przy łóżku.

Zszedł na dół. Światło latarki błędziło bezradnie po poręczach i ścianach. Pomyślał, że cały ten strach jest niepotrzebny. Być może jakiś parafianin potrzebuje jego pomocy.

– Kto tam jest? Odezwij się! – rozkazał, starając się, aby jego głos zabrzmiał odważnie i pewnie, jak głos silnego, młodego mężczyzny. Prawie mu się to udało.

Nie było żadnego odzewu. Ksiądz pomyślał, że albo wariuje na stare lata, albo ten ktoś przyczajony na ganku rzeczywiście ma złe zamiary.

Ruta podszedł na palcach do drzwi. Cieszył się, że na nogach ma miękkie kapcie, porusza się cicho i nie zdradza w ten sposób swojego położenia. Otwieranie drzwi byłoby ryzykowne i głupie. Zdarzają się przecież napady na plebanie. Nagle zobaczył coś, co sprawiło, że puls przyspieszył mu gwałtownie. Klamka powolutku poruszała się w górę i w dół. Zupełnie jakby ktoś uparcie próbował dostać się do wewnątrz. W tym ruchu było coś miękkiego, cyklicznego i uporczywego. Jakby po drugiej stronie nie stał wcale włamywacz z krwi i kości, ale ucieleśnione zło, przekonane, że prędzej czy później dopadnie go i wyrwie mu serce. Ten ktoś po drugiej stronie nie lękał się go, nie obawiał zdemaskowania ani konfrontacji. To on był myśliwym a ksiądz – ofiarą.

Duchowny wiedział, że powinien coś zrobić, ale był sparaliżowany świadomością, że od tego czegoś, co znajdowało się po drugiej stronie drzwi, dzieliło go ledwie kilkadziesiąt centymetrów. Nagle rozległ się cichutki, mrozący krew w żyłach chichot. Brzmiał, jakby należał do dziecka lub kobiety.

Mijały minuty i nic się nie działo. Klamka zastygła w bezruchu. W oddali przeciągle skowyczały psy. Ksiądz zaczął wycofywać się na zdrętwiałych nogach. Wiedział, że powinien zachowywać się bardziej racjonalnie. Powinien wyjść na piętro, otworzyć okno i uważnie rozejrzeć się po okolicy. Być może ktoś robił mu głupie kawały. Może jakieś dzieciaki? Nudzą się i...

Intuicyjnie wyczuwał jednak, że dzieje się coś bardzo niedobrego, coś, co działo się już kiedyś, dawno temu, kiedy był jeszcze młodym księdzem. Teraz znów powróciło, takie samo jak wtedy, pełne siły i złej woli. Czuł kryjącą się za drzwiami obecność, pełną złości i nienawiści, jakby ktoś bardzo źle mu życzył. A on był teraz stary i słaby. Odruchowo sięgnął do włącznika i – o dziwo – tym razem pokój zalało jasne światło.

O pójściu spać nie mogło być mowy. Duchowny udał się do kuchni i nastawił wodę na herbatę. Nadal drżały mu ręce. Przez resztę nocy czuwał i modlił się za dusze zmarłych.

ROZDZIAŁ 10

Łukasz rankiem zerwał się z łóżka jak rażony prądem. Mógł przysiąc, że ktoś potrząsnął go za ramię. Rozejrzał się, ale w izbie było pusto. To sen, pomyślał. W kuchennej szafce znalazł czajnik z gwizdkiem i pudełko z herbatą. Zastanawiał się, w jaki sposób zagotować wodę. Żałował, że nie pożyczył od Witka poręcznego palnika turystycznego. Wyglądało na to, że jedynym sposobem będzie rozpalenie ognia w kuchni. Przy piecu znajdował się metalowy pojemnik z wysuszonym drewnem i paczka z podpałką podobną do tej, jakiej zwykle używa się przy rozpalaniu grilla. Drewno błyskawicznie zajęło się ogniem i już po piętnastu minutach na blasze można było postawić wypełniony wodą ze studni czajnik.

Po śniadaniu pojechał do Międzyrzecza. Podróż zajęła godzinę. Zabrał ze sobą aparat, więc zrobił zdjęcie rzucającego się w oczy ratusza. Jest to duży gmach ze spadzistym dachem pokrytym czerwoną dachówką, ze starannie wykonaną elewacją w koralowym kolorze.

– Musi pan koniecznie zobaczyć zamek – zagaił do niego jakiś mężczyzna. Łukasz odwrócił się i zobaczył starszego, uśmiechniętego pana wspartego na lasce. Był ubrany w szarą koszulę z kołnierzykiem i ciemne spodnie. – To średniowieczna twierdza obronna, wybudowana przez Kazimierza Wielkiego. Leży na pagórku, w rozwidleniu dwóch rzek, Obry i Paklicy. Stąd to jakieś trzysta metrów.

– Na pewno tam zajrzę – zapewnił Łukasz – choć może nie od razu. Teraz muszę znaleźć jakiś sklep – dodał, uśmiechając się... – A pan to widzę miejscowy, zna pan dobrze okolicę.

– Jestem miejskim przewodnikiem – odparł starszy pan. – Przy ulicy Zachodniej jest spory market. Trzeba wejść w Młyńską i iść prosto.

Kupił trzy duże razowe chleby pakowane w folię. Do nich dorzucił opakowanie margaryny, parę konserw, chińskich zupek i trochę owoców. Nie zapomniał też o kilku Żubrach. W dziale przemysłowym wyszukał największą latarkę. Miała z pół metra długości i zasilana była czterema bateriami.

Wiedział, że nie powinien szastać pieniędzmi, ale bardzo chciał kupić jeszcze jedną rzecz. W samotnym domu doskwierała mu cisza. Po chwili walki ze sobą samym wrócił do działu przemysłowego, gdzie do koszyka włożył małe przenośne radio. Dorzucił jeszcze zapas odpowiednich baterii i udał się do kasy.

Wyjeżdżając z Międzyrzecza, zauważył napis Biuro Nieruchomości „Posesja”. Umieszczono go na rzucającym się w oczy żółtym szyldzie. Zdecydował, że czas podjąć konkretne kroki w sprawie sprzedaży domu.

*

Ściany Biura Nieruchomości „Posesja” obwieszane były fotografiami domów. Mile zaskoczyło go gustownie urządzone wnętrze. Często w tego typu biurach króluje banalny, ascetyczny wystrój, a ściany obwieszane są naprędce wydrukowanymi ofertami. Tutaj było inaczej. Miało się wrażenie, że to sklep z antykami. Przy ścianie stał drewniany, staroświecki kredens, doskonale skomponowany z wykonanym z ciemnego drewna kontuarem. Na ścianach, oprócz oprawionych w proste, czarne ramki zdjęć starych domów, wisiały dwa dość dobre olejne obrazy przedstawiające pejzaże. W powietrzu unosił się delikatny zapach kadzidelka.

Za kontuarem siedziała elegancko ubrana w czerń, atrakcyjna szczupła brunetka. Łukasz od razu zauważył, że ma duże, piękne, intensywnie niebieskie oczy podkreślone makijażem w stylu Amy Winehouse.

– Dzień dobry, ja w sprawie domu – powiedział na powitanie.

– Dzień dobry, no cóż, do nas zazwyczaj przychodzi się w takiej sprawie. – Niebieskie oczy przyjrzały mu się uważnie i z lekkim rozbawieniem, ale zaraz spoważniały. – Nazywam się Marta Czajka i na pewno będę mogła panu pomóc.

– Jestem Łukasz Stańczuk. Mam do sprzedania drewniany dom, którego właścicielem jestem od niedawna. Mam ze sobą jego zdjęcia. Jest oddalony spory kawałek od Kurska, nie ma tam

elektryczności, ale za to są duchy.

Marta roześmiała się głośno. Był to śmiech szczery i spontaniczny, często świadczący o wewnętrznej dobroci. Łukasz poczuł, że dziewczyna mu się podoba. Monika nigdy nie potrafiła śmiać się w taki sposób.

– Duchy doprawdy potrafią uatrakcyjnić ofertę – stwierdziła. – Proszę, niech pan pokaże te zdjęcia. Zobaczmy, jaki z pana fotograf.

Podpięła aparat fotograficzny do komputera i przegrała zdjęcia, chcąc najwyraźniej oglądać je w większym formacie. Poprosiła też o dokumenty potwierdzające własność oraz dowód tożsamości, którym przyjrzała się z zainteresowaniem.

– Widzę, że pan aż z Zielonej Góry. – Uśmiechnęła się. – Mam tam daleką rodzinę. To piękne miasto.

– To prawda – odparł Łukasz. – Lubię las, a tam jest go pod dostatkiem.

– Jeśli chodzi o dom – brunetka przyglądała się uważnie zdjęciom – wygląda ciekawie. Podobają mi się takie stare budynki. Ale muszę pana zmartwić. Nie będzie łatwo go sprzedać.

– Jak to? – zdumiał się. – Słyszałem nieraz, że w tej okolicy chętnie osiedlają się Niemcy. Podobno wykupują wszystkie domy i działki!

– To w zasadzie prawda, jednak dotyczy to jedynie domów nad jeziorem Kursko i innymi jeziorami w okolicy. Niemcy chcą mieć przede wszystkim domki letniskowe, wygodne i służące do wypoczynku, do których mogliby przyjeżdżać na weekendy. Poza tym, domy nad jeziorami są zelektryfikowane i murowane. Przykro mi, ale w tych okolicach jest sporo opuszczonych, położonych w lasach domów, których nikt nie chce kupić. Nawet Niemcy.

Łukasz poczuł, że grunt chwije mu się pod nogami. Czyżby marzenia miały okazać się jedynie mrzonkami? Jeszcze kilka dni temu miał uczucie, jakby stał się posiadaczem królewskiej niemal fortuny, biletu do nowego życia. Teraz okazało się, że ma na karku balast, z którym trzeba będzie coś począć. W dodatku pochopnie zrezygnował z pracy...

Dziewczyna przyglądała się zdjęciom spokojnie i w milczeniu.

– A tu co, duch? – zapytała nagle z uśmiechem. Łukasz obszedł kontuar i pochylił się nad monitorem.

– Tutaj – wskazała.

Przyjrzał się zdjęciu, wyraźnie zaskoczony. Była to jedna z fotografii, które zrobił zaraz po przyjeździe. Zdawało się, że w oknie izby dostrzega jakąś postać, była ona jednak niewyraźna, zmniejszona i jakby zamazana.

– To pewnie ja sam – zreflektował się. – Dokładnie mówiąc, moje odbicie w szybie.

– Albo jakiś elektroniczny chochlik – podsumowała Marta. Odnosił wrażenie, że jego nagła fizyczna bliskość wcale jej nie przeszkadza. Zupełnie jakby znali się już od dłuższego czasu, a nie byli zupełnie obcymi ludźmi, którzy poznali się dopiero kilka minut temu.

Wrócił na swoje miejsce.

– Nie uwierzyłby pan, ile tego typu zjawisk pojawia się na zdjęciach starych domów – powiedziała dziewczyna, odgarniając czarne włosy. – Wystarczy pyłek kurzu unoszący się przed obiektywem lub jakieś dziwne załamanie światła, i już mamy „ducha”.

– Z duchami czy bez – odparł Łukasz – da się go jakoś sprzedać?

– Oczywiście, chętnie przyjmiemy tę ofertę i dołączymy do naszej bazy. Nie jest powiedziane, że nie znajdzie się jakiś chętny. Może trzeba będzie jednak poczekać.

Łukasz podał wszystkie niezbędne dane i wypełnił dokumenty. Marta wypytała go jeszcze o kilka szczegółów dotyczących konstrukcji, ale był w stanie udzielić jedynie ogólnych odpowiedzi typu „drewniany” lub „wyglądający solidnie”.

– Może powinnam przyjechać i obejrzeć budynek – powiedziała z uśmiechem. – Potencjalny klient może oczekiwać dokładniejszych informacji.

– Ależ proszę – odparł zadowolony. – Jeśli tylko nie zabłądzi pani w tej dziczy, nie utonie w bagnie i nie trafi na jakiegoś lokalnego pomyłca.

Wychodząc z biura, Łukasz przyjrzał się leżącej na kontuarze maskotce. Był to bardzo sfatygowany, szmaciany wróbel. Brakowało mu jednego oka i sprawiał wrażenie, jakby przejechała po nim ciężarówka.

– To moja ulubiona maskotka, prezent od taty – wyjaśniła Marta, widząc jego zainteresowanie. – Od dzieciństwa przynosi mi szczęście. Jest już bardzo zniszczona i ledwie zipie. Ma na imię Edward i przepędza złe sny.

– Naprawdę? Ja też mam lekkiego hopla na punkcie gromadzenia różnych drobiazków i pamiątek. Zawsze wydawało mi się, że zawierają w sobie cząsteczkę miejsca, z którego zostały zabrane.

– Absolutnie się z tym zgadzam – odrzekła dziewczyna i odprowadziła Łukasza do drzwi.

Kiedy zbliżał się do polany, zauważył, że przed jego leśną chatą zaparkowała srebrna toyota. Za kierownicą siedział siwy mężczyzna, który wysiadł od razu, gdy go zobaczył. Był szczupły i dość wysoki. Miał na sobie szare spodnie i czarną koszulę, a pod szyją koloratkę. Pod ręką trzymał podniszczoną teczkę z brązowej skóry.

Na widok duchownego Łukasz lekko się uklonił.

– Dzień dobry! – rzekł ksiądz, uśmiechając się przyjaźnie. A gdzie „Szczęść Boże”?, pomyślał Stańczuk. – Usłyszałem wieści, że do domu na Moczarach wprowadził się przybysz... Jedna z parafianek słyszała, jak pytał pan o Moczary i chatę w lesie. W tej okolicy wszyscy się znają, a plotki szybko rozchodzą. Nawet teraz, w dobie Internetu i telewizji satelitarnej, nowa twarz to pewnego rodzaju ciekawostka. Chciałem się przywitać, przyjechałem z Templewa, bo właśnie tam znajduje się parafia. Kościół w Kursku jest kościołem filialnym. – Na chwilę zawiesił głos, po czym uśmiechnął się rozbrajająco. – No dobrze, przyznaję się, sam byłem troszkę ciekawy, kim jest ten nowy przyjezdny. Aha, przepraszam, nie przedstawiłem się, nazywam się Stanisław Ruta i jestem proboszczem – uśmiechnął się ponownie.

Sprawiał wrażenie człowieka bardzo kulturalnego. Wydawało się, że w gruncie rzeczy jest zakłopotany i nie chce się narzucać.

– Właśnie wracałem ze spaceru – powiedział Łukasz. – Proszę, niech ksiądz wejdzie do środka. Zaparzę herbaty.

Kiedy siedli przy szklankach wypełnionych gorącym naparem, wyjaśnił krótko duchownemu, skąd i dlaczego przyjechał. Wytłumaczył mu również, że dom otrzymał w spadku od ciotki, siostry poprzedniego gospodarza.

– Z pana wujem nie miałem zbyt dużo kontaktu. Chodził własnymi drogami. – Ksiądz westchnął.

Łukasz zrozumiał, że nie mówi więcej, by go nie urazić. Szaleństwo wuja Bolesława musiało być w okolicy znane.

*

– I jak się panu tutaj śpi? Nie za zimno? – spytał duchowny, rozglądając się po pomieszczeniu. – W starych chatkach nawet latem panuje chłód... Nic pana nie niepokoi?

– Nie... wszystko w porządku – odparł Łukasz. – Tylko... wazoniki przesuwają się czasem same.

Spodziewał się innej reakcji. Sądził, że proboszcz weźmie jego stwierdzenie za żart i roześmieje się głośno. Duchowny jednak nagle jakby zdrętwiał. Po chwili milczenia, ważąc każde słowo, zapytał:

– W jakich okolicznościach to się dzieje?

Łukasz wyjaśnił, że chodzi o zabawną w gruncie rzeczy przygodę z kotem i obrusem. Sądził, że rozbawi swojego gościa, lecz ten robił się coraz bardziej nieswój. Rozglądał się z niepokojem. Usłyszał coś dziwnego lub spostrzegł coś, czego gospodarz nie potrafił zarejestrować? Na chwilę utkwił wzrok w rozciągającym się za oknem lesie, a nawet zmrużył lekko oczy, jakby między drzewami dostrzegł coś podejrzanego.

– To dość niebezpieczna okolica – stwierdził po chwili.

– Niebezpieczna? A co może być niebezpiecznego na takim odludziu?

– Okolice jest podmokła i zdradliwa. Krążą też słuchy o jakimś człowieku, który chodzi po lesie. Być może to zwykły włóczęga lub ktoś niespełna rozumu. Widziało go jednak wielu ludzi i podobno te spotkania nie należą do najprzyjemniejszych. Facet ponoć ma siekiere.

Łukasz drgnął. Przypomniała mu się noc w lesie i ciemna sylwetka między drzewami, a także drwal, który pomógł wydobyć samochód z rowu. Nie wyglądał na seryjnego zabójcę i nie zrobił mu krzywdy, choć niewątpliwie miałby po temu dobrą sposobność. Łukaszowi przyszło do głowy, że ostrzeżenia duchownego są co najmniej lekko przesadzone. Z pewnością wielu jest ludzi, którzy chodzą po lesie z siekierami, co nie znaczy, że każdy z nich jest krwiożerczym mordercą lub że mają jakiegokolwiek złe zamiary. Starał się jednak, żeby ksiądz Ruta nie zauważył jego niedowierzania. Nie chciał go urazić.

– Drogi panie, jeśli zamierza pan tu nocować, to dobrze radzę zamknąć drzwi na klucz. – Spojrzenie księdza było przenikliwe. – Chociażby poprzez wzgląd na te historie o włóczędze.

Łukasz pociągnął tylko nosem.

– I najważniejsze – kontynuował duchowny. – Gdyby pojawiły się jakieś problemy, jakieś... zdarzenia... których nie potrafi pan racjonalnie wyjaśnić, proszę natychmiast dać mi znać, dobrze?

Stańczuk nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Duchowny wstał.

- Muszę już iść.
- Nie wypił ksiądz herbaty.
- Może innym razem. Dziękuję. Do widzenia.

Niewielkie zapasy żywności zamierzał znieść do spiżarni. Poszedł do kuchni, podniósł klapę i zszedł po krótkiej drabince. Pomieszczenie było małe, ciasne i tak niskie, że musiał schylić głowę. Przypominało nieco grobową komorę. Do ścian przykręcono długie, podłużne półki. Na jednej z nich stało kilkanaście butelek. Po odkorkowaniu i powąchaniu jednej z nich Łukasz uśmiechnął się do siebie. Wszystko wskazywało na doskonałe, domowej roboty stare wino porzeczkowe.

W jego głowie cały czas rozbrzmiewały słowa księdza, gdy opowiadał o włóczędzie z siekierą.

Czy ta historia mogła być prawdziwa? Czy w lesie naprawdę widywano człowieka z siekierą? Czy mieszkanie w tej okolicy wiązało się z jakimkolwiek niebezpieczeństwem?

Nagle stanął jak wryty. Zaskrzypiała podłoga na górze. Ktoś chodził po kuchni... Nim zdążył zareagować, kłapa do spiżarni zamknęła się z głuchym hukiem.

- Hej, kto tam?! – krzyknął, starając się otworzyć klapę.

Nie był jednak w stanie tego zrobić. Ktoś przytrzymał ją od zewnątrz. Zdało mu się, że przez szczelinę dostrzega dziwny, szkarłatny blask. Pomyślał o ogniu i struchlał ze strachu. Przypomniał sobie, że nie zamknął drzwi za wychodzącym księdzem. Kto wie, może do środka wszedł jakiś czubek, może ten wariat z siekierą i postanowił wszystko spalić? Uwięził go, stawiając na włazie kredens. Mógł to zrobić, jeśli był wystarczająco silny. Łukasz zaczął wrzeszczeć ze wszystkich sił i walić drabiną o klapę.

Nagle włąz odskoczył. Dostrzegł twarz ojca Ruty pochylającego się nad otworem.

- Nic się panu nie stało?
- Czy nic mi się nie stało?! – wrzasnął Łukasz. – Co ksiądz, do cholery, wyprawia?
- Wróciłem po teczkę... Usłyszałem krzyki.

Łukasz pomyślał, że stary, zdziwaczały dureń karmiący ludzi historyjkami o włóczędzich zabójcach najwyraźniej chciał go przestraszyć. Pewnie zrywał boki ze śmiechu, stojąc na kłapie i słysząc jego opętańcze wrzaski.

- Wynoś się pan! – powiedział. – Proszę stąd wyjść i nie nachodzić mnie więcej.

Duchowny tylko lekko skinął głową. Następnie ściskając pod pachą swoją teczkę, odwrócił się i wyszedł, tym razem na dobre.

Stańczuk postanowił dobrze się przygotować do nadciągającej nocy. Kiedy było jeszcze widno, zamknął od środka wszystkie okiennice. Z satysfakcją zauważył, że haki, w które były zaopatrzone, wyglądają na solidne. Aż do zupełnego zmroku siedział na progu wejściowych drzwi. Obserwował okolicę, popijając piwo. Kilka razy widział, jak zarośla w oddali poruszają się, ale nie wybiegło z nich żadne zwierzę. Kiedy zrobiło się już prawie ciemno, wrócił do

środku, zamykając drzwi na cztery spusty. Włączył nowo zakupione radio. Uznał, że trochę muzyki doda mu otuchy w tej głuszy.

Ostatecznie wyszukał stację nadającą jazz. Stres związany z dziwnym wydarzeniem powoli go opuszczał. Nadchodziła noc.

ROZDZIAŁ 11

W tym samym czasie ksiądz Stanisław Ruta siedział w znajdującej się na tyłach kościoła bibliotece parafialnej. W skład kolekcji wchodziły nie tylko książki religijne, ale także historyczne, a nawet przygodowe i fantastyczne. Ruta czytał dużo i chętnie, to pozwalało mu zachować umysł w dobrej formie. Swoją pasją starał się zarazić młodych parafian, ale w tej kwestii jego osiągnięcia były mizerne. Bibliotekę rzadko kto odwiedzał, a ksiądz czasem rozmyślał o książkach jak o skarbach, które leżą niechciane, niedocenione i porzucone.

Ruta odłożył na bok opasy tom i sięgnął po następny. Do czytania używał nie tylko okularów, ale też dużej, podświetlanej lupy. Spełniała ona dwojaką funkcję. Umożliwiała czytanie drobnego druku, ale też służyła jako swoista zakładka, pomagała skupić wzrok i uwagę na określonym akapicie, a z wiekiem przychodziło mu to coraz trudniej.

Ślęczał teraz nad wielkimi segregatorami wypełnionymi wycinkami z gazet. Wiele artykułów i notatek prasowych dotyczyło go osobiście, sam pomógł rozwiązać niektóre z opisanych zagadek. Fakt, że wycinał i kolekcjonował te fragmenty, nie był wcale jakimś przejawem egocentryzmu i uwielbienia dla własnej osoby, jak w pierwszej chwili można by pomyśleć. Chodziło o coś innego, o jakieś dręczące go od dawna przecucie. Podobne przecucie odzywa się w pięciolatku, gdy widzi rozrzucone klocki z literami, z których można by ułożyć wyraz. Takie samo wrażenie miewają fizycy, obserwując skomplikowane wzory opisujące mechanizmy rządzące Wszechświatem, lub zwiedzający wpatrujący się w enigmatyczną twarz Mona Lizy. Słowem, czuł, że istnieje jakaś tajemnica związana z okolicą, a opisywane wydarzenia mogą go do niej doprowadzić. Zaczął czytać wzmiankę o dwóch zaginionych dziewczynkach, w wieku dziewięciu i jedenastu lat. Siostry przyjechały z rodzicami na biwak w okolice jeziora Kursko. Oddaliły się od mamy i taty, po czym po prostu przepadły bez wieści. Poniżej znajdowała się wzmianka o zaginionym grzybiarzu. To zdarzenie również miało miejsce w okolicznych lasach. W artykułach wspomniano o podmokłych terenach, o grasujących sforach dzikich psów, niezabezpieczonych bunkrach. Kilka artykułów z lat 1960-1970 utrzymanych było w dziwnie prześmiewczym tonie, co nie licowało przecież zupełnie z treścią wiadomości. „Ten obywatel chyba zgubił drogę do domu” lub „...ułańska fantazja niedoszłego turysty najwyraźniej zemściła się na nim” – podsumowywali dziennikarze. Albo więc traktowali te sprawy z lekceważeniem, albo... z jakiegoś powodu musieli w ten sposób o nich pisać.

Stanisław Ruta był człowiekiem niezwykłym, miał potężnie rozwiniętą intuicję i dar jasnowidzenia. Niektórzy z okolicznych mieszkańców, szczególnie ci starsi, wiedzieli o jego zdolnościach. Przychodzili często, prosząc o dotyczącą zdrowia diagnozę lub pomoc w

odnalezieniu zaginionej osoby. Duchowny pomagał, kiedy było to możliwe.

Było coś dziwnego w jego zdolnościach. Czasem nie potrafił odnaleźć zaginionej osoby, pomóc w zdiagnozowaniu przyczyn choroby. Innym jednak razem, nie wiedząc czemu, wizja pojawiała się samoczynnie, nagle, jakby niezależnie od niego. Najbardziej bał się spokoju. Kiedy pytano go o jakąś zaginioną osobę i czuł spokój, porównywalny z niewzruszoną, skutą lodem powierzchnią jeziora, oznaczało to, że człowiek ów najprawdopodobniej nie żyje. Gdy jednak wyczuł sprzeczne emocje, chaos i wątpliwości – była nadzieja. Życie było niepokojem, a śmierć ciszą i równowagą. Łatwiej było znaleźć zmarłego niż żywego. W pewnych przypadkach jednak, w pewnych szczególnych przypadkach, na myśl o zaginionych lub zmarłych ogarniał go dojmujący lęk i złe przeczucia.

Ruta już dawno zauważył, że przy odnajdywaniu zaginionych ludzi bardzo pomocne są przedmioty, które do nich należały. Ważnym elementem było również zdjęcie, pozwalające wytworzyć w umyśle obraz poszukiwanej osoby.

W latach osiemdziesiątych duchownego spotkało kilka nieprzyjemności. Musiał gęsto tłumaczyć się przed milicją, a także urzędnikami z Międzyrzecza, którzy podejrzewali go o oszustwa. Groziło mu nawet więzienie. Uratowało go to, że za swoją pomoc nigdy nie wziął ani grosza. Uznano go więc nie za oszusta, lecz za niegroźnego wariata i zakazano tych praktyk. Ale ludzie dalej przychodzili po pomoc, po kryjomu, nieraz pod osłoną nocy i wichury. Zdarzały się nawet nie do końca poważne sytuacje, gdy mieszkańcy prosili go o odnalezienie zwierzęcia czy zagubionej rodzinnej pamiątki.

Czasy się zmieniały i całkiem niedawno u księdza zjawiała się policja. Ruta był początkowo przekonany, że znów czekają go kłopoty i niekończące się przesłuchania. Tym razem postanowiono jednak skorzystać z jego niezwykłego daru w tak zwanej „sprawie geologa”. Lokalnej policji zależało na szybkim rozwiązaniu zagadki naukowca, który przepadł bez wieści. Oczywiście policjant, który zjawił się u księdza, prosił o dyskrecję. Stwierdził bez ogródek, że gdyby fakt korzystania z pomocy jasnowidza ujrział światło dzienne, komenda w Międzyrzeczu oficjalnie wszystkiemu zaprzeczy.

Rucie udało się wskazać bezbłędnie podmokłe bagnisko w środku starego lasu, gdzie znaleziono ciało i samochód. Zrobił to podczas wizji lokalnej, z dokładnością do kilku metrów. Do dziś pamiętał wybałuszone ze zdumienia oczy policjantów.

Wskazał miejsce i kategorycznie odmówił dalszych wyjaśnień. Zresztą o czym miał mówić policjantom? O wizjach, które prześladowały go w związku z tą sprawą? O mroku, który w jego snach wypełzał spod drzew? Złowrożej obecności, którą wyczuwał w ciemnościach? O zwodniczym wołaniu rozlegającym się w lesie i mającym za zadanie wciągnąć człowieka w pułapkę? Tkwiło w nim przekonanie, że zaginięcia, które zdarzały się w okolicznych lasach, często nie były zwykłymi wypadkami.

Przypomniał sobie sprawę grupki dzieciaków wracających z dyskoteki. Z dużą prędkością uderzyli w drzewo. Zginęli na miejscu. Policja podała, że przyczyną był alkohol, chociaż sekcja zwłok wykazała, że kierowca był trzeźwy... Kilka dni później Ruta wybrał się na miejsce wypadku. Pod drzewem stały zapalone znicze. Z miejsca wyczuł jakieś dziwne wibracje. W odległości trzydziestu metrów nie było na drodze innych drzew. Tylko to jedno, w dodatku

namalowano na nim biały ostrzegawczy pas. Nie sposób było tego drzewa nie zauważyć. Oczywiście, nie można było wykluczyć, że w samochodzie trwała wesoła impreza, a kierowca w ciemności zszedł z szosy. Albo że po prostu zasnął. Jednak przecucie mówiło księdzu coś innego. Że kierowca się wystraszył. Że coś nagle pojawiło się wtedy na drodze. Ruta spacerował jakiś czas po okolicy, starając się intuicyjnie wyczuć, co mogło się wydarzyć. Wizja pozostawała jednak niewyraźna.

Ksiądz podszedł do stojącej w kącie szafki, wyjął z kieszeni sutanny kluczyk i otworzył drzwiczki. Wydobył kolejny segregator. Ze zgromadzonych w nim prasowych wzmianek wynikało, że po wojnie w Międzyrzeczu działało towarzystwo o nieco dziwacznej nazwie „Nowa Synagoga”. Nazwa mogła sugerować, w opinii Ruty, że jego założyciele byli Żydami lub w jakiś sposób nawiązywali do tradycji judaistycznej. Według zdawkowych informacji było to towarzystwo o dość hermetycznym charakterze, przeznaczone dla wybranych osób.

„Nowa Synagoga” – myślał Ruta – niepokojąca i przewrotna nazwa. „Nowa”, czyli inna od dotychczasowej. Być może przeciwstawna tej oficjalnej. Być może słowo „Synagoga” należało rozumieć bardziej metaforycznie. Przecież mówiąc „kościół”, też nie zawsze ma się na myśli tylko budynek lub instytucję. Często używa się tego słowa w znaczeniu duchowym, określając mistyczne ciało Chrystusa. Być może to samo oznaczała w tym przypadku „Synagoga”, tylko że wcale nie chodziło oczywiście o ciało Chrystusa, ale... Kto wie, czym w rzeczywistości zajmowali się członkowie towarzystwa. Może ich działalność stała się przyczyną zła, którego manifestacje daje się odczuć po dziś dzień? Być może otworzyli coś na kształt drzwi, których nie powinno się otwierać?”

Były to jednak jedynie fantastyczne przypuszczenia, opierające się raczej na wyobraźni i intuicji niż na faktach.

Nagle coś dziwnego zaczęło dziać się ze światłem. Świetlówki zaczęły przygasać. Ksiądz poczuł, że ogarnia go lęk. Z doświadczenia wiedział, że ludzkie myśli stanowią rodzaj energii, która może oddziaływać na rzeczywistość. Może niepotrzebnie zaglądał do starych wycinków, może niepotrzebnie myślał tyle o całej sprawie, budził uśpioną między kartkami przeszłość. To coś, czymkolwiek było, czego istnienie ksiądz wyczuwał najczęściej w sennych koszmarach, mogło to wyczuć.

Po chwili jarzeniówki stały się jedynie fosforyzującymi w ciemnościach rurkami. Wtem Ruta dostrzegł coś kątem oka, coś tuż za oknem.

Zaprzagnął jak najszybciej odwrócić wzrok i uciec, ale było już za późno. Za szybą, w mroku dostrzegł zaglądnącą do wewnątrz twarz kobiety. Twarz była blada, sprawiała wrażenie trumiennej maski. Najdziwniejsze było to, że znajdowała się do góry nogami, lecz długie włosy zjawy nie opadały w dół, lecz spoczywały na okrytych białym całunem ramionach. Postać skojarzyła mu się błuznierczo ze świętym Piotrem, ukrzyżowanym do góry nogami.

W skrajnym przerażeniu zaczął się wycofywać w stronę drzwi. Ramieniem strącił segregatory, które z hukiem spadły na podłogę. Przewrócił również krzesło. Był pewien, że to, co dostrzegł, nie jest żadnym przywidzeniem. Wyraźnie wyczuwał emanującą od zjawy wrogość i nienawiść, od której cierpła skóra. W pomieszczeniu nagle zrobiło się zimno, zupełnie jakby ktoś w środku

stycznia otworzył okno. Szyba pękła na pół z brzdękiem.

To nie ma wstępu na poświęconą ziemię, nie ma wstępu na poświęconą ziemię... kołatało mu się gdzieś w głowie.

Pośpiesznie ruszył w stronę przejścia prowadzącego do wnętrza kościoła. A gdy znalazł się w świątyni, mrok przed oczyma pozbawił go poczucia rzeczywistości. Upadł nieprzytomny.

Kiedy się ocknął, ujrzał nad sobą zatroskaną twarz kościelnego Antoniego.

– Proszę księdza... co się stało? – mężczyzna szarpał go lekko za ramię. – Szczęście, że byłem akurat w pobliżu. Światło przygasło, myślałem, awaria jakaś musi być. Wchodzę, patrzę, a tu ksiądz na ziemi. Zasłabło się czy co?

– Tak... tak... Poczułem się... źle... – wymamrotał duchowny, siadając na ziemi. – Ale już lepiej.

– Może trzeba lekarza wezwać, pogotowie? – dopytywał się Antoni. Był niemal łysy i przekroczył już dawno siedemdziesiątkę. Miał na sobie białą komżę z małym, wyhaftowanym czerwonym nicią krzyżykiem, czarne spodnie zaprasowane na ostry jak brzytwa kant i lakierki. Pałkowate nogi zdradzały spore problemy ze stawami.

– Nie, nie trzeba. – Ksiądz Stanisław postanowił wziąć się w garść i z pomocą kościelnego wstał z ziemi. – Już w porządku. Posprzątam trochę w bibliotece i zaraz wracam na plebanię.

Kiedy kościelny, oglądając się raz po raz za siebie, niechętnie odszedł, Ruta wrócił do biblioteki. Drżącymi rękami szybko zebrał segregatory. Nie chciał, by przypadkowo dostały się w niepowołane ręce. Odniósł je do szatki i zamknął ją na klucz, który włożył do kieszeni. W końcu przemógł się i spojrział w okno, w którym wcześniej ujrzał upiorną postać. Teraz zobaczył tylko smolistą czerń nocy. Szyba pęknięta na dwoje świadczyła jednak, że to, co widział, nie było jedynie koszmarnym przywidzeniem. Przeżegnał się i wyszedł czym prędzej z biblioteki, gasząc za sobą światło i zamykając drzwi na klucz.

ROZDZIAŁ 12

Następnego dnia Łukasza odwiedziła Marta z „Posesji”. W błękitnej bluzce i wytartych, podkreślających zgrabną figurę dzinsach wyglądała uroczo. Na nogach miała jasne, sportowe buty.

– Dzień dobry panu – powiedziała z nieco figlarnym uśmiechem. – Przyjechałam rzucić okiem na ten dom. Przyznam, że wygląda dość... stylowo.

– Może moglibyśmy mówić sobie po imieniu? – zaproponował Łukasz. Marta miała w sobie coś, co go pociągało, a jednocześnie onieśmiało.

– Szczerze mówiąc, sama chciałam o to spytać.

Jego nowa znajoma obeszła dom dookoła, przyglądając się uważnie ścianom.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ten dom prawdopodobnie był zbudowany na jakichś starych fundamentach. Przy najmniej tak to wygląda z tej strony – stwierdziła, opukując ścianę z miną znawcy.

Rzeczywiście. Dolny fragment budynku był wykonany z zupełnie innego drewna. Część podmurówki również sprawiała wrażenie, jakby była starsza niż reszta domu.

– Rozumiem, że zainteresowanie moja ofertą jest na razie znikome? – zagadnął.

– Proces sprzedaży nieruchomości nie jest taki prosty. Muszę wypełnić dokumenty, dokładnie obejrzeć dom i dopiero wtedy umieszczamy ofertę w naszej bazie – przyznała bez ogródek Marta. – Znalezienie klienta również może nie być łatwe. Zainteresowani szukają przede wszystkim działek nad jeziorem. Samotny dom w głębi lasu, chociażby nie wiem jak klimatyczny i stylowy, ale pozbawiony elektryczności, nieprędko kogoś zainteresuje.

– A miałem takie wielkie plany...

Opowiedział Marcie o swoim pomysłe otwarcia własnego biznesu. Zapytała, co właściwie chciałby robić, a gdy nie potrafił udzielić żadnej konkretnej odpowiedzi, popatrzyła na niego z pobłażliwością, jak na niepoprawnego marzyciela.

Łukasz zaprosił dziewczynę do środka i poczęstował herbatą. Rozmawiało im się doskonale. Marta chciała wiedzieć, dlaczego wybrał akurat socjologię i jak minęły mu lata studiów w Zielonej Górze. Wspomniał o swoich problemach ze znalezieniem pracy. Okazało się, że Marta była w podobnym położeniu. Sama była absolwentką filozofii w Toruniu. Koniec studiów oznaczał koniec mieszkania w akademiku. Żadna z dostępnych ofert pracy nie gwarantowała zarobku na tyle wysokiego, by mogła pomyśleć o własnym mieszkaniu. Po powrocie do rodzinnego Międzyrzecza również nie było dla niej żadnej lepszej pracy. Nie mając wielkiego wyboru, zatrudniła się w biurze nieruchomości. Nie czuła się z tym najlepiej. Powrót do domu i rodziców był dla niej w pewnym stopniu przyznaniem się do porażki.

– Uważam, że świetnie sobie radzisz w pracy – stwierdził Łukasz.

– Serio?

– Jasne. Chociaż uważam, że z twoim wykształceniem powinno się znaleźć dla ciebie coś innego. Tak zapewne byłoby w jakimś normalnym kraju.

– Co na przykład?

– No nie wiem... przecież tyle teraz się mówi o tej etyce, którą mieli wprowadzać do szkół. Poza tym, mogłabyś uczyć filozofii w jakiejś szkole czy coś w tym stylu.

– No co ty... – odparła, marszcząc nos. – Też mi się kiedyś tak wydawało. Tak naprawdę nikt nie chce wprowadzać przedmiotów, które uczą ludzi krytycznego myślenia. Komu się to opłaci? Potrzebni są raczej obywatele, którzy będą dużo kupować, a nie myśleć.

Rozumiał Martę aż nadto. Wiedział, że mimo iż dawała sobie radę w tej pracy, to najchętniej znalazłaby coś lepszego.

Zaproponował spacer po lesie, ale był niemal pewien, że dziewczyna odmówi. Z doświadczenia wiedział, że kobiety niechętnie przedzierały się przez leśne ostępy. Należałoby raczej zaproponować spotkanie w restauracji lub kino. Marta była jednak inna. Od razu przystała na propozycję. Łukasz zabrał z chaty aparat fotograficzny i już za chwilę wyruszyli na krótką wyprawę.

Wokoło roztaczało się gorące, leniwe lato w całej pełni. W takich chwilach zawsze miał uczucie jakiejś ponadczasowości, jakby lato sprzed roku, sprzed trzech lat, a nawet dwudziestu – było wciąż tym samym, wiecznym latem, wehikułem czasu pełnym gorąca, śpiewu ptaków i

zapachu lasu.

– Musimy uważać – powiedział pół żartem, pół serio. – Słyszałem plotki o jakimś szaleńcu, który krąży po okolicy.

– Też słyszałam te historyjki. I to jeszcze jako mała dziewczynka.

– I co o nich sądzisz?

– Sama nie wiem. To chyba taka bajeczka... coś w stylu „czarnej wołgi”, która jeździ i porywa dzieci.

– Straszak dla rodziców, którzy chcą przywołać swoje pociechy do porządku, co?

– Właśnie.

Łukasz pomyślał, że to całkiem logiczne. W lasach były liczne bunkry i podziemia. Rodzicie straszili więc dzieci, żeby te nie oddalały się zbyt od domów.

– Chodzić po podziemiach bez dobrego przewodnika to jak wskoczyć na głęboką wodę, nie umiejąc pływać – oznajmiła Marta. – Łaziłam po tych bunkrach już jako mała dziewczynka. Jak chcesz, kiedyś pokażę ci kilka.

Łukasz zgodził się bez zastanowienia. Liczył, że uda mu się zrobić sporo dobrych zdjęć. Nade wszystko jednak chciał lepiej poznać Martę.

– Zrobię ci kilka fotek– zaproponował.

Marta nie traktowała sesji zdjęciowej zbyt poważnie. Udawała, że chowa się za drzewami, stroiła miny i już po chwili oboje głośno się śmiali.

– Jeśli chcesz, pokażę ci zapomniany, stary cmentarz – zaproponowała w pewnej chwili.

– Świetnie. Daleko ten cmentarz?

– No, całkiem spory kawałek stąd. Stary cmentarz to tak naprawdę określenie na wyrost. Kilka kamieni, wytartych przez deszcze, które przy sporej dozie wyobraźni można uznać za nagrobki.

Łukasza przeniknął dziwny chłód. Wzmianka o grobach w lesie skojarzyła mu się z zapiskami wuja Bolesława. Czyżby jednak było w nich jakieś ziarenko prawdy?

– Uwielbiam cmentarze – odrzekł. – Zwłaszcza lubię je fotografować.

Dziewczyna prowadziła go przez las, na przełaj. Widać było, że zna okolicę, choć i ona kilka razy się wahała, zastanawiając, w którą stronę pójść. Znajdowali się już dobry szmat drogi od starej chaty, kiedy dostrzegli polankę i ukryte w chaszczach kamienne płyty nagrobne. Rozpanoszył się na nich mech, a odczytanie napisów było już zupełnie niemożliwe. Okoliczne drzewa były stare i bezceremonialnie zapuściły korzenie w głąb cmentarnej ziemi. Wraz z wodą pobierały materię, która niegdyś była ciałami zmarłych, a teraz służyła jako ich własny budulec. W tym sensie cmentarny zakątek był pomnikiem nieustannego kołowrotu narodzin i śmierci, w którym jednak nic nigdy nie przemija na zawsze.

Atmosfera była tutaj inna niż w głębi lasu. Parne powietrze stało w miejscu. Nastrój wesołego spaceru nagle gdzieś się ulotnił. Miejsce to nawet za dnia emanowało smutkiem... i czymś jeszcze, co sprawiało, że Łukasz uważnie rozglądał się na boki. Wysokie drzewa otaczały polanę

niczym zgromadzeni nad trumną żałobnicy.

– Podobno w lesie znajduje się więcej takich miejsc – wyjaśniła Marta. – Wiele z nich potrafią wskazać jedynie najstarsi mieszkańcy. Kiedy opowiadałam o tym znajomym ze studiów, nie chcieli wierzyć. Dziwili się, jak to możliwe, by w środku lasu znajdowały się porzucone, zapomniane groby. Te okolice mają jednak swoją sekretną historię i nie wszystko jeszcze na ich temat wiadomo.

– Wiele tu tajemnic – zauważył Łukasz.

– To prawda. Podobno w lasach dokonywano nawet masowych egzekucji, tak przynajmniej wynika z opowieści starszych ludzi. Pewna kobieta zaprowadziła mnie kiedyś w miejsce, na którym, jak twierdziła, zamordowano kilkanaście osób. Mieszkańcy znajdują tu również czasem należące do poległych żołnierzy nieśmiertelniki.

– Aż mi ciarki przeszły po plecach.

– Tak – Marta skinęła głową. – Mnie też. Opowieści na temat tej okolicy są naprawdę niesamowite.

W głębi lasu rozległ się trzask łamanej gałęzi. Jakiś ptak krzyknął głośno.

– Co to było? – Łukasz zmarszczył czoło.

– Nie wiem.

– Chyba powinniśmy wracać. Cokolwiek łązi po tym lesie, nie mam ochoty się z tym widzieć.

Ruszyli z powrotem, opuszczając cmentarz i raz po raz oglądając się za siebie.

Przez całą drogę mieli wrażenie, że ktoś lub coś podąża za nimi. Nadal słyszeli trzaski gałęzi, mimo że pogoda była niemal bezwietrzna. W pewnym momencie Łukasz obejrzał się i serce niemal podeszło mu do gardła. Między drzewami dostrzegł ciemny, lawirujący kształt. Nie był to człowiek ani zwierzę. Jego ruchy były zbyt miękkie, zbyt pełzające.

Stańczyk złapał Martę za rękę. Nie powiedział jednak ani słowa o tym, co zauważył. Nie chciał jej jeszcze bardziej przestraszyć. Wyglądało jednak na to, że Marta coś wyczuła. Ostatni odcinek powrotnej drogi pokonali biegiem, przeskakując przez gałęzie i przedzierając się przez krzaki.

Kiedy na powrót znaleźli się na polanie, dziewczyna stwierdziła, że musi już wracać do domu.

– Może jeszcze kiedyś wpadniesz? – spytał Łukasz. – A może moglibyśmy spotkać się w Międzyrzeczu?

Uśmiechnęła się.

– Czemu nie. Odezwij się do mnie.

– Masz to jak w banku.

– A tymczasem uważaj na siebie.

Podeszła i delikatnie pocałowała go na pożegnanie w policzek.

Pomyślał, że jest szczęściarzem i pechowcem w jednej osobie.

Było już dawno po północy, ale Łukasz nie mógł zasnąć. Myślał o Marcie i o zupełnie

niewinnym pocałunku, jaki złożyła na jego policzku. Zastanawiał się, jakby to było pocałować ją w usta. Wspomnienie Moniki zbladło, zszarzało i nie miało już znaczenia. Lekiem na nieszczęśliwą miłość jest nowa miłość, lekiem na śmierć jest nowe życie. Nie można być szczęśliwym, spoglądając wciąż za siebie.

Radio grało cichutko. Nagle muzyka urwała się i nastąpiła seria trzasków, zupełnie jakby sygnał gdzieś się gubił lub ktoś poszukiwał odpowiedniej stacji. W tle, pomiędzy trzaskami, przebijała się dziwaczna melodia przypominająca fokstrotę. Na muzykę nakładało się coś, co brzmiało jak transmisja z nabożeństwa. Słysząc było długie ciągi recytacji. Wstał, żeby wyregulować urządzenie. Zaczął kręcić umieszczoną w bocznej ścianie odbiornika gałką. Wtedy usłyszał coś, co spowodowało, że oblał go zimny pot. Błyskawicznie cofnął dłoń, jakby radio było jadowitym wężem, który pragnie go ukąsić.

– Łukasz, Łukasz – dobiegło z głośnika. – Otwórz. Łukasz, otwórz. Łukasz, otwórz. – Nakaz brzmiał coraz mocniej.

Nie miał wątpliwości, że głos należy do jego zmarłej babci. Znał go od dzieciństwa i potrafił rozpoznać. Głośność zwiększyła się, choć nie dotknął pokrętła. Odbiornik huczał teraz tak, jakby nastawiono go na cały regulator. Łukasz spróbował go wyłączyć. Drżącą ręką przekręcił gałkę i radio zamilkło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Było głośne, stanowcze. Klamka poruszała się gwałtownie, jakby szarpana z wściekłością. Spod szpary w drzwiach sączyło się dziwaczne, czerwone światło.

– Łukasz, proszę otworzyć! – Dobiegający zza drzwi głos był cichy, ale rozkazujący, wręcz hipnotyczny. – Dziecko, otwórz! Babcia jest tutaj. Jest tutaj.

Łukasz pomyślał, że bez względu na wszystko, nie wolno mu otworzyć drzwi.

– Nie jesteś moją babcią, moja babcia nie żyje! – To, co miało być krzykiem dorosłego mężczyzny, zabrzmiało jak piskliwy, dziecięcy falset.

Przez chwilę nic się nie wydarzyło, ale potem rozległ się huk, wściekłe walenie do jednej z okiennic.

Następnie wszystko ucichło. Łukasz stał jak sparaliżowany, bojąc się poruszyć. Minuty mijały jak godziny, w końcu odważył się usiąść przy stole.

Zastanawiał się, co to mogło być. Zjawisko było zbyt wyraźne i zbyt złożone, by dało się mówić o złudzeniu. Być może tracił rozum, jak wuj Bolesław. Niewykluczone jednak, że kryła się w tym wszystkim jakaś tajemnica, sekret, który należało poznać. Kochał swoją zmarłą babcię, wspominał ją często, tak jak wspomina się bliską osobę, to znaczy w drobnostkach, które dla innych nie mają znaczenia lub nawet mogłyby wydawać się śmieszne. Pamiętał książeczki dla dzieci, które mu kupowała, gdy był mały, oraz to, jak kiedyś na meblach kilkakrotnie wypisał jej własną szminką „sto lat dla babci”.

Fakt, że jej głos został wykorzystany, by go przestraszyć i wywabić z chaty, miał w sobie coś potwornego. Przyszło mu do głowy, że cokolwiek to jest, naruszyło pamięć i spokój bliskiej mu osoby i powinno za to zapłacić.

ROZDZIAŁ 13

Nazajutrz Łukasz wybrał się do Templewa. Uznał, że potrzebuje jednak rady, pomocy i wiedzy duchownego. Było to kilka kilometrów od Kurska. Plebanię znalazł bez problemu. Zadzwoił do drzwi. Sądził, że otworzy mu jakaś gospodyni, ale w drzwiach stanął ksiądz Ruta we własnej osobie. Nie wyglądał najlepiej. Z lekka potargane włosy i podkrążone oczy świadczyły o nieprzespanej nocy. Łukasz otworzył usta, aby rozpocząć przygotowaną dyplomatyczną przemowę, gdy ksiądz podniósł dłoń i rzekł: – Proszę wejść.

Wnętrze plebanii urządzone skromnie i schludnie. Na środku pokoju, do którego został zaproszony Łukasz, stał duży, przykryty białym obrusem stół. Na ścianach wisiało kilka świętych obrazów. Największy z nich ukazywał skrzydlatego rycerza wbijającego długą włócznię w leżącego u jego stóp smoka. Święty Michał Archanioł, patron kaplic cmentarnych. Panował tutaj spokój i cisza, słychać było jedynie tykanie zegara umieszczonego na staromodnej komodzie. Mosiężne wahadło odchyłało się miarowo w prawo i w lewo niczym dyndający na sznurze wisielec. Okno do pomieszczenia było otwarte i biała firanka wydymała się raz po raz poruszana falą wpadającego powietrza, zupełnie jakby wprawiał ją w ruch jakiś niewidzialny duch.

Widać było, że ksiądz waży myśli i zastanawia się nad tym, co powiedzieć. Z komody wyciągnął dwie szklanki i porcelanową cukiernicę. Podreptał gdzieś z nimi, a po chwili rozległ się gwizd czajnika. Wreszcie gospodarz zjawił się z powrotem, stawiając na stole szklanki wypełnione gorącą herbatą. Usiadł naprzeciw Łukasza, opierając czoło na splecionych dłoniach, jakby przygniatał go jakiś niewidzialny ciężar. Łukasz postanowił trzymać na razie język na wodzy. Sytuacja przypominała nieco partię szachów, gdzie każdy długo zastanawia się nad swoim ruchem.

– Wiedziałem, że pan przyjdzie do mnie, prędzej czy później – przerwał w końcu ciszę ksiądz. – Wtedy gdy usłyszałem, że do domu na Moczarach wprowadził się ktoś nowy, postanowiłem przeprowadzić małą wizję lokalną. Widzi pan, to miejsce jest szczególne, jak i w pewnym sensie cała okolica.

– W jakim sensie „szczególne”?

– To dosyć długa historia. Chciałbym, żeby uzbroidł się pan w cierpliwość. Niech pan nie odrzuca z założenia tego, co powiem, chociaż cała sprawa może wydawać się dość niewiarygodna. Do parafii w Templewie trafiłem niemal trzydzieści lat temu. To kawał czasu, i kiedy teraz o tym myślę, widzę w tym jakieś przeznaczenie. Żaden z moich znajomych kapłanów nie sprawował swojej funkcji tak długo w tym samym miejscu. Widzi pan, cechowały mnie trzy rzeczy. Już wtedy posiadałem dar, który przejawiał się u mnie od dzieciństwa. Potrafiłem przewidzieć niektóre zdarzenia, łatwo odnaleźć zagubiony przedmiot, wskazać na ludzkim ciele miejsce dotknięte ukrytą nieraz chorobą.

Łukasz zawsze uważał, że ma otwarty umysł. Mimo to słów duchownego postanowił słuchać z dużą dozą krytycyzmu. Ksiądz miał już swoje lata, a przecież starsi ludzie czasem chętnie mieszają w swoich opowieściach fikcję z prawdą. Z drugiej jednak strony, Stańczuk słyszał już o

podobnych paranormalnych zdolnościach u niektórych ludzi.

– Interesowała mnie też miejscowa historia – ciągnął duchowny. – Zawsze byłem człowiekiem ciekawym świata. Szczerze mówiąc, jako młody seminarzysta liczyłem po cichu, że trafię do dużego miasta, marzył mi się Wrocław lub Kraków, ale los chciał inaczej. Szybko doszedłem do wniosku, że Międzyrzecz i pobliskie tereny to również bardzo interesująca okolica.

– Słyszałem o znajdujących się tu bunkrach – powiedział Łukasz.

– Właśnie, bunkry. Niemcy budowali je przez tyle lat. A potem, kiedy miały miejsce działania wojenne, prawie w ogóle z nich nie korzystano. Czy to nie zastanawiające?

– Może po prostu front przesunął się bardzo szybko – zasugerował Stańczuk. – Zmienił się sposób prowadzenia wojny... Żołnierze nie siedzieli już w okopach, nie chowali się w bunkrach.

– Być może jest to jakieś wytłumaczenie. Ale moim zdaniem niekompletne. Uważam, że żołnierze bali się do nich wchodzić.

Zapanowała chwila ciszy.

– Bali się... czego?

– Tego do końca nie wiem. Widzi pan, kiedy sprowadziłem się w tę okolice, od razu wyczuwałem, że w pobliskich lasach jest coś niepokojącego. Szczególnie po zapadnięciu zmroku. Trochę szperałem w starych gazetach, starając się zlepić pourywane wzmianki w jakąś całość. Podejrzewam, że przez pewien czas, w okresie powojennym, mogło tu działać coś na kształt towarzystwa okultystycznego.

Łukasz przypomniał sobie notatki wuja Bolesława. Postanowił jednak na razie o nich nie wspominać i słuchać dalej. Historia opowiadana przez księdza robiła się coraz bardziej dziwna i z pewnością mogłaby zainteresować Witka.

– Działalność tego towarzystwa nadal jest dla mnie sekretem. Myślę jednak, że mogli oni... nie wiem, jak to ująć. Poruszyć pewne siły. Otworzyć coś na kształt przejścia. Rozumie pan, jako katolicki kapłan uznaję przecież istnienie świata duchowego, niematerialnego, z wszystkimi tego konsekwencjami. Przecież w codziennej modlitwie wspominam o duszach zmarłych. Są to sprawy, których na pewno nie po winienem odrzucać.

Ksiądz zamyślił się na chwilę. Napił się herbaty i kontynuował:

– Cechuje mnie również dociekliwość i nieufność. Przez te wszystkie lata w pobliskich lasach, w dziwnych okolicznościach zaginęło wielu ludzi. Podejrzenie wielu. Niektórzy winili zarośla i mokradła, wśród których łatwo było zablądzić. Jeszcze inni mówili o samych bunkrach, które są pełne groźnych pułapek.

– Chwileczkę – przerwał Łukasz. – Rzeczywiście, po wojnie te tereny mogły być dość niebezpieczne. Zaminowane lasy, niezabezpieczone bunkry. Ale teraz? Czytałem w Internecie, że organizuje się tu szkolne wycieczki. Gdyby okolica była rzeczywiście aż tak niebezpieczna, to nikt by się na to nie odważył.

– Słusznie – stwierdził Ruta. – A czy przyjrzał się pan planom tych wycieczek? Są to dwie lub trzy trasy, sprawdzone wiele razy. Oficjalne trasy, na których wycieczki poruszają się oznakowanymi i oświetlonymi korytarzami. Zwiedzanie odbywa się oczywiście w dzień. Zapewniam jednak pana, że w okolicy są inne podziemia, o których wiedzą jedynie najstarsi mieszkańcy. Niektórzy opowiadają, że to nieznanne odgałęzienia bunkrów, z których z jakiegoś

powodu nie mieli odwagi korzystać nawet Niemcy. Inni znów twierdzą, że to nie bunkry, a podziemne kryjówki, które w zamierzonych czasach wykopał ktoś inny... w sobie tylko znanym celu. Mówi się, że wejścia do nich znajdują się między innymi w grobach. Zapewniam pana, że nikt nie odważyłby się wejść do tych ukrytych pomieszczeń nawet za dnia. O nocy nie wspomnę...

Opowieść księdza w niepokojący sposób łączyła się z notatkami wuja Bolesława, ale tak naprawdę o niczym to nie świadczyło. Obydwoj mogli paść ofiarą tych samych lokalnych legend.

– Wróćmy jednak do sprawy zaginięć – mówił proboszcz. – Czy wie pan, że w okolicznych lasach, w ciągu ostatnich trzydziestu lat znikło kilkanaście osób? Miejscowych i przyjezdnych. Oczywiście, mówię tylko o tych zdarzeniach, o których udało mi się dowiedzieć. Swego czasu Milicja Obywatelska niechętnie reagowała na takie zgłoszenia. Liczne niewyjaśnione zaginięcia psuły statystyki. Stara no się na wszelkie możliwe sposoby tuszować te zdarzenia. W przypadku młodych ludzi uparczywie mówiono o ucieczce z domu. W przypadku starszych osób o sklerozie, pijaństwie, mrozie, wypadkach, dzikich psach, które rzekomo zagryzały zagubionych staruszków.

Łukasz pomyślał, że w zasadzie słowa duchownego Ruty wydają się dość spójne i logiczne. Wierzył, że nagłaśnianie podobnych zdarzeń mogło być nie na rękę miejscowej policji, a co dopiero niegdyś – milicji. Przecież takie tajemnicze historie zawsze budzą u wielu ludzi zabobonny strach, co w prowadzonej niegdyś polityce ateizacji mogło być źle widziane. Im bardziej składne wydawało mu się to, co opowiadał ksiądz, tym bardziej nieswojo się czuł. Przyszło mu na myśl, że może w okolicy naprawdę dzieje się coś niezwykłego.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych pewien trzynastoletni chłopiec, mieszkający w pobliżu jeziora Kursko, wybrał się na ryby – mówił duchowny. – Kiedy długo nie wracał, zaczęto go szukać. Bano się, że mógł utonąć, chociaż pływał świetnie. Poszukiwania trwały całą noc. Był to jeden z tych niewielu przypadków, gdy zaginioną osobę udało się odnaleźć. Nie powiem, żebym nie miał w tym pewnego udziału. Chłopak siedział przerażony pod drzewem, nikogo nie poznawał. Kiedy zabrano go do domu, przez wiele dni trwał w letargu, z rzadka zapadając w sen, z którego budził się z przerażającym krzykiem. Wiem o tym, ponieważ bywałem w tym domu i znałem dobrze jego rodzinę. Po kilku tygodniach, dzięki czulej opiece bliskich, jego stan zaczął poprawiać się na tyle, że mógł mówić. To, co opowiadał, nie mieściło się w głowie. Twierdził, że pływając w łódce, ujrzał swoją młodszą, zmarłą siostrę, która namawiała go, aby wskoczył do wody i pobawił się z nią. Ujrzał ją najpierw z daleka, jako kroczącą po wodzie postać. Później zobaczył ją tuż koło łódki, w wodzie, poddaną już rozkładowi. Twierdził, że jakaś dziwna siła zaczęła poruszać łódkę, oddalając go od brzegu. Wskoczył do wody i desperacko usiłował dotrzeć na brzeg. Jakimś cudem mu się to udało. Jego babka twierdziła, że to zasługa poświęconego medalika, który chłopak nosił na szyi.

– Wygląda to na jedną z wielu ludowych opowieści... upiór, medalik – zauważył Łukasz.

– Jakkolwiek by nie oceniać tej relacji, musiało stać się coś bardzo niezwykłego. Stan

chłopaka zaczął się pogarszać. Twierdził, że to coś znad jeziora „zbliza się”. „To wraca po mnie” – tak dosłownie brzmiały jego słowa. – „Chodzi wokół domu”. W domu chłopaka zjawiała się milicja i lekarz. Doktor postawił diagnozę – halucynacje wywołane uszkodzeniem systemu nerwowego na skutek spożycia trujących jagód. Chłopaka, mimo protestów rodziny, przewieziono do szpitala dla umysłowo chorych, gdzie wkrótce zmarł. Milicja zakazała nagłaśniania tej sprawy.

– Może chłopak rzeczywiście zjadł coś, czego nie powinien. – Łukasz niespokojnie poruszył się na krześle.

– Tutejsze dzieci wychowują się w okolicznych lasach i świetnie wiedzą, które rośliny są trujące. Poza tym, ja także wędruję po lesie i wilczej jagody nie spotkałem tutaj nigdy.

Po wysłuchaniu historii księdza Łukasz nie miał już zahamowań przed opowiedzeniem własnych przeżyć. Zdawało się, że duchowny nie był wcale zaskoczony, gdy Łukasz opowiedział mu o dźwiękach dziwnej muzyki wydobywających się z radia, głosie zza drzwi i łomotaniu w okiennice. Wysłuchiwał relacji w skupieniu, od czasu do czasu zadając pytania.

Zrobiło się późno. Wyszli na ganek i rozmawiali jeszcze chwilę. Wokoło panowała noc. W okolicznych domach paliło się światło, gdzieś w oddali ujadł pies. Łukasz zauważył, że niebo zasnuwane jest jednolitą, ciemną pokrywą chmur. Było parno. Na ramieniu poczuł uderzenie zimnej kropli deszczu.

– Musi pan pamiętać, że mogą to być groźne zjawiska – powiedział mu ksiądz Ruta. – Wydaje się, że to coś, czymkolwiek jest, posiada zdolność tworzenia bardzo realistycznych wizji, przybierania różnych postaci, także osób zmarłych. Posiada też dużą wiedzę. Zna nasze słabości. Przez te wszystkie lata zauważyłem jednak prawidłowość. Wszystkie straszne wydarzenia dzieją się najczęściej po zmroku. Za dnia raczej się nie uaktywniają... Bez względu na to, na ile poważnie traktuje pan to, co mówię, mam coś dla pana.

Duchowny na moment wszedł z powrotem do wnętrza. Po chwili wrócił i podał Łukaszowi sporych rozmiarów plastikowy pojemnik oraz podłużny, zawinięty w szary papier pakunek.

– Tradycyjne, ale proszę mi wierzyć, skuteczne sposoby ochrony przed złem. To woda święcona i gromnica. Kiedy przyjdzie pan do domu, koniecznie proszę skropić wodą drzwi i okiennice. Gdyby atak się nasilił, proszę zapalić również gromnicę. Pod żadnym pozorem nie wolno wychodzić wtedy z domu. W najbliższym czasie przyjadę do pana i za stanowimy się, co robić dalej.

Opuściwszy plebanię, Łukasz poczuł na ciele kilka kolejnych zimnych kropelek spadającego deszczu. W oddali rozległ się ponury, basowy pomruk. Nadciągała burza. Zatrzasnął drzwi auta i szybko zamknął okna. Na szybach pojawiły się ciężkie plamy wody. Deszcz lunął z pełną siłą. Uruchomił silnik, włączył wycieraczki i zerknął w kierunku plebanii. Ruta stał nieruchomo na oświetlonym słabą żarówką, tonącym w strugach deszczu ganku. Powoli podniósł dłoń, ni to w geście pożegnania, ni błogosławieństwa.

Łukasz odpowiedział na gest, podnosząc otwartą dłoń, następnie wykręcił na drogę. W głowie miał prawdziwy mętlik. Wydarzenia zeszłej nocy sprawiły, że niczego nie był już do końca pewien. Pomyślał, że najlepiej będzie wziąć pod uwagę wszystkie możliwości, także te nie do

końca naturalne.

Las nocą wygląda zupełnie inaczej niż za dnia, zwłaszcza w czasie porywistej burzy i ulewy. Reflektory samochodu oświetlały drogę jasnymi snopami światła, wyławiając z mroku strugi deszczu. Wokoło panowała nieprzenikniona ciemność, Łukaszowi brakowało punktów odniesienia, dzięki którym mógłby zorientować się, gdzie jest. Wycieraczki pracowały nieustannie, ale nie przynosiło to większego efektu.

Miał niemiłe wrażenie, jakby płynął przez czarną głębię przepastnego oceanu. Żeby nabrać otuchy, włączył radio. Znalazł stację nadającą stare polskie przeboje. Zdzisława Sośnicka śpiewała piosenkę *Julia i ja*. Łukasz zawsze zastanawiał się nad tym tekstem. Kim właściwie jest tajemnicza Julia pojawiająca się, gdy zapadnie noc, i odchodząca, gdy z nieba znika Wielki Wóz?

Nagle niebo przecięła oślepiająca błyskawica. Zaraz potem rozległ się ogłuszający huk. Burza była dokładnie nad nim. Raptem na granicy słyszalności pojawiła się niepokojąca kakofonia dźwięków. Poczuł, jak lęk wdziera się w głąb jego ciała, niczym fala zimnej wody. W tle muzyki dało się usłyszeć jakąś dziwną litanie intonowaną przez monotonne głosy. Zdawało się przy tym, że dźwięk dochodzi to z radia, to znów gdzieś z oddali.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Nadsluchiwał. W dach i szyby samochodu jednostajnie uderzał deszcz. Głosy zdawały się zbliżać. Jeden z nich recytował coś w nieznanym języku, a chór odpowiadał. W pierwszym odruchu chciał natychmiast zapalić silnik, zawrócić i dodać porządnie gazu. W porę jednak się opamiętał. Szybka jazda w ciemności, wśród drzew, po podmokłej leśnej drodze, mogła skończyć się tragicznie. Po krótkim namyśle sięgnął po baniak z wodą święconą, wylał jej nieco na dłoń i spryskał wnętrze samochodu. Pomyślał, że gdyby ktoś widział, co robi, kazałby mu się postukać po głowie.

Zdołał dostrzec, że na prawo od drogi dzieje się coś dziwnego. W głębi lasu majaczyły kontury drzew, a przecież przed chwilą panowała tam kompletna czerń nocy. Wysilił wzrok, starając się poznać przyczynę tej przemiany. Drzewa podświetlał dziwny, niepokojący blask w kolorze krwi. Ognisko? – pomyślał w pierwszej chwili. Jednak możliwość, że ktoś mógłby spędzać noc w lesie przy takiej pogodzie, ocierała się o absurd. W dodatku blask zupełnie nie przypominał żółtego, ciepłego i drgającego światła bijącego zwykle od ognia. Blask zabarwiał na czerwono delikatną mgłę utrzymującą się ponad ziemią.

Purpurowe światło błędziło wśród drzew. Łukasz odwrócił wzrok, bojąc się patrzeć w jego kierunku, lecz po chwili znów spojrzął, kierując się zwykłą ciekawością, ale też i zasadą, że odwracanie wzroku od zagrożenia wcale nie powoduje, że ono znika.

Między drzewami, w pewnej odległości przesuwiała się ciemna, ponura postać odziana w powłóczystą, czarną szatę. Jej ruch był zbyt płynny i zbyt równomierny, aby dało się pocieszyć myślą, że jest to jedynie zbłąkany wędrowiec przedzierający się przez zarośla.

Nagle postać odwróciła się i spojrzała wprost na niego. Trudno było powiedzieć, czy jest to mężczyzna czy kobieta, ponieważ twarz zjawy przesłonięta była czymś w rodzaju czarnego welonu. Potem odwróciła się i znikła.

Łukaszowi mocno waliło serce. Wkrótce dźwięki zaczęły słabnąć, a radio zagrało przebój Kombi *Black and White*. Siedział przez dłuższy czas w samochodzie, zastanawiając się, co robić.

Spadam stąd, pomyślał. Natychmiast...

Po chwili światła reflektorów wyłowiły z mroku znajomą polanę. Odetchnął z ulgą. Był w domu.

Cały czas znajdował się pod wrażeniem szkarłatnego blasku i tajemniczej postaci. Jego rozbudzona wyobraźnia podpowiadała mu najrozmaitsze wyjaśnienia, począwszy od takiego, że padł ofiarą jakiegoś spisku, który ma na celu zastraszenie go, a skończywszy na możliwości, że istotnie zobaczył ducha, widmo lub wampira.

Przemknęło mu przez myśl, czy choroba wuja Bolesława nie mogła być wynikiem upiornej, działającej na wyobraźnię okolicy. Nie był w tym zakresie specjalistą, a jednak zwykły rozsądek podpowiadał mu, że podobne dolegliwości, jak urojenia czy schizofrenia, mogą przez lata pozostawać w uspieniu, po to, by ujawnić się w sprzyjających okolicznościach.

Przez chwilę zastanawiał się, czy sam nie popada w szaleństwo, choć opowieść księdza Ruty zdawała się temu przeczyć.

Tak jak mu zalecił duchowny, skropił chatę od zewnątrz i od wewnątrz wodą święconą. Zamknął też wszystkie okiennice oraz drzwi. Naftowa lampa dawała niewiele światła, a i to w taki sposób, że w kątach i narożnikach nadal czaiła się ciemność.

Starał się nie myśleć o tym, co zobaczył, jadąc samochodem, lecz niepokojące obrazy pojawiały się w jego głowie jeden po drugim. Udał się do kuchni, gdzie uświadomił sobie, że skończyła się woda. Owszem, na dnie wiadra coś chlupotało, ale była to ilość pozwalająca zaledwie na przyrządzenie małej filiżanki herbaty. O myciu się nie mogło być mowy. A więc czeka mnie jeszcze wypad do studni, pomyślał niezadowolony.

Na zewnątrz zerwał się wiatr i słychać było przypominające lament jęczenie otaczających chatę drzew. Było coś jeszcze. Jakby bardzo odległe wołanie o pomoc...

Wiatr naciskał na okiennice z niemal wyczuwalną siłą. Słychać było ciche trzeszczenie drewnianej konstrukcji dachu, przypominające odległy płacz noworodka.

Wrócił po butelkę z wodą święconą. Porwał też latarkę i ponownie wyjrzał na zewnątrz.

Niewiele było widać. Zimny wichur miotał drzewami. Słychać było trzaski opadających z drzew gałązek. Blask latarki oświetlał jedynie najbliższe otoczenie, zamierając i tonąc w ruchomych cieniach.

– Halo! Kto tam jest? – krzyknął głośno.

Wtem do jego uszu dobiegł dziwny, ironiczny chichot, od którego ścierpła mu skóra. Jakaś część świadomości zdał sobie sprawę, że chichot dobiega z nad jego głowy. Coś było na dachu. Nim zdążył się obejrzeć, poczuł, że jego głowy dotyka mała, zimna dłoń. Jednocześnie miał wrażenie, że wokół łydki oplata mu się oślizgły wąż. Wrzasnął i odruchowo chlusnął w górę święconą wodą. Rozległ się potępińczy, pełen wściekłości jęk. Były to jakby trzy przeraźliwe głosy: kobiety, mężczyzny i dziecka, splątane w jedną całość.

Niemal nieprzytomny ze strachu zatoczył się do wnętrza domu, upadł i walnął głową w ścianę.

Jakimś cudem zdołał zamknąć za sobą drzwi. A potem zemdłał.

Kiedy się ocknął, drżały mu ręce. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Jedno było pewne: nie miał zamiaru ponownie wychodzić na zewnątrz. Próbował się uspokoić, opanować, wytłumaczyć sobie, że to, czego doświadczył, mogło być jedynie przywidzeniem, halucynacją, ale doskonale wiedział, że to nieprawda. W głowie wciąż słyszał zdradliwe wołanie dobiegające z głębi lasu.

Poczłapał do pokoju i rzucił się na łóżko. Nie miał odwagi zgasić lampy. Długo starał się zapaść w sen, który nie nadchodził. Kiedy wreszcie mu się udało, miał wrażenie, że na granicy percepcji nadal słyszy dobiegające z lasu odległe wołanie, a na dachu coś się przemieszcza, cicho, ostrożnie i z wyrachowaniem.

Kilka godzin wcześniej przebywający w tajnym biurze w Zielonej Górze Azariasz Albers siedział w fotelu i zaciągał się papierosem. Miał pięćdziesiąt dwa lata, z czego dwadzieścia spędził w służbie Nowej Synagogi. Surowa, zdawałoby się wyciosana z kamienia twarz i potężne bary zdawały się odzwierciedlać jego charakter. Nie znosił sprzeciwu, a jednocześnie był bezwzględnie lojalny wobec swoich przełożonych. To była jedna z żelaznych zasad obowiązujących w Organizacji.

Ściany jego gabinetu ozdabiała liczne wyobrażenia demonów wykonane ołówkiem przez zdolnego artystę. Na trupioblady rumaku jechał Beleth, który włada osiemdziesięcioma pięcioma legionami duchów. Nieopodal wisiała podobizna Baela, króla wschodniej części piekła, znanego także jako Baal. Ukazywał się on najczęściej pod postacią kota, ropuchy lub człowieka. Ważne miejsce nad fotelem zajmował Asmodeusz, upadły anioł znany z biblijnej księgi Tobiasza. Miał trzy głowy, jedną byka, drugą człowieka, a trzecią barana. Z ust stworza tryskał płomień ognia, a jego stopy połączone były błonami jak u gęsi. Były to oczywiście jedynie materialne manifestacje duchowych sił, a obrazy w istocie uświadamiały, że demon, jeśli chce i ma ku temu w danej chwili odpowiednią ilość mocy – może przybrać właściwie każdą postać, bez oglądania się na prawa ewolucji, genetyki, fizyki czy dobrego smaku.

Albers podjął właśnie decyzję dotyczącą życia księdza Ruty. Ludzie Nowej Synagogi już od dawna go obserwowali. Okolice Kurska były pod stałym nadzorem Organizacji, ponieważ właśnie tam znajdowało się Źródło Mocy, jedno z kilkunastu rozsianych po całym świecie. Znajdowały się one wszędzie tam, gdzie miała miejsce wzmożona aktywność duchowa. Agenci Synagogi, rozsiანი w różnych zakątkach globu, nieustannie pozyskiwali i weryfikowali informacje o nawiedzeniach, opętaniach, objawieniach i zjawiskach paranormalnych. Większość okazywała się mistyfikacjami, sprytnymi oszustwami, ale zdarzały się też złoza potężnej energii, którą można było eksploatować. Wiązało się to oczywiście z pewnymi skutkami ubocznymi. Okolica, w zależności od stopnia paranormalnej eksploatacji, zaczynała obfitować w coraz większą ilość dziwnych zdarzeń. Jedną z najbardziej zdumiewających, najtajniejszych i zarazem najbardziej spektakularnych akcji Nowej Synagogi, mającej początkowo wpłynąć na kursy walut na całym świecie oraz sytuację polityczną, było zorganizowanie „objawienia” w Portugalii.

Kościół od samego początku coś podejrzewał, ponieważ treść proroctwa była sprzeczna z doktryną, lecz entuzjazm wiernych był tak wielki, że duchowni ugięli się pod presją, mając do wyboru doktrynę lub puste kościoły w tym katolickim kraju. Niestety, i w tym przypadku coś poszło nie tak, skorzystano z nie tych sił, które chciano przywołać. Dzieci zmarły z objawami charakterystycznymi dla choroby popromiennej, co agenci oczywiście starali się skrzętnie ukryć. Sytuacja ewidentnie wymknęła się spod kontroli i Albers do tej pory nie mógł pojąć, co lub kto właściwie wówczas się pojawił.

Magia, którą posługiwała się Nowa Synagoga, oparta była na pradawnym założeniu, że Wszechświat nie jest statyczną, bezwładną masą, lecz powiązaną ze sobą całością skonstruowaną z zegarmistrzowską precyzją. Znając sekretne oddziaływania, koniunkcje i mając wiedzę na temat światów równoległych do naszego, można było dokonywać cudów, wykorzystując moc istot zamieszkujących te niedostępne dla zwykłych śmiertelników przestrzenie, które tradycyjnie określa się mianem Piekła lub Otchłani. Było to oczywiście szaleństwo, ryzykanctwo, którego nie mogły wytłumaczyć największa nawet chciwość i pragnienie władzy. Albers wołał jednak myśleć o tym jak o misji. Mimo eleganckiego garnituru miał w istocie mentalność mudżahedina manipulującego przy bombie termojądrowej, z tym, że jego ostatecznym celem nie było zniszczenie lub zbawienie, lecz własny dobrobyt i kontrola nad światem. Liczył na to, że Nowa Synagoga zdobędzie wreszcie wielką władzę, a i on wtedy nie pozostanie, delikatnie mówiąc, niezauważony.

Jednym ze „skutków ubocznych” paranormalnej aktywności było również to, że granica między światem przyrodzonym a nadprzyrodzonym w miejscach takich jak Kursko zacierała się. Ludzie częściej niż gdzie indziej widywali duchy, niekiedy spokojne i nieszkodliwe, a niekiedy opętane pragnieniem zemsty na żywych. Nie stanowiło to jednak większego zagrożenia dla Organizacji, ponieważ poszczególne osoby zazwyczaj nie opowiadają o swoich spotkaniach ze zmarłymi zbyt chętnie. Obawiają się etykiety ludzi niespełna rozumu i wolą raczej składać podobne doświadczenia na karb wybujałej wyobraźni, głębokiej tęsknoty lub przemęczenia wynikającego z przepracowania. Była to okoliczność dla Nowej Synagogi niezwykle korzystna.

Albers początkowo uważał Rutę za nieszkodliwego dziwaka, pasjonata przeszłości, który nigdy nie będzie w stanie połączyć jej z teraźniejszością. Obserwowanie, jak stary proboszcz coś podejrzewa, lecz kręci się niczym pies za własnym ogonem, nawet nieco go bawiło. Na wszelki wypadek jednak, już kilka lat temu, polecił założyć na plebanii podsłuch. Teraz był z tej decyzji bardzo zadowolony.

Fakt, że ksiądz odwiedził tego młodego człowieka, który wprowadził się do chaty w lesie, nie umknął uwadze zaufanych ludzi, którzy jak zwykle mieli oczy szeroko otwarte. Znacznie jednak ważniejsze było to, co Albers usłyszał, przesłuchując nagranie z podsłuchu.

Stary klecha zaczął za bardzo kłapać ozorem. Wiedział dużo więcej, niż Albers sądził. Wyglądało również na to, że sam przyjezdny spotkał się już z Mocą, która ostatnimi czasy zdawała się zwiększać.

Albers w zasadzie nie wierzył, by którykolwiek z nich, a nawet obydwoj, mógł domyślić się prawdy. Zdawał sobie doskonale sprawę, że dla przeciętnego człowieka jest ona zbyt nieprawdopodobna. To był jeden z największych atutów Nowej Synagogi. Ktoś, kto na własnej skórze

nie poczuł Mocy, nie mógł w nią uwierzyć. Lata służby w Organizacji sprawiły jednak, że nauczył się szybko eliminować zbędne zagrożenia, również te potencjalne. W tej dziedzinie uważał siebie za prawdziwego perfekcjonistę.

Natychmiast wezwał do siebie swoich najbardziej zaufanych ludzi – Bauera i Wettermanna, chociaż co do tego drugiego miał ostatnio nie najlepsze przecucia. Nakazał im jeszcze tej samej nocy jechać do Templewa i zlikwidować księdza. Otrzymali także rozkaz zakwaterowania się w Międzyrzeczu u zaufanego członka Organizacji i oczekiwania na dalsze rozkazy. Sam postanowił pozyskać dokładne informacje na temat przybysza, który wprowadził się do starej chaty na Moczarach. Przy możliwościach, jakimi dysponowała Nowa Synagoga, było to jedynie kwestią czasu. Albers doszedł do wniosku, że to zadanie dla zaufanego policjanta.

Jeszcze tej samej nocy, godzinę przed świtem, nieopodal plebanii w Templewie pojawiła się czarna furgonetka. Podjechała cicho i niepostrzeżenie, gdy mieszkańcy okolicznych domostw pogrążeni byli w głębokim śnie. Gdzieś w oddali zawył pies, przeraźliwie, żałobnie, jakby wyczuł śmierć, lecz zamilkł zaraz przestraszony, nie zbudziwszy nikogo.

Purpurowa poświata barwiła czubki drzew na kolor krwi i mogłaby zostać błędnie uznana za zapowiedź nadchodzącego świtu. To nie świt jednak nadchodził, lecz ciemność. Nie nadzieja, lecz groza i koszmar. Wiatr zawzięcie szarpał przewodami sieci energetycznej, hulał pośród wysokich sosen i świerków. Bauer, skryty we wnętrzu furgonetki, wypowiadał sekretne inkantacje. Wyglądał jak starożytny nekromanta składający ponurą ofiarę pradawnym demonom. W lewej ręce, tej od serca, ścisnął Pieczęć, a prawą wykonywał skomplikowane Gesty. Jego twarz, oświetlona pulsującym, szkarłatnym blaskiem, przypominała zalaną krwią ceremonialną maskę. Zdjęcie Ruty, zdobyte podczas wcześniejszej „pracy operacyjnej”, miało bezbłędnie naprowadzić demona, niczym myśliwskiego psa, na trop ofiary. Demon był siłą, był energią, lecz był również Osobą oraz Przejściem. Za jego pośrednictwem manifestowały się inne mroczne siły z najgłębszych czeluści Piekieł i Otchłani.

Ksiądz Stanisław znajdował się w swojej sypialni. Poruszył się niespokojnie na łóżku, jeszcze pogrążony we śnie. Coś, jakby zimne palce oplątywało z wolna jego krtań, sprawiało, że oddech przychodził mu z coraz większym trudem.

Jak mogłem, myślał pogrążony w majakach. Powinienem bezwzględnie nakłonić Łukasza do wyjazdu. Za wszelką cenę ratować jego duszę i ciało. To miejsce... ten las... jest przeklęty. On nadchodzi. Muszę... muszę coś zrobić. Nie, nie, już za późno. Nie ma ratunku. Powinienem popełnić samobójstwo. Powinienem popełnić samobójstwo – ta myśl, zrodzona na granicy jawy i snu, zdawała się już nie pochodzić od niego. Była niczym potężny nakaz jakiejś niezłomnej, obcej woli. Weź stule. Sporządź z niej pętlę.

Ruta ocknął się, zerwał z posłania i przeżegnał, głośno wciągając powietrze. Zimne palce odpęzły niechętnie, podobnie jak zadziwiająco kusząca myśl o samobójstwie. Na Boga, co się dzieje?

Drżącą ręką zapalił nocną lampkę. Jeszcze nigdy nie doświadczył działania złej mocy z taką

siłą, jeszcze nigdy nie była ona tak wyczuwalna, nigdy nie była tak blisko jak teraz. Zdało mu się, że otaczają go szepty. Uwodzicielskie, groźące, pełne lubieżności i okrucieństwa.

Powiniem jak najszybciej zapalić gromnicę, pomyślał. W ostateczności trzeba będzie uciekać do kościoła i stanąć jak najbliżej Najświętszego Sakramentu, a nawet ująć hostię w dłonie. Tylko sam Chrystus miałby dostatecznie dużo mocy, by stawić czoło takiemu złu.

– Nikt ci nie pomoże, nikt! – Szepty otaczały go zewsząd. – Nie zdołasz nigdzie uciec. Weź stulę i sporządź z niej pętlę. Potem...

– Dość! – wykrzyknął głośno. – Dość w imię Boże!

O dziwo, szepty zamilkły.

Nie czuł tego, ale drżał cały i zimny pot ściekał mu po plecach.

– W imię Boga i Trójcy Przenajświętszej...

Cichy chichot. Gdzieś z górnego rogu sypialni, stamtąd, gdzie skumulowała się ciemność. Nagle zadzwonił telefon, stara nokia leżąca przy łóżku. Ksiądz trwał nieruchomo, oddychając ciężko, sparalizowany strachem. Telefon dzwonił. Potem zamilkł. I znów zaczął dzwonić. Kto to może być?

Na sztywnych nogach poszedł do szafki i odebrał połączenie.

– Kto mówi?

– ...ocy! Tu.... asz... niakk...

Połączenie zostało przerwane. Łukasz! Głos był zniekształcony, zupełnie jakby gdzieś przez okolicę przetaczała się elektromagnetyczna burza. Nie ma chwili do stracenia! Ruta, przez całe życie wyćwiczony w pomaganiu innym, myślał teraz przede wszystkim o mieszkańcu leśnej chaty. Należy śpieszyć z pomocą!

Nie bacząc na nic, ubrał się szybko, głośno odmawiając modlitwę do Michała Archanioła. Potem zbiegł szybko po schodach. Po drodze złapał za pojemnik ze święconą wodą i drewniany krucyfiks. Przeżegnał się i nieustannie, głośno modląc się, wybiegł na zewnątrz, do samochodu.

Ruszył z piskiem opon, wjeżdżając na szosę i nie zwracając uwagi na zaparkowaną nieopodal furgonetkę. Kiedy ksiądz odjechał już spory kawałek, ta ruszyła niespiesznie za nim. Ruta pędził w stronę Kurska. Myśli przebiegały mu przez głowę niczym błyskawice. Szybciej! Kiedy będę na miejscu, odprowadzę egzorcyzm. Wesprze mnie cała potęga duchowa i autorytet Kościoła. Będę w stanie odeprzeć atak demona. Może nawet... może nawet zdołam go odesłać.

Szkarłatny blask barwił tymczasem już całą drogę. Jeszcze tylko kilkaset metrów do celu. Toyota pędziła na złamanie karku. Wtem na szosie pojawiła się postać. Pomachała ręką i wbiegła do lasu. Łukasz?! Ktoś potrzebuje pomocy?

Ksiądz zwolnił i zatrzymał samochód na poboczu. Pośród drzew znów dostrzegł tę samą postać, która jednak błyskawicznie skryła się za drzewem.

– Łukasz! – zawołał głośno w ciemność zalegającą las. – To ja, ojciec Ruta!

Wbiegł w las kilkanaście metrów. Przemknęło mu przez myśl, że może Łukasz w panice wybiegł z chaty, a nawet ze strachu oszalał i biega po lesie. Jeśli tak, w ciemności groziło mu wielkie niebezpieczeństwo.

Mój Boże, pomyślał, zdając sobie nagle z czegoś sprawę. Jak brzmiała końcówka słów, słów, które wypowiedział proszący o pomoc Łukasz? Demon, wezwany do odpowiedzi przez duchow-

nego nie może kłamać. Brzmiała: niakk. Niak. Kain.

Kain. Cóż to znaczy, na Boga? Tak przedstawił się jeden z demonów, które niegdyś, w Niemczech, opętały Anneliese Michel... ksiądz znał tę historię, czytał o niej, słuchał nagrań z egzorcyzmów.

Nagle zewsząd opadły go szepty. Ty stary głupcze, drwiły. Gdzie teraz masz swój krzyż i wodę święconą? Zostawiłeś je w samochodzie, prawda? Teraz jesteś w naszej mocy, sam pośród lasu i ciemności. Drzewa zdawały się otaczać go ze wszystkich stron, uniemożliwiać ucieczkę z powrotem do samochodu. Nagły strach odebrał mu całkowicie poczucie kierunku. Coś jak śliski wąż owinięło się wokół jego kostki. Upadł. Poczł, jak coś niczym szpony wdziera się w jego ciało, rozrywa żywą tkankę. Boże, jak boli!

Ból był teraz wszystkim. Był wszędzie, w każdym zakamarku jego ciała.

Wśród lasu rozległ się pełen ostatecznej rozpaczyny okrzyk duchownego. Potem jednak i on ucichł.

ROZDZIAŁ 14

Rano Łukasza obudziło pukanie do drzwi. To była Marta. Pocałowała go na powitanie. W usta, co lekko go zaskoczyło, ale z przyjemnością odwzajemnił pocałunek. Prócz fizycznej przyjemności była to prawdziwa duchowa uczta. Pocałunek z Moniką zawsze pozostawiał w nim jakieś rozczarowanie, nawet namiętny był zawsze sztuczny, zupełnie jakby grali w filmie, a obok znajdowała się kamera i reżyser. Pocałunek z Martą, choć trwał krótką chwilę, był ciepły, spontaniczny i stanowił wyraz autentycznych uczuć.

– Halo, żyjesz? – przyjrzała mu się krytycznie. Wyglądał jak strach na wróble, zaspany i z rozczochraną głową. Musiał budzić litość. – Samochód stoi przed domem, więc domyśliłam się, że nigdzie nie wyjechałeś. Mam wolny dzień i pomyślałam, że do ciebie zajrzę. Na serio sądziłam, że coś ci się stało. Wiesz, która już godzina? Jedenasta.

Weszła do środka i się rozejrzała. Kobiety z natury posiadają nadprzyrodzony dar, pozwalający zauważyć w pierwszej kolejności właśnie to, co mężczyzna chciałby ukryć.

– A co to za baniak na stole, ten z wytloczonymi literami IHS?

– A to... nieważne.

Przyjrzała mu się uważnie. Na domiar wszystkiego dostrzegła gromnicę. Pół biedy, gdyby była to zwykła świeca, chociażby i wielka. Mógłby wtedy powiedzieć, że trzyma ją na wypadek, gdyby skończyła się nafta do lampy. Ale na gromnicy widniał wielki, czerwony krzyż oraz litery alfa i omega. Marta była zbyt bystra, by nie wyczuć, że coś się święci.

– Mam dwa pytania – stwierdziła. – Czy tutaj dzieje się coś dziwnego i czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

– No cóż – odparł i chrząknął. – Odpowiedź na obydwa brzmi „nie wiem”.

Znów przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, najwyraźniej nie zamierzając rezygnować. Wzrok ten mówił, że chociaż znają się tak krótko, to chciałaby być traktowana poważnie oraz że jej pytania nie są wyrazem zwykłej ciekawości, ale pewnej troski, która, być może, ma swoje

całkiem solidne uzasadnienie. W połączeniu z błękitem jej oczu podkreślonym przez ciemną ich oprawę był to prawdziwy psychiczny taran.

– Dobra, poddaję się – westchnął. Doszedł do wniosku, że zaraz zrobi z siebie totalnego idiotę. Jednocześnie miał jednak ochotę porozmawiać z kimś o swoich kłopotach, po dzielić się swoimi problemami i podejrzeniami.

Opowiedział Marcie o wizycie u księdza Stanisława. Oczywiście, na początku postanowił wybadać ostrożnie teren, obserwując jej reakcję i przedstawiając całą historię jako anegdotę, do której kompletnie się dystansuje.

– W takim razie – zauważyła z lekkim przekąsem Marta – ksiądz ma niezwykle dar przekonywania, jak wnoszę po tym baniaku ze święconą wodą i gromnicy. Mam wrażenie, że nadal nie mówisz mi wszystkiego.

– Wybacz – odparł – ale nie chcę, żebyś wzięła mnie za kompletnego szaleńca.

– Skąd wiesz, że wezmę? Nic zakładaj tego z góry.

Skapitulował. Opowiedział jej o niezwykle zdarzeniach, począwszy od zablokowania się klapy w podłodze, aż do dziwnej łuny w lesie i zakłóceń w radiu. Kiedy skończył mówić, był niemal pewien, że go wyśmieje. Dlatego na dowód prawdziwości swojej opowieści zdecydował się pokazać jej notatki wuja. Wzięła w rękę brulion i czytała przez chwilę. Wyglądała na przejętą.

– Rzeczywiście, ksiądz Ruta mieszka tu od bardzo dawna i może wiele wiedzieć – stwierdziła. – To, co opowiadasz, jest oczywiście niezwykle... ale osobiście wierzę, że takie nadprzyrodzone zjawiska mogą czasem mieć miejsce. Widzisz, wychowałam się w tej okolicy i sama również słyszałam wiele podobnych opowieści. A przecież mówi się, że w każdej historii tkwi ziarno prawdy. Może kiedyś ci je opowiem.

– Kiedyś? A dlaczego nie teraz?

– Bo teraz postanowiłam wyciągnąć cię z twojej pustelni. Zbieraj się, panie eremito. Nie pamiętasz już, że obiecałam ci wycieczkę po bunkrach? – Oddała mu zeszyt. Odniosł jednak wrażenie, że potraktowała sprawę bardzo poważnie, a lekki ton jej głosu miał po prostu dodać mu odwagi i uspokoić.

Włożył wytarte dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Gdy był gotów, wyszli na zewnątrz. Zrobiła się ładna pogoda, ale na wszelki wypadek w plecaku miał cienką bluzę z kapturem. Marta także przygotowała się do wyprawy. Widać było, że taka wycieczka to dla niej nie pierwszyzna. Przywiozła ze sobą niewielki, poręczny plecak, a w nim dwie latarki, wodę, a nawet kanapki.

Ruszyli w stronę jeziora Kursko, wchodząc w jedną z wydeptanych ścieżek, odchodzących niemal bezpośrednio od chaty. Dotarli do wyglądającej na mało uczęszczaną leśnej drogi, zarośniętej sięgającą kolan trawą i pokrzywami.

Słońce szybko osuszało liście, na których pozostały jeszcze resztki nocnego deszczu. W snopach słonecznego światła dało się gdzieś dojrzeć delikatną mgiełkę. Powietrze pachniało żywicą, igliwem i rozgrzewającą się korą. Łukasz właściwie nie zauważył momentu, kiedy złapali się za ręce.

– Niektóre z bunkrów znajdują się w dobrym stanie – opowiadała Marta. – Stanowią atrakcję dla turystów z całego świata. Tak jest w przypadku Pętli Boryszyńskiej. Pod ziemią znajdują się dawne dworce, maszynownie, koszary i warsztaty. Cały Międzyrzecki Rejon Umocniony rozciąga się na odcinku stu kilometrów. Serce podziemi znajduje się właśnie w okolicach Międzyrzecza. To ponad trzydzieści kilometrów tuneli. Starsi mieszkańcy okolicy lubią żartować, że niegdyś prowadziły one do samego Berlina.

– Może w takim razie, zamiast przedzierać się przez krzaki, jedźmy samochodem zobaczyć tę Pętlę Boryszyńską? – zaproponował Łukasz.

– Kiedyś pojedziemy – obiecała Marta, przeskakując przez spory konar, który tarasował im drogę. – Ale prawdziwy dreszczyk emocji zawsze odczuwa się, wchodząc do bunkrów na dziko. To nie to samo co wędrować oświetlonymi tunelami wraz z przewodnikiem. W lasach jest pełno bunkrów, a tylko półprawdą jest, że wszystkie zostały dokładnie zbadane. Ludzie zawsze mówili, że są tu jeszcze nieodkryte, zasypane podziemia.

*

Po kilkudziesięciu minutach wędrówki zeszli ze ścieżki i dalej przedzierali się przez wysokie zarośla. Teren w tym miejscu mocno opadał. Nagle przed nimi pojawiło się zagłębienie, na którego dnie znajdowała się porośnięta mchem i paprociami, częściowo zniszczona, betonowa kopuła. Mogła mieć dobrych kilkanaście metrów średnicy. Kiedy trzymając się za ręce, zeszli po stromej skarpie, Łukasz spostrzegł niewielkie wejście w masywnej, betonowej ścianie. Dawniej musiały się tu znajdować potężne, odporne na eksplozję drzwi.

Z wewnątrz wiało chłodem i wilgocią. Łukasz zapalił latarkę i zaniepokojony wszedł do środka. Sądził, że ujrzy pokrywające mur bazgroły, stopy śmieci lub butelek. Niczego takiego jednak nie uświadczył. Wyglądało na to, że niewiele osób wie o tym miejscu.

– Uważaj! – krzyknęła Marta, łapiąc go za kurtkę i ciągnąc z powrotem. – Poświeć latarką w dół.

Zrobił to, co mu kazała. Tuż za wejściem, w betonowej podłodze, znajdował się spory kwadratowy otwór. Kiedy skierował światło latarki do środka, nie mógł nawet dojrzeć dna. Widział jedynie ściany betonowego szybu niknące w ciemności.

– Nie miałem pojęcia, że tu jest tak niebezpiecznie – powiedział.

– To jeszcze nic – odparła Marta. – Zobaczysz później.

Wewnątrz ciasnego, betonowego pomieszczenia było zimno i wilgotno. W oddali kapąca woda. Po lewej stronie znajdowały się kręte, strome schody prowadzące w dół. Marta zeszła pierwsza. Musieli być ostrożni, gdyż wiele stopni było bardzo zniszczonych. Wreszcie dotarli na samo dno szybu.

Łukasz oszacował, że znajdują się dobrych dwadzieścia metrów pod ziemią. Spojrzał w górę na niewyraźne, odległe światło. Zdał sobie sprawę, że to właśnie tutaj spadłby, gdyby Marta nie ostrzegła go w porę przed pułapką w podłodze.

W betonowej ścianie znajdowało się prostokątne wejście.

– Zdradzisz mi, gdzie idziemy? – zapytał, odruchowo ścisnąc głos.

Twarz Marty w błędzącym świetle latarki wyglądała tajemniczo.

– Bunkry były połączone ze sobą podziemnymi korytarzami. Nadal można wejść do nich w jednym miejscu i wyjść w zupełnie innym. – Ona również, być może nieświadomie, mówiła ciszej. – Zaprojektowano je w ściśle określony sposób. Na kopule bunkra znajdowało się stanowisko dla broni maszynowej i miotacza ognia. Specjalne drzwi były odporne na najsilniejsze eksplozje. W bunkrach były łazienki, po mieszczenia sypialne z pryzcami, a nawet specjalne systemy pomp odprowadzające wodę. Bunkier posiadał również coś na kształt wyjścia bezpieczeństwa, umożliwiającego wydostanie się, gdyby drzwi zostały w jakiś sposób zablokowane. Był to po prostu pionowy szyb z drabinką. W Boryszynie można zobaczyć bunkry w całej okazałości, ale tutaj są one bardzo podniszczone.

Łukasza nagle opanowały wątpliwości. A jeśli stanie się coś złego, na przykład strop się zapadnie? Czy Marta powiedziała komukolwiek, gdzie się wybiera? Chciał ją o to zapytać, ale obawiał się, że wyjdzie na panikarza. Ruszyli podziemnym korytarzem. Sklepienie wykonane było z jednolitego betonu, a podłogę pokrywał piach. Na początku mogli iść wyprostowani, później jednak piachu przybywało, a strop się obniżał. Po jakichś stu pięćdziesięciu metrach wędrowali zgięci w pół. Łukasz nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, ale świadomość, że znajduje się tak głęboko pod ziemią, w jakimś zapomnianym korytarzu, nie była przyjemna. Po pewnym czasie zauważył, że może się bardziej wyprostować. Po około piętnastu minutach wędrowki dostrzegł odległe światło. Był pod wrażeniem. Nie potrafił dokładnie powiedzieć, jaką długość miał podziemny korytarz, ale wybudowanie czegoś takiego, w środku lasu, w oddali od głównych dróg transportowych, z pewnością wymagało dużej pracy i sporych umiejętności inżynierskich.

Nagle dostrzegł coś niepokojącego. W oddali, na tle rysującego się wyjścia z tunelu mignęła czyjaś sylwetka. Wydała mu się znajoma. Marta również musiała to zauważyć, bo przystanąła. Popatrzeni na siebie, zastanawiając się, co robić. Marta położyła palec na ustach.

– Zdarzają się ludzie, którzy tak jak my wchodzą na dziko – wyszeptała – ale o tym miejscu wie naprawdę mało osób. Musimy być ostrożni.

Po chwili ruszyli powoli, wpatrując się w wyjście. Wtem postać pojawiła się znowu, tym razem na dłuższą chwilę. Łukasz zrozumiał, dlaczego wydała mu się znajoma. Rozpoznał księdza Stanisława. Już chciał krzyknąć, ale coś kazało mu tego nie robić. Oślepiony przez światło padające z wyjścia nie widział dokładnie jego twarzy. Jednak miał dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, jakieś niedobre przeczucie ścisnęło mu gardło. Postać wpatrywała się w nich nieruchomo, po czym uniosła dłoń, jakby ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Trwało to kilka sekund, następnie sylwetka znów zniknęła z pola widzenia.

– Widziałeś? – spytała Marta.

Skinął głową i wydusił:

– Tak.

– Kto to mógł być?

- Jestem prawie pewien, że to proboszcz z Templewa, Stanisław Ruta.
- Co on miałby tu niby robić?
- Nie mam pojęcia, ale zaraz go o to spytamy – odparł Łukasz i ruszył w stronę wyjścia.

Wyszli na zewnątrz, w samym sercu lasu. Nad nimi szumiały wysokie sosny, sprawiające wrażenie, jakby rosły tu od początku świata. Wokoło dostrzec można było pozostałości po kolejnym bunkrze, który najwyraźniej został wysadzony w powietrze jakąś potężną porcją dynamitu. Duchownego jednak nigdzie nie było. Łukasz parę razy zawołał, ale odpowiedział mu tylko dzięcioł stukający gdzieś w oddali. Ksiądz jakby zapadł się pod ziemię.

ROZDZIAŁ 15

Pomyślał, że Marta wróciła już zapewne do Międzyrzecza, kiedy pod dom podjechała policyjna terenówka i rozległ się dźwięk klaksonu. Z wozu wysiadł postawny funkcjonariusz w mundurze. Na jego widok Łukaszowi przyszło do głowy, że mogło wydarzyć się coś złego.

– Ty jesteś ten nowy? – bezceremonialnie zapytał mundurowy. W jego rękach pojawił się notes i długopis. Ton głosu miał nieprzyjemny. Wszystko wskazywało na to, że zapowiada się niemiła rozmowa.

- Tak... czy coś się stało?

Funkcjonariusz nic nie odpowiedział. Rozglądał się po okolicy leniwie, ale jednocześnie uważnie, jakby chciał notować nie tylko w notesie, ale i w swojej pamięci. Później zaczął przyglądać się Łukaszowi. Był jednym z tych policjantów, którzy mają spore poczucie władzy i lubią kontrolować sytuację, posługując się w tym celu wystudiowaną dramaturgią.

– To ja zadaję pytania – odparł w końcu. Następnie rzucił kilka pytań. Jak pan się nazywa? Ma pan przy sobie dowód osobisty? W jakim celu przyjechał pan do Kurska? Łukasz odpowiadał na te wszystkie pytania, czując się jak uczeń wywołany do tablicy. Irytował go arogancki sposób zachowania gliniarza.

- Rozejrzę się po pańskim domu.

Łukasza niemal zatkało. Wyglądało na to, że jest o coś podejrzewany. Już chciał wspomnieć o wymaganym nakazie, pomyślał jednak, że w ten sposób narazi się jeszcze bardziej. Poza tym, jeśli w okolicy wydarzyło się coś złego, to odmowa wpuszczenia policjanta do domu mogła wydać się jeszcze bardziej podejrzana. Przystroił więc twarz najbardziej uprzejmym uśmiechem, na jaki tylko mógł się w tych okolicznościach zdobyć.

- Proszę wejść – rzucił.

Policjant bezczelnie, wolnym kroczkiem wszedł do chaty, przemierzył izbę i przyjrzał się wszystkiemu uważnie. Następnie spisał coś z dowodu osobistego Łukasza i oddał mu dokument.

- Taak... – mruknął. – No dobra. Na razie to wszystko.
- Czy coś się stało? – ponownie zapytał Stańczuk.

Policjant jakby wahał się przez chwilę, ale w końcu jego usta rozciągnęły się w paskudnym uśmiechu. Wyglądało to tak, jakby nie mógł się powstrzymać przed odpowiedzią, jakby wyjawienie strasznej wiadomości sprawiało mu niebywałą frajdę.

- Ojciec Ruta nie żyje.
- C... Co... – Łukasz był zszokowany.
- Niestety. – Gliniarz pociągnął nosem i dodał: – Stało się to tej nocy. – Funkcjonariusz przysunął się nagle blisko do Łukasza i wbił w niego zimne, wężowe spojrzenie. – Szukamy podejrzanych.

Łukasza niemal zamurowało.

- Podejrzanych – powtórzył, usiłując ogarnąć się w zaistniałej sytuacji.
- Właśnie.
- Może mi pan powiedzieć, jak to się stało? – wydukał.

Policjant przewrócił oczami.

- To się stało w lesie – rzekł. – Został rozszarpany na kawałki.
- Boże...
- Bóg raczej nie maczał w tym palców.
- Co z tymi podejrzanyymi?

Gliniarz spojrzał wymownie na Łukasza.

- To nie pański interes. Radziłbym panu stąd wyjechać. Dla pańskiego dobra...

Funkcjonariusz wrócił do wozu. Był z siebie wewnętrznie zadowolony. Wyglądało na to, że nastraszył Stańczuka, a do tego zdobył potrzebne informacje. Pan Albers na pewno będzie zadowolony. Zwłaszcza że udało mu się niepostrzeżenie umieścić pod stołem podsłuch, małą elektroniczną pluskwę o dużych możliwościach. Nie był tylko pewien, czy nie powiedział zbyt wiele, ale przecież nastraszyć nigdy nie zaszkodzi.

Kiedy radiowóz odjechał, Łukasz udał się na leśną drogę, by szukać zasięgu. Kręciło mu się z wrażenia w głowie. Czuł, że nadszedł najwyższy czas, by o sprawie powiadomić Witka. Coś złego działo się w okolicy.

Notatki wuja Bolesława nie muszą być stekiem bzdur, pomyślał. Na domiar złego ten policjant był jakiś dziwny. Czy mu groził? Nie zadał przecież żadnych pytań, jakich w takiej sytuacji można by się spodziewać. Nie chciał dowiedzieć się, co Łukasz robił na plebanii ani jak zachowywał się ksiądz Stanisław. Nie interesowało go, czy Łukasz zauważył coś podejrzanego, może jakichś dziwnych ludzi kręcących się w pobliżu. Jakby w istocie wcale nie chodziło mu o wyjaśnienie tej sprawy, ale... o coś innego. Zupełnie jakby doskonale wiedział, co się wydarzyło.

Łukasz zastanawiał się również, jak to możliwe, że Ruta nie żyje, jeśli jeszcze dzisiaj razem z Martą widzieli go w lesie. Były tylko dwie możliwości – albo to nie było on, albo widzieli ducha, który pragnął przekazać im swoje ostrzeżenie.

Po kilku minutach rozmawiał już z Bizonem.

Tej nocy Łukasz postanowił zostawić okiennicę lekko uchyloną. Doszedł do wniosku, że choć zamknięty na cztery spusty jest bezpieczniejszy, to nie wie, gdzie znajduje się jego nieprzyjaciół i jak wygląda. Tak naprawdę nie był przekonany, czy istotnie pragnie znać odpowiedź na to pytanie, a jednak możliwość obserwowania okolicy miała swój strategiczny i poznawczy sens. Bizon, wspominając o „zasadach krav magi”, podkreślał, by nigdy nie odwracać się od przeciwnika. Właśnie to powinien teraz zrobić, i to z troski o własną skórę – rozpoznać

zagrożenie i notować w pamięci jak najwięcej szczegółów. Nie mógł również wykluczyć możliwości, że wszystkie dziwne zdarzenia są wynikiem jakiejś chorobliwej aury, jaką roztaczała okolica. Sądził też, że być może przynajmniej część fenomenów da się racjonalnie wyjaśnić. Ktoś istotnie mógł chodzić po lesie i wołać, chociażby po to, by go nastraszyć. W kontekście dziwacznej wizyty policjanta miałyby to nawet pewne uzasadnienie, może nawet bardziej poważne niż zwykłe straszenie mieszcucha dla hecy. Może komuś istotnie zależało, by go przepędzić, nie wiedział tylko dlaczego.

Były to rozważania dość urokliwe, którym Łukasz chętnie ulegał. Wolał wmawiać sobie, że wokoło krąży żartowniś lub nawet pragnący go zastraszyć człowiek, niż że okolica istotnie jest opanowana przez jakieś mroczne, demoniczne siły, niezłomnie dążące do zagłady mieszkańca chaty na Moczarach.

Postanowił obserwować las, przystawił nawet krzesło do okna i zgasił lampę, by mieć lepszy widok. Siedział tak, przyciskając twarz do szyby, aż chłodne szkło pokryło się delikatną mgiełką pary. Przez dobre pół godziny nie działo się nic niezwykłego. Przez uchylone okno do izby wpadło chłodne, nocne powietrze niosące zapach lasu. Nasłuchiwał. Zdało mu się parę razy, że wśród drzew ktoś chodzi. Tu i ówdzie trzaskały łamane gałązki. Były to jednak najprawdopodobniej jakieś leśne zwierzęta.

Srebrny księżyc oświetlał okolicę, lecz nie sięgał głęboko między sosny, gdzie panowała smolista czerń. Rosnące na granicy lasu i polany wysokie krzaki mogły być dla potencjalnego intruza doskonałą kryjówką. Być może ktoś już tam czyhał, zastanawiając się, kiedy on pójdzie spać. Jeśli tak, to zgaszone światło powinno niebawem wywabić go z kryjówki, utwierdzając w przekonaniu, że mieszkaniac chaty smacznie śpi.

Nagle się wzdrygnął. Na polanie pojawił się pies. Zjawił się jakby znikąd, wyrósł przed chatą niczym duch. Wyglądał jak myśliwski chart. Był cały czarny i przez pewien czas wpatrywał się w Łukasza nieruchomo, po czym odbiegł niespiesznie.

Łukasz był zdumiony. Bezdomny pies w środku lasu? To możliwe.

Księżyc stopniowo z żółtego stawał się rudawy, rdzawy, a wreszcie przypominał szkarłatną kulę zalewającą okolicę krwawym blaskiem.

Łukasz odsunął się od okna. Teraz żałował, że zostawił okiennicę otwartą. Mógł zaczekać z tym przynajmniej do przyjazdu Bizona, nie byłby wtedy zdany tylko na siebie. Nagle przysunął się bliżej, dostrzegając postać stojącą między drzewami. Strach momentalnie go unieruchomił.

Na brzegu polany, skąpany w krwawym, przerażającym blasku stał ojciec Stanisław. Wydawało się, że próbuje się poruszyć, a jednak unieruchamia go jakaś niewidzialna siła.

– Pomóż mi! – dobiegł błagalny głos. – Pomóż mi, cierpię!

Łukasz odskoczył od okna.

– Pomóż mi! Cierpię! Jestem w jego wnętrznościach!

Stańczuka oblał zimny pot, zaczął dygotać niczym prorok, na którego spłynęła właśnie wizja apokaliptycznej zagłady. Nie wiedział, co robić. Jakaś część jego umysłu nakazywała mu wyjść z chaty i ruszyć na ratunek. Druga jednak mówiła, że jeśli to uczyni, czeka go koszmar, i że wizja jest jedynie zdradliwą pułapką, a ksiądz Ruta przynętą.

Gdy ponownie podszedł do okna, nikogo nie zobaczył. Ojciec Ruta zniknął. Księżyc jednak

nadal świecił krwawo i nic nie zapowiadało końca upiornego spektaklu, którego reżyserem był najwyraźniej sam diabeł.

Nagle z lasu wyszło coś absolutnie groteskowego. Poruszało się nisko w trawie i dlatego Łukasz nie od razu zorientował się, co to jest. Kiedy jednak podeszło bliżej, wiadomo już było, że to ogromnych rozmiarów pająk z głową noworodka. Twarz dziecka wykrzywiała się, jakby dziecko cierpiało nieustannie jakieś koszmarnie męki.

– Jezus Maria – wyszeptał Łukasz, cofając się na sztywnych nogach.

Nagle przypomniał sobie o gromnicy. Ogarnięty paniką odpakował ją trzęsącymi się dłońmi i pobiegł do kuchni po zapalki. Miał koszmarnie przeczucie, że pająk dotarł już do domu, że lada moment wdrze się przez okno.

Pierwsza zapalka zgasła, ale drugą udało mu się przytknąć do knota. Po chwili wewnątrz kuchni nappełniło łagodne światło. Na miękkich jak wata nogach wrócił do pokoju i wtedy zza okna dobiegł go odgłos panicznej ucieczki. Coś zasyczało, jakby gwałtownie sparzone i umknęło gniewnie.

Łukasz podkrał się do okna, trzymając przed sobą zapaloną gromnicę, i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Ponieważ w środku było teraz jasno, nie dostrzegł zbyt wiele, poza własnym odbiciem w szybie, które samo w sobie również przypominało upiora. Miał szeroko otwarte oczy i mocno zaciskał szczęki.

Krwawy blask roztaczany przez księżyc stracił jakby na sile.

Łukasz nie zasnął tej nocy. Po kilku godzinach czuwania zmusił się jedynie do przyjęcia pozycji horyzontalnej. Na stole płonąła lampa i gromnica, przy łóżku w pogotowiu stała woda święcona. Tuż nad ranem popadł w senne odrętwienie, a wyobraźnia podsuwała mu obraz błagającego o ratunek księdza Stanisława Ruty i udreżonej głowy noworodka wyrastającej z koszmarnego odwłoka monstualnego pająka. Zdało mu się, że głowa przemawia różnymi językami, rzuca mrozące krew w żyłach groźby, ale i słodkie niczym zatrute winogrona obietnice.

ROZDZIAŁ 16

Witek przyjechał do Międzyrzecza już następnego dnia rano, przed ósmą. Łukasz wcale go do tego nie namawiał, wiedząc, że przyjaciel musi sporo czasu poświęcać na pisanie swojej „okultystycznej” pracy magisterskiej. Chciał tylko porozmawiać z nim telefonicznie i zasięgnąć opinii. Próba opowiedzenia jednak o wszystkich zdarzeniach przez komórkę sprawiła tylko tyle, że Witek milczał przez dłuższy czas, jakby oniemiały, a potem oznajmił, że przyjeżdża i nie powstrzyma go przed tym nawet Lucyfer i jego piekielne hordy.

Łukasz musiał wyjechać po niego samochodem, jako że Bizon nie posiadał prawa jazdy, uważając, że nie jest mu potrzebne. Zawzięcie bronił teorii, że naturalna, wypracowana w drodze ewolucji sprawność ludzkiego umysłu jest zbyt mała, by prowadzić maszynę tak szybką i zdradziecką jak auto. Wstrzymywał się więc z zakupem do czasu, gdy samochodem kierować

będzie komputer, co, jak twierdził, nastąpi niebawem.

Witek zjawił się ubrany w wojskowe spodnie moro z dużymi kieszeniami, wysokie, sznurowane buty i koszulkę w kolorze khaki. Ze sobą miał duży, wypchany plecak oraz wojskowy śpiwór. Był wyższy jakies dziesięć centymetrów od Łukasza i cięższy o dobrych dwadzieścia kilo, lecz z jego ruchów przebijała energia.

Znali się już kilka lat i przeżyli razem niejedną przygodę. Dlatego bez zbytniego owijania w bawełnę, już w czasie jazdy samochodem, Łukasz zaczął streszczać przyjacielowi wydarzenia ostatnich tygodni; opowiadał o chacie położonej w głębokim lesie, o dziwnych hałasach, zakłóceniach w radioodbiorniku i czerwonym świetle, wstrętnym pająku, księdzu Stanisławie Rucie i jego dziwnej śmierci, a nade wszystko starał się streścić historię opisaną w starym brulionie przez wuja Bolesława. Widział, że zainteresowanie Witka pogłębia się z każdą sekundą. Zauważył również w jego oczach niepokój. Bizon dopytywał się o moment przywołania demona opisany w starych notatkach. Interesowały go koła wyrysowane na podłodze, Słowa, Pieczęcie i Gesty, o jakich wspominał wuj, a także osobliwa nazwa „Nowa Synagoga”.

– Zdaje mi się, że gdzieś już ją zasłyszałem – stwierdził po chwili, kiedy opuścili Międzyrzecz i jechali szosą prowadzącą przez las w stronę zjazdu do Kurska – i kojarzy mi się ona bardzo niedobrze. Nie mogę sobie jednak przypomnieć, gdzie to było. Co do waszego spotkania z księdzem Stanisławem w lesie, uważam, że mógł to być wchodzący do bunkrów na dziko turysta. Nie należy szukać nadprzyrodzonych wyjaśnień tam, gdzie możliwe są racjonalne. Jeśli jednak był to duch Ruty, to sądzę, że pojawił się, by przekazać wam ostrzeżenie. Ktoś lub coś nam zagraża, trudno powiedzieć jednoznacznie, co to jest.

Łukaszowi nie umknęło, że Witek użył słowa „nas”. Widocznie traktował już sprawę również jako własny problem.

*

Po wejściu do chaty Witek natychmiast poprosił o pokazanie zapisków wuja. Łukasz podał mu je bez namysłu, widząc, że przyjaciel do sprawy podchodzi z szacunkiem. Bizon siadł na krześle i czytał je z uwagą tak wielką, że miało się wrażenie, iż za moment papier pod wpływem jego wzroku stanie w płomieniach. Wyglądało na to, że jest w swoim żywiole. Czytał szybko, ale Łukasz gotów był się założyć, że nie pominął ani jednego słowa.

- Gdzie jest ta kulka? – spojrzał pytająco na Łukasza.
- W walizce.

Bizon wstał i wyciągnął kulkę z leżącej na podłodze walizki. Obejrzał ją uważnie pod światło.

- Kulka jak kulka – stwierdził. – Choć dla twojego wuja miała wartość sentymentalną.

Łukasz wpatrywał się w niego ze zdziwieniem.

- O co... – Witek zauważył jego spojrzenie.
- Nic nie czujesz?
- A co niby mam czuć? – zdumiał się Bizon, rozglądając się po chacie.
- Kiedy ostatnio wziąłem do ręki tę kulkę, poczułem coś bardzo dziwnego. Jakby

zgrupowaną w niej siłę. Nie do końca potrafię to opisać.

Bizon milczał przez chwilę, przyglądając się uważnie przyjacielowi.

– Mógłbyś wziąć ją do ręki jeszcze raz? Przy mnie?

Łukasz z wahaniem wyciągnął rękę i ujął przedmiot w dłoń.

Tym razem miał wrażenie, że uderzył w niego przyptyw. Potężna fala ciepła wlała się przez dłoń w najgłębsze zakamarki ciała. Odczuwał wielką, niemal dziecięcą euforię. Emocje były jednak tak duże, że jednocześnie napełniały go przestachem. Zupełnie jakby podziwiał piękny widok, stojąc na skraju przepaści. Ugięły się pod nim kolana. Witek szybko wyjął kulkę z jego dłoni.

– To psychometria. Nie ulega wątpliwości – ocenił.

– Psychometria? – Łukasz usiadł na krześle. Nogi nadal miał miękkie w kolanach, a w ręce czuł mrowienie.

– Bardzo prawdopodobne, że posiadasz ukrytą do tej pory zdolność psychometru. Dziwi mnie tylko, że nigdy wcześniej tego nie spostrzegłem.

– Co masz na myśli?

– Może to miejsce... te zdarzenia dopiero ją przebudziły. Psychometria to zapomniane już słowo z dziewiętnastego wieku. Tak właśnie określano rodzaj jasnowidzenia wywołanego przez dotknięcie przedmiotów. Tylko nieliczne osoby mają taki dar.

– Dar? Jaki dar, Bizon? Możesz mówić jaśniej?

– Polega on na odczytywaniu „pamięci przedmiotów”, czegoś w rodzaju emocjonalnej matrycy, w której odcisnięte są emocje i obrazy, których przedmiot był świadkiem. Niewykluczone, że taką zdolność w pewnym stopniu posiada każdy z nas, jednak zanika ona, ponieważ nie jest w ogóle wykorzystywana. Mimo to bardzo wielu ludzi ma swoje ulubione przedmioty, nie zdając sobie sprawy, że to oznaka utajonych paranormalnych zdolności.

Łukasz milczał. Nie wiedział, jak odnieść się do słów przyjaciela. Wizja, jakiej doznał, była niezwykle silna i wyraźna. Nie mógł zaprzeczyć, nie mógł się jej wyprzeć. Mimo to świadomość, że posiada jakiś szczególny dar, napełniała go lękiem i nie była wcale łatwa do zaakceptowania.

– Musimy zabezpieczyć dom przed nadciągającą nocą – powiedział Witek. – Istnieje możliwość, że mamy do czynienia ze złą siłą, być może niegdyś przywołaną przez Nową Synagogę. Proponuję postąpić zgodnie ze wskazaniem, jakich udzielił ci ksiądz Ruta.

Niepewnie obeszlą całą chatę dookoła, skrapiając ją święconą wodą. Stańczuk podszedł do sprawy bardzo poważnie. Nigdy nie był szczególnie wierzący, ale w okolicy było coś, co zmuszało go do spojrzenia na sprawy duchowe w zupełnie nowym świetle. W myślach całkiem szczerze prosił Boga o pomoc. Zdał sobie sprawę, że ogarnia go coraz większy lęk i cieszył się, że nie będzie w starej chacie sam.

ROZDZIAŁ 17

Wieczorem Łukasz zadzwonił do Marty. Zaprosił ją do siebie, aby poznała Witka. Ostatecznie umówili się w Międzyrzeczu, gdy dziewczyna będzie już po pracy.

Gdy wrócił do chaty, Bizon leżał już w wojskowym śpiworze ułożonym na podłodze pod oknem. Pod spodem umieścił karimatę. Na stole stała zapalona naftowa lampa, a Witek, nie dbając o oczy, wertował jakieś przywiezione ze sobą szpargały.

Praktycznie nie odzywali się do siebie, a kiedy obaj postanowili, że najwyższa pora iść spać, Witek poprosił, by nie zamykać okiennicy w pokoju, ponieważ jak sam stwierdził, chciał bacznie obserwować okolicę, także nocą, gdyby posłyszał coś podejrzanego.

Za oknem widać było wielki, srebrny księżyc. Widmowy blask wpadał do środka, malując na stole podłużną smugę przypominającą trumnę. Gdzieś w oddali słychać było wycie psów. Gdy Łukasz już prawie zapadł w sen, Witek nagle poruszył się i odezwał.

- Przypomniałem sobie.
- Hm?
- Zawsze interesowały mnie takie „nietypowe” sprawy.

Właściwie już jako nastolatek zaczytywałem się w horrorach i książkach o parapsychologii. Kiedy miałem kilkanaście lat, w domu, na strychu, znalazłem starą książkę. Nosiła niezbyt wyszukany tytuł *Wiedza tajemna*. Pamiętam, że autor nazywał się Witwicki, a książka została wydana na początku ubiegłego stulecia. Było tam dużo niesamowitych informacji o czarach, niespotykanych zjawiskach i okultyzmie. Książka ta miała w sobie coś niezwykłego. Sięgałem po nią wiele razy i często miałem wrażenie, że odnajduję w niej fragmenty, których wcześniej nie zauważyłem. Lub przeciwnie, nie mogłem znaleźć tego, czego szukałem. Teraz podejrzewam, że zmieniała swoją treść.

– Nie obraż się, ale chyba oszalałeś...– Łukasz lekko uniósł się na posłaniu. Na zewnątrz zerwał się wiatr.

– Większość ludzi sądzi, że książki to po prostu fantastyczne, wymyślone przez autorów fabuły. Ja uważam, że niektóre z nich to rodzaj przejścia, sposobu komunikacji z równoległymi światami równie prawdziwymi jak nasz. Taką rolę mogą spełniać także utwory muzyczne. Przykładem jest *Parsifal* Wagnera.

– *Parsifal*?

– Tak. Nie jest to czcza fantazja. Fizyka kwantowa dopuszcza możliwość istnienia takich światów. Czytałem również o przypadkach osób, które z niezwykłym dla otoczenia zacięciem oddawały się lekturze jakiegoś tekstu lub słuchaniu nagrania. Pewnego dnia po prostu znikali... Znajdowano jedynie leżącą otwartą książkę lub grający odtwarzacz. Filozof Berkeley twierdził wprost: *esse est percipi* – istnieć to znaczy być postrzeganym. Jeśli czytelnik zaangażuje swoją wyobraźnię na tyle, by móc „postrzegać” fikcyjny świat jak rzeczywisty, fikcja automatycznie staje się rzeczywistością. I to dosłownie. Podobno wiedział o tym Adolf Hitler, pisząc *Mein Kampf*. Sądził, że w razie klęski książka zapewni mu ucieczkę lepszą niż najszybszy samolot, i to ucieczkę do świata, jaki sobie wymarzył. Ponoć kiedy poczuł, że zbliża się koniec, chwycił za swój rękopis i zaczął go czytać z najwyższą uwagą. W pewnym momencie jego ciało stanęło w płomieniach. Oczywiście oficjalna wersja wypadków nie wspomina o tym ani słowem. Do tych faktów docierają tak zwani „niezależni badacze”, których mało kto traktuje poważnie. Autor jest kimś w rodzaju medium, podejrzewam też, że istnieją książki szczególne, tak zwane „hermetyczne”, które żyją własnym życiem. Potrafią zdradzać sekretną treść jedynie wybranym,

czasem w szczególnych okolicznościach. Tak samo jak istnieją dobrzy i źli ludzie, tak samo istnieją dobre i złe książki. Niektóre mogą dążyć do zniszczenia właściciela i sprowadzenia na niego nieszczęścia. Inne mogą starać się mu pomóc.

– Świetnie – mruknął Łukasz – ale co to, u licha, ma wspólnego z nami i całą sprawą?

– Poczekaj, zaraz wyjaśnię – Witek usiadł na śpiworze. – Ludzie czasem eksperymentują z wywoływaniem duchów – powiedział wreszcie. – W tej książce właśnie wiele było na ten temat. Najczęściej są to niewinne igraszki, które kończą się śmiechem i wygłupami. Bawią się kieliszkami, talerzykami... i mówiąc szczerze, nie wierzę, żeby to działało. Opisy takich metod można znaleźć w pierwszej lepszej książce kupowanej w księgarni ezoterycznej lub w Internecie. W książce, o której ci wspominałem, opisano prawdziwe sposoby nawiązywania kontaktu ze zmarłymi. Są to jednak bardzo ryzykowne działania. Dlatego sądzę, że historia Kseni i Langmana jest prawdziwa i że istotnie zginęli w płomieniach.

– Aż tak to jest niebezpieczne?

– Sądzę, że tak. Świadczy o tym fakt, że *Wiedzy tajemnej* Witwickiego nie można nigdzie dostać. Przeczytałem ją jako nastolatek. Któregoś dnia moja matka, która jest bardzo religijna, przeglądała moje rzeczy. Nie wiedziałem, że to robi. Gdybym wiedział, schowałbym moje znalezisko lepiej. Niestety, matka zobaczyła książkę i ją spaliła. Później wiele razy próbowałem zdobyć inny egzemplarz. Zdawałoby się, że w dzisiejszych czasach w Internecie można wyszukać i dostać wszystko. A jednak nie. Autor książki wyraźnie przestrzegał przed przeprowadzaniem opisanych eksperymentów. Polegały one na bezpośrednim kontakcie ze zmarłymi, a nawet z innymi istotami z zaświatów, które nie są duchami ludzi.

– Demonami?

– Można to tak określić. Nie chodziło o niewinne zabawy z talerzykami. Duchy przybierały widzialną postać, można było z nimi rozmawiać. Często jednak – zgodnie z tym, co pisał Witwicki – przybywały duchy bardzo złe. Wynikało to z tego, że człowiek zawsze może przywołać ducha stojącego na niższym szczeblu rozwoju niż on sam. Nigdy lepszego. Lepsze kontaktują się jedynie wtedy, kiedy same tego chcą. W czasie seansu wywołujący stawał w specjalnym kole nakreślonym na ziemi święconą kredą... Symbolizuje ono wolę eksperymentatora. Niewykluczone, że moc koła magicznego wcale nie polega na umieszczonych na nim symbolach. Być może złe moce nie mogą osiągnąć człowieka, jeśli ten w pewien sposób im na to nie pozwoli. Atak demonów ma właśnie doprowadzić do tego, żeby eksperymentator wyszedł z koła.

– A co jeśli tak się stanie? – zapytał Łukasz.

– Wtedy już nic go nie chroni. Słyszałem o wielu świadectwach, zgodnie z którymi znaleziono zwęglone lub rozszarpane zwłoki osób zajmujących się tą formą okultyzmu. Jeśli wierzyć temu, co twierdził Witwicki, nie to jest jednak najstraszniejsze. Dla duszy człowieka, który zginął w ten sposób, nie ma już ratunku, zostaje ona uwięziona i może być dręczona przez demony przez wieczność.

– Ale przecież trzeba w końcu wyjść z kręgu – zauważył Stańczuk.

– Tak, ale można to zrobić dopiero po wymówieniu formuły zamknięcia, najlepiej kilkukrotnym. Czas pomiędzy ewokacją a zamknięciem jest czasem ogromnego niebezpieczeństwa. Na zewnątrz koła zostaje otwarte coś na kształt przejścia pomiędzy światami.

Może tam być dosłownie wszystko. Witwicki pisał, że przystąpienie do takiego eksperymentu wymaga od wywołującego niezwyklej siły woli. Musi to być człowiek niemalże święty, niezwykle odporny na pokusy i strach. Być może znalazły się osoby, które te ostrzeżenia zlekceważyły i skończyło się to tragicznie. Jak inaczej wytłumaczyć, że książka po prostu znikła, została ocenzurowana, i to w dwudziestym wieku? Prawdopodobnie na mocy jakiejś tajnej instrukcji szybko wstrzymano jej kolportaż i wycofano z bibliotek oraz księgarni.

– Niby w jaki sposób? Rozesłano policjantów lub urzędników, żeby zarekwirowali książkę, uzasadniając to tym, że zawiera instrukcje, jak skontaktować się z demonami? To brzmi dość absurdalnie.

– Zapewne wymyślono coś innego. Na przykład, że książka jest zbyt obsceniczna, zawiera opisy średniowiecznych sabatów. Albo może posłużyć jako inspiracja dla jakiejś zwyrodniałej sekty. Racjonalne uzasadnienie zawsze się znajdzie... Tak naprawdę chodziło jednak o bezpieczeństwo ludzi, którzy mogliby dostać ją w swoje ręce. Tak mi się przynajmniej wydaje...
– podsumował Witek.

– Ciekawe tylko, czemu nikt nie wznowił jej wydania, przecież w dzisiejszych czasach nie ma już chyba żadnej cenzury. Nawet pornografia jest ogólnie dostępna. – Łukasza szczerze zdumiewała opowiadana przez Bizona historia.

– Nie ma już cenzury? Nie rozśmieszaj mnie. Brak cenzury to jedynie pozory, które są świadomie stwarzane. Kontrola pewnych informacji była i jest, cały czas.

– No stary, zaraz wyjedziesz mi tu z jakąś swoją teorią spiskową – próbował żartować Łukasz. Jednak Witek nadal był zupełnie poważny.

– Ilekroć ktoś próbuje mówić na temat tak zwanej „teorii spiskowej”, wyśmiewa się go natychmiast w prasie, w telewizji, w radiu. Te działania są dobrze skoordynowane. Politycy, którzy zaczynają zbyt dążyć pewne sprawy, często miewają „przykre zdarzenia”. Popołniają samobójstwa. Giną w katastrofach. „Nieznani sprawcy” włamują się do ich domów. Nie twierdzą, że większość z tych zdarzeń ma tło paranormalne. Myślę jednak, że niektóre mają, a za tymi działaniami stoi ktoś konkretny.

Łukasz nie wiedział, co powiedzieć. Było to chyba za wiele nawet jak na jego otwarty umysł. Witek najwyraźniej sądził, że istnieje jakaś tajna organizacja o ogromnych wpływach.

– Myślę, że ocenzurowanie tej książki to jedynie bardzo niewielki przejaw władzy, jaką mają pewni ludzie. Jeśli mi nie wierzysz, spróbuj kiedyś dostać wysokie stanowisko w ministerstwie. Lub chociaż w dowolnym urzędzie czy kuratorium. Chociażbyś skończył nie wiem jakie studia, chociażbyś spełnił wszystkie formalne wymogi z nadwyżką, nie uda ci się. A wiesz czemu? Ponieważ nie jesteś wtajemniczony. A teraz najlepsze. Jestem pewien, że to właśnie w zakazanej książce Witwickiego przeczytałem wzmiankę o Nowej Synagodze. Nie skojarzyłem tego z początku, bo Witwicki nazywał ją Synagogą Szatana. To wielka organizacja, sięgająca swoimi początkami czasów króla Salomona i Mojżesza. Zgodnie z legendą Salomon posiadał wielką wiedzę magiczną. Wszedł w kontakt z siłami ciemności, demonami, które kontrolował za pomocą Pieczęci, zwanymi także Kluczami Salomona. Założył również tajne bractwo, które przekazywało sobie tę sekretną wiedzę i rozwijało ją. Pojawiali się w różnych epokach i zakątkach świata. Trudno w to uwierzyć, ale ponoć w Sanhedrynie, Wysokiej Radzie, która

skazała na śmierć Jezusa, zasiadali jej członkowie.

– O Pieczęciach pisze też wuj Bolesław – zauważył Łukasz, zaniepokojony faktem, że wszystko układa się w pewną logiczną całość. – To fantastyczne przypuszczenie, ale zastanawiam się, czy Langman i Ksenia nie byli po prostu kimś w rodzaju wysłanników Nowej Synagogi, eksperymentatorów przeprowadzających tajemne doświadczenia.

– Może poszli o jeden krok za daleko – podsumował Witek. – Może mieli prowadzić badania nad hipnozą, chcieli zyskać wpływy w tej okolicy, lecz zapragnęli czegoś więcej.

Podśluchy były jedną z najbardziej skutecznych metod pracy operacyjnej Nowej Synagogi. Na tym nie oszczędzano nigdy i urządzenia były znacznie lepszej jakości niż na przykład te, z których korzystały polskie służby specjalne lub wojsko. Cały system, wsparty pracą satelitów, umożliwiał zainstalowanie elektronicznej pluskwy właściwie w każdym miejscu na powierzchni Ziemi, bez obaw o jakość transmisji. W tajnych biurach na terenie Polski, korzystając z łączności elektronicznej, nasłuch przez całą dobę prowadziło co najmniej kilkunastu dyżurnych agentów, którzy wsparci byli dodatkowo programem komputerowym, reagującym na kluczowe słowa. Jednym z wyrażeń o najwyższym priorytecie, wszczynającym natychmiastowy alarm i uruchamiającym rejestrację były słowa „Nowa Synagoga”. System nie był nieomylny, z tego względu, że głos każdego człowieka ma właściwie niepowtarzalny tembr i barwę, a jednak wychwycił już wiele podejrzanych rozmów, pomijając idiotyczne przypadki, gdy ktoś powiedział „chcę hot-doga” lub „boli mnie noga”.

Zaalarmowany Albers błyskawicznie zjawił się w biurze. Z uwagą przesłuchał nagranie, które zostało zarejestrowane niespełna pół godziny wcześniej. W tej chwili był pewien przede wszystkim jednej rzeczy – młodzi ludzie podpisali na siebie wyrok śmierci, który należało jak najszybciej wykonać. Tempo, w jakim kojarzyli fakty i zbliżali się do jądra tajemnicy, było dla niego zatrważające. Czuł się jak zagoniona w potrzask kobra. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o tym, że Nowa Synagoga nie jest jedynie legendą, on byłby za to odpowiedzialny, a Organizacja nigdy nie wybaczała takich błędów. Źródło Mocy powinno pozostać nietykalne.

Zagrożenie należało wyeliminować podobnie jak księdza, korzystając ze stałych, niepozostawiających śladów metod działania. W ten właśnie sposób pozbywali się niewygodnych policjantów lub polityków. Nie można było wzbudzać sensacji, popełniając morderstwo w głębi lasu na dwóch młodych mężczyznach. Albers był jednak w tej kwestii spokojny. Moc sprawi, że popełnią samobójstwa lub postradają zmysły. Nawet jeśli On okaże się wygłodniały, nie pozostawi żadnych śladów poza udręczonym ciałem ofiary.

Natychmiast zatelefonował do Bauera i Wettermanna, nakazując jechać do starej chaty. Przekazał im dokładną instrukcję dojazdu, pozyskaną od policjanta, który miał zebrać informacje o Stańczuku.

ROZDZIAŁ 18

Była głęboka noc, gdy Wettermann zaparkował furgonetkę na leśnej drodze. Nie chciał

podjeżdżać zbyt blisko, by warkotem silnika nie zwrócić uwagi mieszkańców leśnej chaty. Wyłączył reflektory. Czarna furgonetka dobrze sprawdzała się podczas nocnych zadań i przypominała teraz przyczoną w zaroślach dziką bestię.

– Cholerna robota – wymamrotał nagle Bauer.

Wettermann spojrział na niego z zaskoczeniem. Do tej pory uważał Bauera za fanatyka i człowieka bezwzględnie wiernego Organizacji.

– Nie musielibyśmy wcale słuchać poleceń. Ja czy ty nie jesteśmy wcale gorsi od nich.

Wettermann słuchał w milczeniu. Bał się, czy w furgonetce nie założono podsłuchu. Bauer jakby odczytał jego myśli. A może wcale nie zrobił tego on, ale to coś, ten ktoś, kto z wolna przejmował jego myśli.

– Wiem, gdzie jest podsłuch. Potrafię wyłączyć go na krótką chwilę, tak by się nie zorientowali – wyznał Bauer. – I właśnie to zrobiłem. On ma dla nas propozycję. Rozumiesz? Jest uwięziony. Dają mu pokarm, ale chce więcej. Wtedy stanie się silniejszy.

– Do czego zmierzasz? – ostrożnie zapytał Wettermann.

– Mam plan. Jestem pewien, że zadziała. Wszystko sprawdziłem. Nieopodal, w Chycinie, jest ośrodek AWF. W sobotę odbędą się tam zawody i festyn dla dzieciarni z Poznania. Wiesz, najzdolniejsi pływacy i różne takie. Zawieziemy go tam. Zawieziemy go tam i uwolnimy. Wrzucimy jego kryształ do wody. Złamiemy Pieczęć. Będzie mógł działać bez przeszkód.

Wettermann zdrętwiał. Owszem, od lat był wiernym agentem Organizacji. Jednak to, co zamierzał uczynić Bauer, przerażało go. Wiedział, do czego zdolna jest straszna istota, z której mocy korzystali. To było coś gorszego niż zły człowiek lub dzikie zwierzę. Było to również coś gorszego niż konwencjonalna broń, nawet najstraszniejsza.

– To będzie masakra – wyszeptał. – Jeśli go uwolnimy, zacznie zabijać bez opamiętania. Zginie mnóstwo dzieci. Ludzie są dla niego niczym. Demon sprawi, że woda zacznie wrzeć lub błyskawicznie zmieni się w twardy jak skała lód. Dzieci, które przeżyją, nigdy już nie dojdą do siebie, będą należały do Niego. Skutki mogą być nieobliczalne.

Bauer zachichotał w sposób, od którego cierpła skóra. Zerknął na zegarek i lewą rękę umieścił pod siedzeniem.

– Za piętnaście sekund muszę włączyć pluskwę. Jeśli tego nie zrobię, system uruchomi alarm. Decyduj. Słyszałem Jego głos. Obiecał, że nasza nagroda będzie wielka. Będziemy niewyobrażalnie bogaci i zasiądziemy po jego prawicy. Nie będziemy już musieli słuchać nikogo. Przejmiemy Źródło Mocy. Musimy tylko złożyć mu ofiarę, sprawić, by stał się silniejszy. Trzeba dać mu więcej wolności. Guzik obchodzą mnie jakieś bachory.

Wettermann nie był miękki. W czasie swojej pracy przyłożył rękę do śmierci wielu ludzi. Rzadko kiedy w sposób dosłowny pociągał za spust, ale maczał w tym palce. Były to jednak głównie skorumpowane, wpływowe szuje dbające jedynie o swój majątek. Ludzie, którzy myśleli tylko o sobie i pragnęli się dorobić. Cyniczni, kłamliwi policjanci. Bezwzględni szefowie fabryk. Posłowie, którzy rozprawiali o moralności przed kamerami, a jednocześnie spędzali noce w luksusowych agencjach towarzyskich, otrzymując w ten sposób wynagrodzenie za „właściwie” oddany głos. To, co robili do tej pory, było złe, a jednak dało się dostrzec w ich działaniach ślad jakiejś wypaczonej, pokrętej, niemal więziennej moralności, jakąś iskierkę nadziei na zbawienie

poczerniałych dusz.

Wizja rzezi niewinnych dzieci, które przyjechały na festyn i pływackie zawody, przerażała Wettermanna. Jeszcze bardziej jednak obawiał się konsekwencji uwolnienia tajemniczej siły oraz jej samej. Czuł, że moc tak zła nie poprzestanie na jednej ofierze, choćby i najstraszniejszej. Gdy wymknie się spod kontroli, będzie nienasycona.

– Nie – odparł.

– Jak chcesz – wysyczał nienawistnie Bauer i na powrót uruchomił podsłuch, płynnym ruchem wkładając dłoń pod fotel.

Wettermann mógł spróbować powiadomić Organizację o niesubordynacji Bauera i jego widocznym pograżaniu się w niebezpiecznym szaleństwie. Nawet Nowa Synagoga nie posunęłaby się aż tak daleko, jak chciał uczynić to Bauer. Oczywiście nie ze względów humanitarnych, ale dlatego, że masakra w letnim ośrodku mogłaby narobić zbyt wiele hałasu, a także dlatego, że istotą sprawy było kontrolowanie demona. Donoszenie na współpracownika było jednak wybitnie ryzykowne. Po pierwsze, wyczuwał, że Bauer cieszy się większym niż on sam zaufaniem Albersa. Po drugie, Bauer wiedział o niektórych jego ciemnych sprawkach i zawsze mógł spróbować go pogrążyć. Postanowił, że gdyby postępowanie jego współpracownika zaczęło wymykać się spod kontroli, spróbuje powstrzymać go na własną rękę.

Bauer tymczasem wysiadł z furgonetki i starając się nie narobić hałasu, otworzył tylne drzwi. Ze środka emanowało zimno i wrogość tak wielka, że nawet jemu ścierpła skóra. Mocniej zacisnął rękę na Pieczęci, która dawała mu nietykalność i umożliwiała sprawowanie władzy nad demonem. W środku, w ciemności jakby coś się poruszyło. Bauer już wiele razy przeprowadzał podobną operację i za każdym razem czuł szacunek i lęk.

Umieszczony w specjalnym pojemniku kryształ zaczerwienił się, a następnie nappełnił wnętrze pojazdu szkarłatnym światłem. Było ono coraz silniejsze. W końcu stało się tak potężne, że Bauer cofnął się o krok, obserwując zjawisko z fascynacją pomieszaną ze strachem. Zdawało mu się, że stanął na wprost wielkiego reflektora lub ogromnego oka, spoglądającego na niego z wielką uwagą. Niezwykły blask barwił wokoło drzewa, które wyglądały teraz tak, jakby ociekały krwią.

Rozległy się ciche szepty, mamrotania i chichoty. Światło pulsowało, mieniło się. Bauer pomyślał, że Jego moc wyraźnie narasta. Nic dziwnego, znajdowali się przecież blisko Źródła.

Agent otrząsnął się i wykonał lewą ręką Gest. Potem następny, wskazujący demonowi drogę. Od tej pory los mieszkańców chaty wydawał się przesądzony.

Łukasz otworzył szeroko oczy.

– Obudź się – szepnął Witek, potrząsając go za ramię. – Dzieje się coś niedobrego.

W czasie gdy Łukasz spał, księżyc przemieścił się na wprost okna i zalewał cały pokój zimną, widmową poświatą. Świecił ponurym, czerwonym światłem, niczym ostrzegający przed niebezpieczeństwem wielki kolejowy semafor. Raz po raz jakiś przemykający po niebie ciemny

obłok zakrywał go na krótką chwilę, zaraz jednak krwawa tarcza ukazywała się na powrót. Na zewnątrz słychać było głucho podmuchy wiatru. Było bardzo zimno.

– Szkarłatny blask. Teraz ci wierzę. Pierwszy raz widzę coś takiego na własne oczy – wyszeptał Bizon. – Do tej pory sądziłem, że to tylko legenda.

– Jaka legenda, co to, do cholery, jest? Zawsze pojawia się, gdy dzieje się coś złego. – Łukasz oparł się o framugę okna i razem spoglądali na niezwykle zjawisko. Obecność przyjaciela dodawała mu odwagi, uważnie obserwował jednak otaczające polanę zarośla, świadom, że zaraz może wyłonić się z nich coś, czego wolałby nigdy nie oglądać.

Światło księżyca stawało się coraz bardziej szkarłatne.

– Wzmianki o karmazynowym blasku pojawiają się w różnych kulturach i na różnych szerokościach geograficznych – wyjaśniał szeptem Witek. – Mówią o nim hinduscy mnisi i afrykańscy szamani. Także w europejskim spirytyzmie czerwony blask, oprócz gwałtownego wichru i chłodu, uważany był od stuleci za jeden ze znaków towarzyszących pojawieniu się najmroczniejszych mocy. Nie bez przyczyny imię „Lucyfer” oznacza właśnie „niosący światłość”. Nie chodzi tutaj jednak o życiodajne światło słońca, ale jego bluźnierczą parodię, martwy, krwawy blask księżyca. To zjawisko, zgodnie z niektórymi relacjami, pojawia się czasem samoistnie, jako „czerwona, lśniąca mgła”. Niekiedy jednak przemiana następuje w jakimś konkretnym źródle światła i często towarzyszy praktykom okultystycznym wyższego rzędu. W tym przypadku jest to księżyc. W średniowieczu wierzono, że taki „spływający krwią księżyc” zawsze jest zapowiedzią strasznych wydarzeń. To tak zwany „księżyc złej rady”, chociaż nie mam pojęcia, skąd wzięła się ta nazwa. Szkarłatny blask zawsze zwiastuje wzmogoną aktywność paranormalną.

Tymczasem, niemal w jednej chwili, na zewnątrz rozpełtało się prawdziwe piekło. Zerwał się wichur, napierając na okna chaty z ogromną siłą. Witek i Łukasz cofnęli się odruchowo. Skrzydło okiennicy waliło o ścianę z furją, jakby zaraz miało zostać oderwane i uniesione w las niczym latawiec. W przedsionku ktoś z wściekłością szarpał za klamkę, wyraźnie pragnąc wdrzeć się do środka.

– Próbuje wejść! – zawołał Bizon.

– Co mamy robić? – nerwowo zapytał Łukasz.

– Natychmiast zapalmy gromnicę! – Już po chwili po mieszczeniu napełniło spokojne światło świecy. – Nie traćmy też nadziei. Skropiliśmy chatę święconą wodą i zapewnia nam to pewną ochronę. Chodzi raczej o przestraszenie nas i spowodowanie panicznej ucieczki do lasu, gdzie bylibyśmy bezbronni.

– Spójrz na walizkę! – krzyknął Łukasz, łapiąc przyjaciela za ramię.

Nie mogło być mowy o żadnym złudzeniu. Z wnętrza walizki emanowała lekka, jasna poświata, przybierająca jednak stopniowo na sile.

– Czymkolwiek jest to, co znajduje się w pobliżu, uaktywnia zmagazynowaną w kulce energię! – zawołał Witek.

– Tak jak niektóre przedmioty świecą tylko w świetle ultrafioletowym... – Łukasz podbiegł do walizki i wyciągnął z niej kulkę. Światło natychmiast przybrało na sile, jakby wzmacniając się psychiczną siłą trzymającej kulkę osoby. Tym razem jednak w umyśle Łukasza nie pojawiły się żadne obrazy, czuł tylko bijącą z przedmiotu, podobną do ciepła energię. Zupełnie jakby kulka całą swoją siłę wypromieniowywała teraz na zewnątrz, starając się ochronić ich przed zagrożeniem. – Trzymajmy się blisko niej! – zawołał Łukasz, przekrzykując hałas.

Z zewnątrz dobiegały przeraźliwe odgłosy. Rozlegały się krzyki o pomoc, jęki i szloch, jakieś zwierzęce wycie i groźące mamrotania. Mieli uczucie, że okrążają ich ze wszystkich stron. Wichur stał się teraz tak silny, że przez chwilę wydawało się, iż porwie ze sobą całą chatę. Przeróżne świstanie mroziło do szpiku kości.

Nagle nawałnica zaczęła słabnąć. Była jak nieproszony gość, któremu odmówiono wstępu, przed którym zamknięto drzwi. Hałas zaczął się oddalać, aż stopniowo ucichł całkowicie.

Łukasz i Witek stali nieruchomo jak skamieniały. Światło szklanej kulki przygasło i wreszcie zupełnie znikło. Wyglądała teraz jak najzwyklejsza kulka przeznaczona do gry lub zabawy.

ROZDZIAŁ 19

Rano, po nocy pełnej sennych koszmarów, Łukasz czuł się paskudnie. Wiedział jednak, że czas jest na wagę złota. Nie można było mieć pewności, czy moc kulki nie osłabnie lub czy kolejny atak nie okaże się silniejszy od poprzedniego, niszcząc nawet barierę ochronną rozciąganą przez święconą wodę i gromnicę. Witek stwierdził, że powinni zastosować podstawową zasadę krav magi, która nakazuje uciekać albo walczyć z całych sił. Łukasz odparł na to, że to nie krav maga, ale zwykły zdrowy rozsądek.

Bizon włączył radio. Nadawano właśnie lokalne wiadomości. Spikerka informowała o zbliżającym się w Chycinie wielkim festynie.

– AWF w Poznaniu postanowiła zorganizować tę imprezę z myślą o dzieciach z miasta, które nigdzie nie wyjechały. Chętni zostaną dowiezieni na miejsce autokarami. Odbędzie się bieg na orientację, liczne gry i zabawy z nagrodami, będzie można przyjrzeć się ćwiczeniom strażaków i tresurze policyjnych psów. Całość uświetnią zawody młodych pływaków. Zgodnie z informacjami uzyskanymi od organizatorów, zainteresowanie przekroczyło ich najśmielsze oczekiwania... Zapraszamy też gości z okolicznych miejscowości, przypominamy, już w najbliższą sobotę...

Nagle coś zakłóciło sygnał radia. Bizon podszedł do niego i zaczął kręcić gałką, by wyregulować odbiornik. W głośniczku słychać było rytmiczne „stuk-stuk, stuk-stuk”, przywodzące na myśl alfabet Morse' a lub binarny kod.

– Coś zakłóca odbiornik – zauważył. Stukanie nie ustawało, a po chwili przerodziło się w jednostajne piszczenie. Witek spojrzął na swój telefon komórkowy. – Dzwoni ci komórka? – spytał Łukasza. Ten sprawdził i zaprzeczył.

Witek zajrzał pod stół. W miejscu gdzie stało radio, pod blatem, umieszczone było jakieś

elektroniczne urządzenie wielkości pinezki. Witek oderwał je i dopiero wtedy zrozumiał, co trzyma w ręce.

– Jasna cholera! – zawołał.

Następnie rzucił pluskwę na podłogę i rozdeptał butem.

– Jestem niemal pewien, że to sprawka tego gliniarza, który cię odwiedził – rzekł.

Musieli coś zrobić. We dwójkę, gdyż Marta była w pracy. Szkoda, bo najlepiej z nas zna okolicę, pomyślał Łukasz.

– Wszystko wskazuje na to, że to gruba sprawa, w którą zamieszana jest policja – oznajmił Witek. – A może nawet jeszcze ktoś inny. Jasne, jesteś podejrzany, ale to nic. Na założenie pluskwy potrzebna jest zgoda sądu, a nie sądzę, by uzyskali ją tak szybko. Działają na granicy prawa i to samo w sobie już daje do myślenia.

– Policjant chciał, żebym stąd wyjechał – przypomniał Łukasz. – Ewidentnie chciał mnie zastraszyć.

– Chronią jakąś tajemnicę. Boją się, że możesz ją odkryć. To dlatego założyli podsłuch – kombinował Bizon.

– Chronią? Ale co? – Łukasz główkował, ale nie bardzo mu szło. W pewnym momencie głośno pociągnął nosem. – Bizon?

– No?

– Mogli podsłuchiwać również księdza Rutę. Słyszeli naszą rozmowę. O wypadkach i o... Nowej Synagodze.

– No to mamy odpowiedź. Dlatego zginął. Powiedział ci zbyt wiele. Przynajmniej w odczuciu tego kogoś, kto podsłuchiwał rozmowę – odparł Witek. – Cholernie śmierdząca sprawa.

– Ale... dlaczego komuś tak bardzo miałyby zależeć na ukryciu jakiejś historii, która wydarzyła się przed laty? I to ludziom powiązanym z policją? Przecież, co najwyżej, mógłby to być temat do gazety, którego i tak nikt nie wzięłby poważnie.

– Jeszcze nie rozumiesz? – Witek nadał wargi. – Nowa Synagoga, Synagoga Szatana, o której wspominali wuj Bolesław i Witwicki, istnieje nadal. Mają tu jakiś swój sekret, który pragną ukryć.

Łukasz przez dłuższą chwilę nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Teoria Witka była zbyt fantastyczna. Coś podobnego mogłoby dzieć się gdzieś daleko, na Bliskim Wschodzie lub w USA, ale nie w Polsce. Polska w opinii Łukasza była krajem, gdzie spiski w zasadzie nie istniały, a duchowość ludzi nie wykraczała poza nieskomplikowaną, oficjalną wykładnię katolicyzmu. Zdawało mu się, że sprawy i ludzie są tutaj w zasadzie tym, na co wyglądają, to znaczy policjanci są stróżami prawa, a przestępcy nie korzystają z żadnych paranormalnych zdolności, wybierając raczej bardziej przyziemne metody. Potrzebował dłuższej chwili, by zauważyć, że w logice Bizona nie ma większych luk, a jego jedynym kontrargumentem musiałyby być „to niemożliwe i już”.

– Musimy wytropić tę tajemnicę, zanim nas wykończą – powiedział w końcu. – Może jakoś podzielimy się zadaniami.

Witek zaproponował, że uda się do miasta, do miejskiej biblioteki i archiwum. Jako historyk zdawał sobie sprawę, że ma zbyt mało czasu na przeprowadzenie dokładnych badań. Jednak od

czegoś trzeba było zacząć. Liczył na to, że uda mu się przynajmniej poszperać w starych segregatorach z gazetami. Może zauważy coś podejrzanego, natknie się na jakąś wskazówkę. Chciał również zdobyć więcej informacji na temat wiedzy magicznej Mojżesza i króla Salomona. Jeśli Nowa Synagoga istotnie opierała na ich magii, takie informacje mogły okazać się bezcenne.

Łukasz musiał zawieźć Witka do miasta, ponieważ autobusy z Kurska do Międzyrzecza kursują bardzo rzadko. Pomyślał, że odwiedzi też Martę. Mogła okazać się ważnym sprzymierzeńcem i powinna na bieżąco wiedzieć, co się dzieje. Chciał ją także ostrzec przed niebezpieczeństwem i prosić, by uważała na siebie.

W tym samym czasie siedzący w tajnym biurze Nowej Synagogi Albers nie posiadał się ze wściekłości. Podśluch upewniał go, że mieszkańcy starej chaty nie tylko ocaleli, lecz mają się całkiem dobrze. Na dodatek, jakimś niebywałym sposobem zdołali wykryć i zniszczyć pluskwę. Na głowy Wettermanna i Bauera w czasie telefonicznej rozmowy spadały prawdziwe gromy.

Sam atak demona nie został zarejestrowany dokładnie, słychać było jedynie szумы i trzaski oraz przenikliwe wycie. Było to normalne, zawsze gdy On dobierał się komuś do skóry, urządzenia elektroniczne wariowały. Nie wiedział więc, co takiego uczynili, że udało im się przetrwać.

Tym bardziej wydali mu się teraz niebezpieczni.

Podstawową zasadą działania Organizacji była dyskrecja. Należało unikać bezpośredniej, pozostawiającej ślady przemocy, a jedynie stosować oddziaływania duchowe. Nieraz za pomocą przerażających wizji i snów wywoływanych przez demona udawało się ofiarę pozbawić wiarygodności, a także doprowadzić do samobójstwa. Zapewniało to zupełną bezkarność, ponieważ żaden sąd na świecie nie dałby wiary w opowieści o zbrodni dokonanej przez przywołanego demona.

W tej jednak sytuacji nie można było pozwolić, aby przybysze z domku na Moczarach kontynuowali swoje śledztwo. Liczył, że się zniechęcą. Działo się wręcz przeciwnie. Na domiar złego, wszystko wskazywało na to, że zamierzają wciągnąć do współpracy jeszcze trzecią osobę, dziewczynę. Albers gardził kobietami i nie wierzył, że jakakolwiek baba mogłaby doprowadzić do ujawnienia lub zniszczenia Źródła. Jednak myśl, że o sprawie mogą dowiadywać się kolejne osoby, przyprawiała go o mdłości. Ją również postanowił wyeliminować. Na szczęście zanim podśluch został zniszczony, dowiedział się, gdzie pracuje Marta Czajka.

*

Nie bacząc na sztywne zasady Nowej Synagogi, nakazał natychmiastową, fizyczną likwidację mieszkańców chaty. Członkowie Nowej Synagogi mieli broń i potrafili się nią w razie potrzeby posługiwać. Albers zapewnił Wettermanna i Bauera, że to jest ich ostatnia szansa.

– Tej nocy muszą zginąć – zapowiedział. – Macie także wyeliminować dziewczynę, i to jak najszybciej!

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Międzyrzecz mieści się w dużym, nowoczesnym budynku przy ulicy Centrum 8. Witek udał się wprost do czytelnicy. Obiecał sobie, że w najbliższych dniach spędzi tu dużo czasu. Zwykle na materiały zamówione z archiwum trzeba było poczekać, a ich przeglądanie stanowiło żmudną pracę.

Obok tradycyjnych, drewnianych katalogów pod ścianą ustawione były komputery. W czytelnicy przy stolikach siedziały tylko dwie osoby. Młoda dziewczyna i starszy pan. Bibliotekarka była atrakcyjną blondynką w obcisłej bluzce i białych legginsach. Na powitanie posłała Witkowi szeroki uśmiech.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała. Bizonowi zaschło w gardle z wrażenia.

– Nie. Tak. Znaczy, tak, tak...

Z twarzy dziewczyny nie zniknął uśmiech.

– Czego pan poszukuje?

– Książek – odrzekł Bizon i nagle uświadomił sobie, że przerwał w połowie odpowiedzi. – Znaczy książek o czarnej magii – dokończył.

Blondynka, nawet jeśli była zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać.

– Proponuję skorzystać z katalogu komputerowego, hasło przedmiotowe „magia i rytuały magiczne” lub „antropologia kulturowa” – doradziła. – Gdy coś pana zainteresuje, proszę wypisać zamówienie, a ja przyniosę książkę.

Witek usiadł przy komputerze, zalogował się do systemu jako gość, wpisał hasło przedmiotowe i zaczął przeglądać tytuły ułożone w porządku alfabetycznym. Fakt, że pisał pracę na temat okultyzmu w Polsce, pomógł mu ocenić, że znajdujące się we bibliotece książki to w większości bezwartościowe pozycje skierowane do masowych odbiorców. *Sensacje magii, Czary-mary na każdy dzień, Magia imion* – to nie było to, czego potrzebował.

Nagle oniemiał. Na końcu listy pod „W” znajdowało się nazwisko Witwickiego. Nie był to przy tym ani Wiktor, ani Stefan, ani Włodzimierz, ale właśnie Samuel Witwicki, a przy jego nazwisku widniała *Wiedza tajemna* z zagadkową adnotacją - NIE DO UDOST.

A więc wszystko jasne, pomyślał. Znajdował się przecież w czytelnicy biblioteki w Międzyrzeczu. Być może książka trafiła tu ze zbiorów Nowej Synagogi. Niewykluczone, że ten rzadki egzemplarz mógł należeć do kogoś związanego z towarzystwem okultystycznym. Może po śmierci tej osoby książki oddano do biblioteki, w tym także *Wiedzę tajemną*.

Zerwał się z krzesła i podszedł do młodej bibliotekarki.

– Chyba znalazłem książkę, która mnie interesuje, ale jest przy niej dziwna adnotacja.

Bibliotekarka kusząco zwilżyła usta językiem, po czym sprawdziła tytuł.

– Rzeczywiście – rzekła po chwili. – Chyba chodzi o to, że jest to egzemplarz archiwalny. – Chrząknęła. – Dziwne. Zwykle nie oznaczamy tak książek, powinno być napisane ARCH. Widzi pan, jestem na praktykach i do końca nie wiem. Pani, która jest tu na stałe, musiała wyjść. Zaraz wróci...

– Ale mogłaby pani przynieść tę książkę? – zapytał Witek, uśmiechając się najpiękniejszym i najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć. Nie był typem kobieciarza i w kontaktach z płcią przeciwną cechowała go raczej nieśmiałość. W decydujących chwilach potrafił jednak wykrzesać z siebie wiele uroku.

– Tak, ale ona nie jest do wypożyczenia! – W bibliotekarce obudziła się czujność i biurokratyczny duch.

– Chciałbym ją przejrzeć. Co najwyżej skserować – uprzejmie odparł Witek. – Oczywiście, broń Boże nie całość! Tylko niewielkie fragmenty. Jestem studentem historii i piszę pracę o polskim okultyzmie.

– No dobrze, proszę usiąść i poczekać. – Bibliotekarka odwróciła się i odeszła, kołysząc biodrami.

Witek czekał i chyba już dawno nie czuł się równie zniecierpliwiony. Doskonale wiedział, że gdyby na miejscu młodej praktykantki była „pani, która jest tu na stałe”, nigdy w życiu nie otrzymałby tej książki do ręki, o kserowaniu nie wspominając. Domyślał się, że samo jej wprowadzenie do katalogu komputerowego było przejawem lekkomyślności lub pomyłki bibliotekarzy. Podejrzewał, że jest to jedna z tych książek, której rzadkie egzemplarze są przechowywane w tajnych podziemnych pancernych sejfach Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Łukasz, po tym jak zostawił Witka pod biblioteką, dodał gazu i ruszył w kierunku biura nieruchomości „Posesja”. Po drodze minęła go czarna furgonetka. Kiedy był już blisko, zobaczył ruszającą spod biura karetkę pogotowia na sygnale. Zaparkował samochód i pobiegł w kierunku wejścia. Niemal wpadł na stojącego przy drzwiach szczupłego, wysokiego bruneta koło trzydziestki, w białej koszuli i krawacie. Domyślił się, że to właściciel. Był blady jak ściana i wyglądał na przestraszonego.

– Co się stało? – Łukasz pełen był złych przeczuć. – Czy coś z Martą? Jestem... jej chłopakiem.

– Aż trudno w to uwierzyć. – Coś zrobiło na szefie wrażenie tak duże, że widocznie chciał się tym podzielić. – Siedziałem akurat na zapleczu, kiedy pani Marta nagle zasłabła. Obsługiwała właśnie interesanta, kiedy to się stało. Słyszałem jedynie strzępki rozmowy, bo na zapleczu grało radio. Facet gadał jakieś głupoty, pewnie ją zdenerwował.

– Jakie... głupoty? – Żołądek Łukasza napęlił nieprzyjemny chłód.

– W pierwszej chwili sądziłem – tłumaczył szef – że to jakaś kontrola, może skarbówka, ponieważ powiedział coś, co brzmiało jak „będziesz ukarana”. Potem usłyszałem huk upadającego krzesła, wybiegłem i zobaczyłem panią Martę leżącą na ziemi. Nieprzytomną. Facet znikł jak kamfora. Próbowałem ją ocucić, ale kiedy nie przyniosło to skutku, złapałem za telefon i wezwałem karetkę.

– Gdzie ją zabrano?

– Lekarz mówił o szpitalu Pięciu Braci Międzyrzeckich, przy ulicy Konstytucji, dosłownie kilka minut jazdy stąd.

Wiedział już dobrze, o który szpital chodzi, ponieważ znajdował się on nieopodal biblioteki. Podejrzewał, że Marta może być w wielkim niebezpieczeństwie i nabrał pewności, że za sprawą kryją się ci sami ludzie, którzy założyli podsłuch i zamordowali księdza Stanisława Rutę.

Po drodze wybrał jeszcze numer Witka i powiadomił go o sytuacji. Nie pominął przy tym

informacji o dziwnym człowieku, który pojawił się zaraz przed zasłabnięciem Marty. Bizon odparł, że zaraz wyjdzie z biblioteki i że pojedzie z nim.

Bizon wskoczył do samochodu. Za pasek miał wetknięty zwój kartek. Łukasz cały czas myślał gorączkowo i nagle coś przyszło mu do głowy.

– Słuchaj! – rzucił do Witka. – Ten gość... jeśli w ogóle to jego sprawka... nie wiadomo co jej zrobił.

– Sprawa wygląda dziwnie, zwłaszcza że wszystko wskazuje na to, iż mamy na pieńku z Synagogą. Ale na twoim miejscu nie wpadałbym w panikę. To, że facet uciekł po tym, jak Marta zasłabła, nie musi od razu oznaczać, że jest jakimś paranormalnym zabójcą. Może zwyczajnie zaczepiał ją, a potem... kiedy z jakiegoś powodu zemdlała, przestraszył się i zwyczajnie uciekł. Mógł też po prostu użyć chloroformu lub czegoś podobnie działającego.

Łukasz miał jednak najwyraźniej w tej kwestii inne zdanie. Dodał gazu tak mocno, że opony zapizzczały na asfalcie, a chłopaków wgniotło w fotele. Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Mogę wiedzieć, co wyprawiasz?

– Nie, ponieważ nie ma czasu na tłumaczenie. Jedziemy do najbliższego kościoła! – zawołał Łukasz.

– A co, chcesz się pomodlić?

– Być może.

– Wiesz chociaż, gdzie jest ten kościół?

– Popytamy.

Po chwili jakaś starsza kobiecina wskazała im drogę.

– Najbliżej do Jana Chrzciciela. Prosto, potem w prawo i znowu prosto. Cały z cegły, z daleka zobaczycie wieżę...

– Mamy dwie możliwości – tłumaczył szybko Bizonowi Łukasz. – Jedna jest taka, że Marta zwyczajnie zasłabła lub że ten facet jej coś zaaplikował. Właściciel nie mówił nic o widocznych obrażeniach, a czegoś takiego z pewnością by nie przeoczył. W takim przypadku niewiele pomożemy, trzeba liczyć na lekarzy. Druga jest taka, że to ludzie Nowej Synagogi. Pamiętasz, co się działo w chacie? To mogła być ich sprawka. Mają jakieś paranormalne moce lub coś w tym stylu.

– Śmiała teoria! – zawyrokował Witek. – Ale całkiem logiczna.

– Dokładnie. Pamiętasz tę opowieść o Łazarzu? – Łukasz wyprzedził jadące przed nimi auto

– Niby jaką?

– Apostołowie przyszedli do Jezusa i powiedzieli, że Łazarz umarł. Jezus zaprzeczył i powiedział, że nie umarł, tylko śpi. Prawda? „Tylko śpi”. Dlaczego po prostu nie powiedział, że umarł?

– Nie za bardzo rozumiem, do czego zmierzasz – odparł Witek. – Ale cokolwiek to jest, nie podoba mi się.

– Pomyśl chwilę nad tym, czym jeszcze oprócz uzdrawiania zajmował się Jezus – powiedział Łukasz, wrzucając czwarty bieg. – Coś bardzo charakterystycznego, o czym na kartach Ewangelii wielokrotnie się wspomina.

Witek nagle zrozumiał.

– Myślisz, że pozorny sen, a więc letarg, może być jednym z przejawów działania złego ducha? Że tak mogło być w przypadku Łazarza? A teraz... jest w przypadku Marty? Że jej dusza została w ten sposób uwięziona, a teraz...

– Módlmy się, żeby zdarzył się cud i nie było za późno – rzekł Łukasz, zatrzymując samochód przed kościołem.

Ze schowka w desce rozdzielczej wyjął pustą plastikową butelkę po wodzie mineralnej, następnie wysiadł z wozu i pobiegł do kościoła. Po chwili wrócił z pełną butelką.

Szpital Pięciu Braci Międzyrzeckich jest wielkim, nowoczesnym budynkiem z nową elewacją w kolorze białym i pomarańczowym. Wbiegli po schodkach i przez plastikowe, oszklone drzwi wpadli do środka.

Za szybką dyżurki królował starszy mężczyzna w mundurze ochrony z napisem „Ośmiornica Group” na ramieniu. Drogę zagrażały kolejne drzwi.

– A panowie dokąd? – zapytał.

W tym momencie rozległo się brzęczenie elektrycznego dzwonka, a przez drzwi wyszła pielęgniarka. Witek błyskawicznie chwycił zamykające się skrzydło i wpadł do środka, a Łukasz za nim.

*

– Halo! Proszę się zatrzymać! – Emeryt był wyraźnie zaskoczony takim rozwojem sytuacji. Wytoczył się z dyżurki i podreptał za nimi, ciągle wołając „halo!”.

Byli już na półpiętrze.

– Weszliśmy. Ale czy wiemy, dokąd biegniemy? – zapytał Witek.

– Kierujemy się intuicją. Moją intuicją.

– Cholera. Będą kłopoty.

Agent „Ośmiornicy” najwyraźniej obawiał się pozostawić swój posterunek przy drzwiach, bo jego wołania umilkły i pościg jakby ustał. Przyjaciele nie oglądając się na nic, popędzili na kolejne piętro. Wszędzie czuć było intensywny, charakterystyczny zapach środka do dezynfekcji.

Na korytarzu pojawiła się pielęgniarka. Była młoda i miała jasne, proste włosy związane w długi ogon. Mogłaby być całkiem ładna, gdyby nie zbyt męska, stanowcza twarz.

– Przepraszam! – zatrzymał ją Łukasz. – Szukamy Marty Czajki.

– Panowie z rodziny? – zapytała, mierząc go nieco nieufnym wzrokiem.

– Tak – skłamał, wiedziony jakimś dziwnym przeczuciem.

– Bardzo mi przykro – pielęgniarka spuściła oczy – ale pani Czajki nie udało się uratować.

Właściwie, kiedy ją przywieziono, już nie żyła.

Łukasz poczuł, jakby coś złapało go za gardło i odebrało oddech.

– Gdzie zabrano ciało? – zapytał szybko.

– Dosłownie przed momentem pielęgniarz... – Blondynka zerknęła na niego z zaskoczeniem.

Pytanie musiało wydać się jej zbyt bezpośrednie i rzeczowe. – Pojechał z nim do kostnicy... ale...

Łukasz ruszył biegiem w kierunku, który pielęgniarzka zdradziła ruchem głowy. Witek podążył za nim.

Na końcu korytarza znajdowała się duża winda. Oprócz drzwi miała także zasuwaną kratę. Łukasz nacisnął guzik. Gdzieś z góry rozległ się szcęk, a następnie miarowe buczenie silnika.

– Proszę panów! – zawołała pielęgniarzka z końca korytarza. Była teraz ucieleśnieniem słusznego oburzenia i praworządności. – To jest winda dla personelu!

– To dobrze, wiem teraz, że dobrze jedziemy! – odkrzyknął Łukasz.

– Kompletnie wariactwo – skomentował Witek. – Totalna szajba.

– Zaufaj mi... Muszę coś sprawdzić.

– Świetnie.

– Jeśli tego nie zrobię teraz, już nigdy, do końca życia nie zasnę spokojnie.

Pielęgniarzka tymczasem ruszyła biegiem w ich stronę, wyraźnie rozgniewana tak ostentacyjną pogardą okazywaną szpitalnym przepisom. Jej buty stuknęły gniewnie po podłodze.

– Mówiłam przecież...

Na szczęście w tym samym momencie otworzyły się drzwi windy. Wsiedli, a Łukasz szybko zasunął kratę. Nacisnął guzik z napisem „piwnica” i winda ruszyła. Za szybką drzwi przez moment ukazała się rozeźlona twarz pielęgniarzki. Łukasz był niemal pewien, że teraz będzie ich ścigać po całym szpitalu, a gdy ich schwyta, udzieli reprimendy tak srogiej, że można by za jej pomocą zatrzymać globalne ocieplenie.

Kiedy wysiedli z windy, ujrzeli długi, smutny korytarz, a na jego końcu pielęgniarzka pchającego przed sobą nakryty białym prześcieradłem wózek. Czuć było intensywny zapach środka do dezynfekcji. Pielęgniarzka szedł powoli, nie śpiesząc się. Jego pogwizdywanie odbijało się głuchym echem, kojarzył się ze współczesnym, wyluzowanym Charonem, przewoźnikiem zmarłych, który swoje ponure zadanie traktuje jako jeszcze jedną robotę do wykonania.

Przez ułamek sekundy Łukasza ogarnęły straszliwe wątpliwości. Nie miał pewności, czy zwłoki, które młody mężczyzna pcha na szpitalnym wózku, są ciałem Marty. Mimo to wiedział, że musi działać. Miał świadomość, że jeśli nie uczyni tego, co zamierza, to do końca życia będzie budził się w nocy z upiorną myślą: „A co jeśli...?”

Z kieszeni spodni wydobyl buteleczkę ze święconą wodą. Zamoczył nią obficie prawą dłoń, po czym schował butelkę do kieszeni. Witek przyglądał mu się ze zdumieniem. Łukasz spojrzął na podłogę. Wyłożona była wytartym zielonym linoleum. Pod ścianą stała szczotka i wiadro. Podłoga była mokra. To podsunęło mu pewną myśl. Ruszył biegiem przed siebie. Wykładzina była śliska, najwidoczniej myto ją przed chwilą. Sanitariusz odwrócił głowę i spojrzął na niego ze zdziwieniem. Przebiegając obok wózka, Łukasz zamarkował utratę równowagi. Ponieważ linoleum rzeczywiście było paskudnie śliskie, stracił ją naprawdę. Teraz bezwzględne prawa

fizyki przejęły kontrolę nad sytuacją.

– Hej, co pan robi... – krzyknął zaskoczony i wkurzony pielęgniarz.

Runął na podłogę, starając się, aby umoczona w poświęconej wodzie ręka dotknęła głowy osoby pod prześcieradłem. Wózek przewrócił się z hukiem, a na podłogę upadło bezwładne ciało. To była Marta. Udając, że nie może się pozbierać, złapał ją prawą dłonią za czoło.

– Człowieku! Pijany jesteś? – wrzasnął sanitariusz. – Rozum ci odjęło? Co żeś narobił!

W tym czasie nadbiegł Witek i pomógł Łukaszowi wstać.

– Proszę się nie gniewać, kolega jest w szoku, dowiedział się przed chwilą o śmierci bliskiej osoby... Przepraszamy, już sobie idziemy. – Przyjaciel spojrzał na Łukasza i pokręcił głową.

– Gównu mnie to obchodzi! – darł się pielęgniarz. Był krótko ostrzyżony i wyglądał, jakby większość czasu spędzał na siłowni. Widać było, że sprawa nie rozejdzie się po kościach i skończy się zapewne przyjazdem policji. Mężczyzna zaszedł im drogę, uniemożliwiając wycofanie się. – Co wyście za jedni w ogóle? Co tu rob...

Wtem zarówno Bizon, jak i sanitariusz zamarli. Od strony przewróconego wózka dobiegło szuranie. „Nie umarł, tylko śpi” – przemknęło Łukaszowi przez myśl.

Przez ciało Marty przebiegł potężny dreszcz, zupełnie jakby ktoś poraził ją prądem. Otworzyła oczy, a nawet spróbowała się podnieść. Przypominała osoby, które budzą się z głębokiego, hipnotycznego transu, jaki stosują nieraz lekarze, terapeuci i sztukmistrze.

– Gdzie jestem? – spytała cicho.

Sanitariusz wyglądał jak duch. To, co zobaczył, do głębi nim wstrząsnęło.

Łukasz objął Martę mocno. Nie mógł uwierzyć, że się udało.

– Już wszystko dobrze. Zrobiło ci się słabo, źle się po czułaś, ale już wszystko dobrze – mówił, aby w momencie przebudzenia dodać jej otuchy i nie wywołać szoku.

Potem skinął na Witka, dając do zrozumienia, by pomógł mu prowadzić Martę pod ramiona. On również był oniemiały, ale szybko się otrząsnął, łapiąc dziewczynę delikatnie pod rękę.

Kiedy mijali dyżurkę, agent ochrony zerwał się z miejsca i wbił w nich srogie spojrzenie.

– Przepraszamy pana za zamieszanie – rzucił Łukasz. – Właśnie zmartwychwstała moja dziewczyna i musimy ją stąd zabrać.

Marta uśmiechnęła się blado, biorąc to za żart.

Nieprzejednany ochroniarz pokręcił tylko głową z niesmakiem, oburzony niesubordynacją młodych ludzi i ich dowcipami, które przecież nie przystawały do miejsca tak poważnego jak szpital.

Gdy włączyli się do ruchu, Łukasz zdecydował się opowiedzieć Marcie całą historię. Dochodziła do siebie bardzo szybko i to zdawało się potwierdzać wersję hipnotycznego letargu. Łukasz widział już kiedyś podobne przypadki transu w telewizji, a także słyszał o operacjach bez znieczulenia wykonywanych na pacjentach poddanych sile sugestii. Przypomniała mu się także wzmianka o hipnotycznych eksperymentach, o których wyczytał w notatkach wuja Bolesława. W tym przypadku było to jednak coś więcej. Trans był tak głęboki, że do złudzenia przypominał śmierć. Fakt, że zadziałała woda święcona, zdawał się potwierdzać działanie demonicznych sił.

Marta wysłuchiwała całej historii w całkowitym milczeniu i nie skomentowała jej ani słowem.

Jej umysł potrzebował dłuższego czasu, by przyjąć i oswoić myśl, że miała być niebawem żywcem pogrzebana.

Łukasz schował butelkę z resztą wody święconej do schowka w desce rozdzielczej. Mogła się jeszcze przydać.

ROZDZIAŁ 21

Wiedzieli, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Witek stwierdził nawet, że jest ono „gorzej niż śmiertelne”, mając na uwadze paranormalne, duchowe tło sprawy. Postanowili na razie się nie rozdzielać i wspólnie bronić przed atakami Nowej Synagogi.

Łukasz przedstawił Marcie Witka, a ten powiedział, że żałuje, iż spotykają się w tak paskudnych okolicznościach.

Marta zaproponowała, że mogliby pojechać do mieszkania jej rodziców i tam się ukryć do czasu przygotowania jakiejś strategii działania. Bizon jednak był temu przeciwny. Powołał się przy tym na ostatnią noc, kiedy chata została zaatakowana przez nadprzyrodzoną siłę. Stwierdził, że łatwiej będzie im się tam bronić przed paranormalnym natarciem, zwłaszcza że jedno już przetrwali.

Łukasz wahał się, ale ostatecznie przystał na propozycję Witka i jego opinia przeważała szalę. Chata mogła okazać się pułapką, ale z drugiej strony las zapewniał dużą ilość kryjówek i możliwość ucieczki. Poza tym narażanie dodatkowych osób na niebezpieczeństwo nie było dobrym pomysłem. Owszem, Nowa Synagoga mogła spróbować skrzywdzić również rodziców Marty, a jednak Łukasz liczył, że na razie skupią się na obserwowaniu mieszkania i poszukiwaniu jej samej.

– Zdobyłem fragmenty książki Witwickiego – oznajmił Witek, gdy przejeżdżali przez Kursko. – Udało mi się je skserować.

– Zakazanej książki Witwickiego? – spytał Łukasz. Był zdumiony. – Książki, której nie ma w żadnej bibliotece i nie można jej kupić przez Internet?

– Właśnie tej. Nie miałem zbyt wiele czasu na jej przejrzanie. Na szczęście udało mi się skopiować fragmenty, które wydały mi się na pierwszy rzut oka najciekawsze. Minęło sporo czasu, odkąd miałem ją po raz ostatni w rękach, ale moje podejrzenia z grubsza się potwierdziły.

Zaszeleściły kartki.

– Jest tu sporo informacji o Pieczęciach Salomona. Jest też wzmianka o Nowej Synagodze. Posłuchaj, co pisze o niej Witwicki: „Synagoga Szatana, znana także jako Nowa Synagoga, Bractwo Szkarłatnego Blasku lub po prostu Organizacja, jest to rodzaj sekretnego stowarzyszenia. Celowo używają różnych nazw, by wprowadzić zamęt i zdezorientować badaczy. Nie ma wątpliwości, że istnieją po dziś dzień i mają ogromne wpływy na całym świecie. Działają za pośrednictwem swoich agentów, zwanych też czasem emisariuszami, których zadaniem jest rozwijanie wiedzy paranormalnej, przeprowadzanie eksperymentów i kontrolowanie miejsc, w których przejawia się wzmożona demoniczna aktywność. Nierzadko funkcjonują pod

przykrywką organizacji charytatywnych, co ułatwia im znacznie ukrywanie prawdziwych źródeł dochodów, a także zapewnia pewnego rodzaju nietykalność. Mówi się, że istnienie Organizacji zapoczątkował wielki mag Mojżesz, a niektórzy wprost nazywają go jej Założycielem. To właśnie powołanie do istnienia Nowej Synagogi i paranie się czarną magią sprawiły, że Mojżesz oddalił się od Boga i nie mógł wejść do Ziemi Obiecanej Kanaan. Tajemnicza magia, w której wielką rolę odgrywała umiejętność kontroli demonów oraz przywoływania zmarłych, została jeszcze bardziej rozwinięta przez króla Salomona. Jego największym dziełem i osiągnięciem była Sztuka Goecji, zwana także Małym Kluczem Salomona”.

– Klucze Salomona – odezwała się z tylnego siedzenia Marta. – Słyszałam o nich. To coś w rodzaju magicznych pieczęci. Na studiach mieliśmy ćwiczenia z kulturoznawstwa, prowadzone przez doktora, który o nich wspominał.

– Na to wygląda – potwierdził Witek, przeglądając kartki. – Zapewniają one posiadaczowi pewną ochronę przed demonem, a także umożliwiają kontrolowanie go. Sądzę jednak, że jest to magia bardzo wysokiego rzędu i łatwo nie znajdziemy na jej temat dokładnych wskazówek, nawet u Witwickiego. Sam Mały Klucz Salomona jest książką względnie łatwo dostępną, a jednak pewien jestem, że celowo upublicznia się bezwartościową kopię, pozbawioną najważniejszych wskazówek. To tak, jakby mieć bombę atomową bez detonatora. Sądzę, że same pieczęcie nie wystarczą, ale dużą rolę pełnić mogą również Gesty i Symbole, które składają się na Rytuał, o którym wzmiankował wuj Bolesław... Znalazłem jeszcze inne ciekawe fragmenty. Jednym z nich jest tekst sekretnej inwokacji, umożliwiającej przywołanie demona, a także wzmianki na temat, jak go pokonać.

– Może moglibyśmy tego dokonać? – zapytała Marta.

Łukasz spojrział na dziewczynę i się uśmiechnął. Imponowała mu jej odwaga. Była jeszcze blada, ale sprawiała wrażenie spokojnej i zdeterminowanej. Uważny obserwator mógłby jednak dostrzec, że jest również przestraszona. Poznała moc Nowej Synagogi i zrozumiała, że przed nią nie ucieknie. Nie ujmując nic Marcie, była to odwaga zagonionej w potrzask myszy.

– Obawiam się, że nie będzie to proste – odparł Witek. – Posłuchajcie tego: „Miejsce, gdzie bije serce demona, znajduje się tam, gdzie został on przywołany. To Źródło Mocy. Aby odesłać go do piekła, czyli w inny wymiar rzeczywistości, eksperymentator musi udać się w to miejsce, a następnie stawić czoło demonowi, przyzywając go. Jest to jednak zadanie wielce niebezpieczne. Moc demona w tym miejscu jest wielka i może on całkowicie zniszczyć ciało, umysł i ducha eksperymentatora, skazując go na wieczne potępienie”.

Witek przerzucił jeszcze kilka kartek.

– Wygląda na to, że nie ma więcej informacji na ten temat. Nie wiadomo jak bronić się przed demonem.

– Może wodą święconą? – zaproponowała Marta. – W przypadku mojego snu to podziałało.

Łukasz zrozumiał, że Marta woli myśleć o tym, co jej się przytrafiło jako o „śnie”. W ten sposób starała się zaakceptować dramatyczną przygodę.

– Nie zapominajmy też o kulce – dodał Witek. – Łukasz dostrzegł zmagazynowaną w niej moc, a obydwaj widzieliśmy, jak się rozjarzyła, kiedy siły zła próbowały dostać się do wnętrza chaty. To może być skuteczna broń.

- Co z tego, jeśli nie wiemy, gdzie jest Źródło Mocy Nowej Synagogi! – westchnęła Marta.

ROZDZIAŁ 22

Łukasz zaparkował przed chatą, wysiadł i się rozejrzał. Należało zachować najwyższą czujność. Skoro agenci Nowej Synagogi znaleźli Martę, mogli również i tutaj zastawić swoją pułapkę. Gęsty las stanowił świetną osłonę dla każdego, kto pojawiłby się, by wypruć im wnętrzności, a potem porozwieszać je na drzewach niczym upiorne girlandy. Ułatwiał także ukrycie zwłok, tak by nikt i nigdy ich nie odnalazł, nawet przy intensywnych poszukiwaniach, gdyby oczywiście takie w ogóle nastąpiły. Łukasz jakoś nie mógł sobie wyobrazić wrednego policjanta, który powiedział mu o śmierci księdza Stanisława, jak pilnie przeczesuje wraz z kolegami las w poszukiwaniu zaginionych.

Witek zrozumiał go bez słów, bo podniósł z ziemi solidny kij. Nie była to może jakaś potężna broń, ale lepsze to niż puste ręce.

Marta rozglądała się wokół, zaniepokojona. W lesie panowała nabrzmiała oczekiwaniem cisza. Drzwi chaty były zamknięte. Łukasz otworzył je i wszedł do środka. Sprawdził okna, ale nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek przy nich majstrował. Nie zmieniało to jednak faktu, że musieli przygotować się na ewentualny atak Nowej Synagogi. Łukasz zabrał z kuchni pogrzebacz i umieścił go przy łóżku. Witek zamknął drzwi i okiennice oraz zapalił naftową lampę, mimo że na dworze było całkiem jasno.

- Nie na wiele nam się to zda – powiedział Łukasz – skoro mają na swoich usługach nawet policjanta. Mogą tu przyjechać i powystrzelać nas jak kaczki, wysadzić chatę ładunkiem wybuchowym lub po prostu spalić ją, uwięziwszy nas w środku.

- To niebywale pocieszające, co mówisz – odezwała się Marta, wybierając sobie do obrony kuchenny rondel.

- Nie sądzę – uspokoił ich Bizon. – Napaść z bronią na prywatny domek narobiłaby zbyt dużo hałasu. Nie są jeszcze aż tak zdesperowani. Zainteresowałaby się prasa. Myślę, że będą się starali wyeliminować nas po cichu, a policjanta wykorzystają co najwyżej do zatarcia śladów. Sądzę też, że broni palnej użyją w ostateczności. Żałuję, że nie mam pozwolenia, byłibyśmy teraz trochę bezpieczniejsi.

- A potrafisz w ogóle strzelać? – zainteresował się Łukasz.

- Słabo, ale potrafię. Na obozach przetrwania mieliśmy z instruktorem kilka razy zajęcia na strzelnicy. Powiedzmy, że znam budowę broni i potrafię trafić w wiadro z dwudziestu metrów, jeśli, rzecz jasna, nie jest zbyt małe.

- Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

- Bo nie pytałeś.

Przez chwilę milczeli.

- Jest jeszcze jedna możliwość, której nie wzięliśmy pod uwagę – przerwała ciszę Marta. – Ucieczka lub powiadomienie policji o całej sprawie.

- Moim zdaniem odpada – stwierdził Witek. – Nowa Synagoga wie o nas i wszystko

wskazuje na to, że postanowili nas sprzątnąć. Prędzej czy później dowiedzą się, gdzie jesteśmy, i dobiorą się nam do skóry, kiedy nie będziemy na to przygotowani. Pierwsza zasada krav magi mówi: „Najlepszą obroną jest atak”.

– W dodatku w policji mają swoich ludzi. – Łukasz przeszedł się kilka kroków po izbie. – Nikt nie uwierzy nam w opowieść o demonie i Nowej Synagodze. To raczej my podpadniemy.

– A gdyby przedstawić ich jako zorganizowaną grupę przestępczą? – nie rezygnowała Marta. – Przecież policja musiałaby zainteresować się tą sprawą i jakoś nam pomóc.

– Mamy za mało dowodów. Właściwie wszystko to jedynie nasze domysły i spekulacje – zaprzeczył Łukasz. – Co im pokażemy? Stare notatki wuja Bolesława, który zmarł uważany za obłąkanego? Książkę Witka? Opowiemy o demonach i zmartwychwstaniu Marty? Wezmą nas za wariatów. Powinniśmy raczej zacząć działać.

– Zmartwychwstanie Marty – zastanowił się Bizon. – Kiedy trafiła do szpitala, chyba ktoś musiał stwierdzić zgon?

– A skąd ta pewność? Mam wrażenie, że Synagoga wszystko doskonale zaplanowała.

– Może tak, a może nie. Nie zaplanowali chyba, że Marta przebudzi się z letargu?

– Policja i tak nam nie uwierzy – uciął Łukasz.

– Masz jakiś pomysł? – spytał Witek. – Mój potencjał jakby chwilowo się wyczerpał.

– Zostańcie na straży. Pilnujcie chaty, nie otwierajcie drzwi nikomu. Ja pojedę do sklepu spożywczego.

*

Łukasz wszedł do samochodu i wyjechał na leśną drogę. Po chwili pędził już do Nowego Kurska. Liczył na to, że może w sklepie uda mu się jakąś okrężną drogą wywiedzieć czegoś więcej o okolicy. Sprzedawczyni wspominała przecież o dziwnych, kręcących się tutaj ludziach. Po drodze minęła go czarna furgonetka. Odniosł irracjonalne, lecz silne wrażenie, że emanuje ona dziwną, złowrogą aurą. Zdało mu się, że w jego umysł wślizgnęły się na chwilę ostre szpony. Temperatura spadła, mimo że za oknem samochodu roztaczało się ciepłe lato. W środku dostrzegł siedzących dwóch mężczyzn, ale miał zbyt mało czasu, by dokładnie im się przyjrzeć. Podobny samochód widział w pobliżu „Posesji” zaraz po wypadku z Martą.

Spojrzał w lusterko. Samochód zawracał.

– Cholera – zaklął.

Wcisnął gaz do dechy, kierując się w stronę Nowego Kurska. Jadący za nim samochód również gwałtownie przyspieszył i nie było wątpliwości, że go ściga.

Mimo że Łukasz przekroczył niemal setkę, furgonetka doganiała go. We wstecznym lusterku widział dwie ponure postacie mężczyzn. Ten siedzący obok kierowcy wykonywał w powietrzu jakieś tajemnicze gesty. Łukaszowi włosy zjeżyły się na głowie. Zdał sobie sprawę, że grozi mu koszmar równie wielki jak ten, z którym spotkała się Marta.

Jeszcze większym przerażeniem nappełniła go gwałtowna zmiana pogody. Jechał teraz przez otwartą przestrzeń, a znad horyzontu w szybkim tempie nadpływały ciemne chmury. Pogoda psuła się w nieprawdopodobnym tempie. Na przedniej szybie pojawiły się krople deszczu.

Łukasz uruchomił wycieraczki. Jezdnia w jednej chwili stała się śliska i zdradziecka.

Nagle zdało mu się, że przed sobą dostrzega pulsujący, czerwony blask. Roboty drogowe?, przemknęło mu przez myśl. Odruchowo zmniejszył prędkość. Był między młotem a kowadłem. Dziwna poświata zdawała się rozstępować na boki. Purpurowe światło spływało do przydrożnych rowów. Kopnął pedał hamulca. Czarna furgonetka była już tuż-tuż. Auto Łukasza jakby nie zareagowało na hamulec. Jechało tak samo szybko jak przed chwilą. Spróbował jeszcze raz i kolejny, energicznie wciskając pedał. Zamiast spodziewanego szarpnięcia poczuł, że samochód przyspiesza. Wskazówka prędkościomierza gładko przekroczyła setkę i nieubłaganie pełzła dalej. Ogarnięty paniką złapał za dźwignię ręcznego hamulca. Nie przyniosło to żadnego rezultatu. Nie panował nad pojazdem. Purpurowy blask zdawał się teraz spowijać auto niczym całun lub kokon uwity przez jakiegoś monstrualnego pająka. Wóz zdawał się płynąć w krwawej magmie. Widoczność zmalała niemal do zera, a Łukasz poczuł, że ogarnia go lodowate przerażenie. Gorączkowo zastanawiał się, co robić. To patrzył przed siebie, to znów usiłował dostrzec coś przez boczne okna. Próbował trzymać się szosy i kontrolować ruch samochodu, ale przypominało to bezradne wysiłki niewidomego, chcącego przejść przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Raz czy dwa miał wrażenie, że słyszy gniewne wycie klaksonu i widzi jakieś mijające auta. Zginę, pomyślał, i groza przeorała mu wnętrze. Przez głowę przelatowały mu tysiące myśli. Próbował pocieszyć się, że za moment hamulec zadziała. Nie pojmował tego, co działo się z samochodem, nie rozumiał też, skąd wzięła się purpurowa poświata za oknami. Zdał sobie sprawę, że niepojęta siła chce go zabić. Usłyszał wycie silnika. Samochód jeszcze bardziej przyspieszył. Przypominał teraz pocisk, gnający wprost w otwartą bramę piekła.

*

Wtedy przypomniał sobie o wodzie święconej. Błyskawicznie sięgnął do schowka, odkręcił butelkę, przytrzymując kierownicę kolanami, i spryskał wnętrze samochodu. Wszędzie tam, gdzie spadły krople, rozlegał się syk i woda parowała, zupełnie jakby zamiast niej w butelce był stężony kwas.

Szkarłatny blask nagle znikł. Łukasz w ostatniej chwili spostrzegł, że pędzi wprost pod nadjeżdżający z przeciwnej strony duży ciągnik. Skręcił gwałtownie, w ostatniej chwili odzyskując panowanie nad pojazdem i mijając pewną śmierć zaledwie o centymetry. Zerknął w lusterko. Furgonetka nadal jechała za nim, a mężczyzna na siedzeniu pasażera powoli kreślił w powietrzu jakieś tajemnicze znaki. Przypominał oszalałego dyrygenta, który kieruje orkiestrą wykonującą żalobną mszę.

Wyglądało na to, że Łukasz umknął zagrożeniu, ale prześladowcy nie zamierzali mu odpuścić.

– Mamy go! – wrzasnął triumfalnie Bauer. Był pewien, że ścigają właściwą osobę. Policjant wykonał dokładnie swoje zadanie, zapamiętując numer rejestracyjny samochodu. Mimo to pan Albers cały czas, za pośrednictwem Organizacji, zdobywał nowe informacje. Były wśród nich już dane takie jak na przykład numer legitymacji studenckiej Witka czy PESEL Marty. Wiedzieli już nawet o wizycie Bizona w bibliotece i znali tytuł książki, którą przeglądał.

– Nie możemy go zabić tutaj, na drodze, korzystając z konwencjonalnych metod! – zawołał Wettermann, zmniejszając prędkość. – To może wzbudzić zbyt wiele podejrzeń.

– Jedź! – nakazywał Bauer. – Spróbuj go zepchnąć, upozorujemy wypadek.

Wtedy właśnie spośród pól, na drogę, wprost pod furgonetkę wyskoczyła spłoszona warkotem silników sarna. Chcąc ją wyminąć, Wettermann zjechał nieco zbyt mocno na najeżone ostrymi kamieniami pobocze i na chwilę stracił panowanie nad pojazdem, który zaczął zsuwać się niebezpiecznie kołami z nasypu drogi. Wettermann zdołał wyhamować, ale w tym momencie pod samochodem coś strzeliło.

– Cholera! – wrzasnął Bauer, waląc pięścią w deskę rozdzielczą. – Złapaliśmy gumę!

Łukasz spostrzegł, że prześladowcy zaniechali pościgu. Zapewne nie na długo, pomyślał. Wizyta w sklepie musi poczekać.

Chciał jak najszybciej wrócić do domu okrężną drogą. Po chwili spostrzegł jadącą z naprzeciwka na rowerze kobietę.

– Przepraszam! – zawołał, znacznie zwalniając. Opuścił szybę i zapytał: – Jak dostać się do Kurska, ale jakoś naokoło, żeby nie wracać tą samą trasą?

– To kawałek będzie – odparła kobieta. – Trzeba dojechać do głównej drogi, skręcić w prawo i tak aż do Piesek. Potem z Piesek znowu wrócić do Kurska, to już prosta droga będzie.

– Dziękuję.

– Wygląda pan, jakby jakiegoś potwora zobaczył – usłyszał. – Wszystko z panem w porządku?

Łukasz otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale ostatecznie machnął tylko ręką.

– Jeszcze raz dzięki – rzucił i odjechał.

ROZDZIAŁ 23

Nadal był przerażony, kiedy opowiadał przyjaciołom o tym, co mu się przytrafiło. Towarzystwo Witka i bliskość Marty dodawały mu jednak sporo odwagi. Czuł, że musi wziąć się w garść, by nie zawieść przyjaciela i ochronić dziewczynę, na której z każdym dniem coraz bardziej mu zależało. Bał się, ponieważ coś mówiło mu, że może ją utracić.

Zjedli kolację i ustalili, że w nocy przynajmniej jedno z nich będzie czuwać. By wyznaczyć kolejność wart, użyli starej harcerskiej metody polegającej na losowaniu ułamanych zapalek. Łukaszowi przypadła najkrótsza, co oznaczało, że w udziale trafiła mu się pierwsza warta. Był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Wolał powstrzymać się od spania aż do północy, niż później zrywać się z ciepłego posłania. Druga warta przypadała Bizonowi, a ostatnia, tuż nad ranem, Marcie.

Łukasz zdecydował, że okiennice od okna w pokoju pozostawią otwarte. Miał to być punkt obserwacyjny. Kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, postawił przy oknie krzesło i zasiadł na

swoim posterunku. O ścianę oparł swoją broń – pogrzebacz. Nad lasem unosił się wielki, posrebrzający swoim blaskiem czubki drzew księżyc. Wysokie sosny odcinały się czernią na tle ciemnego nieba. Czas mijał, a wokoło panowała cisza. Łukasz poczuł, że mimo niewygodnej pozycji zaczyna morzyć go sen. Otrząsnął się, ale pomogło to jedynie na chwilę. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

Śniło mu się, że wybrał się na poranny spacer. Była piękna pogoda. Szedł ścieżką w kierunku leśnego cmentarza. Wśród drzew zobaczył wuja Bolesława. Zawołał na niego głośno. Postać nagle znikła. Początkowo miał wrażenie, że wuj droczy się z nim, później jednak pojawił się znowu, w innym miejscu. Kiedy Łukasz wysilił wzrok i przyjrzał się dokładnie jego twarzy, doszedł do wniosku, że wuj jest bardzo zaniepokojony. Dawał mu ręką jakieś znaki. Łukasz miał wrażenie, że próbuje go ostrzec. Obudził się niespokojny.

Usłyszał niepokojąco bliski, cichy odgłos na zewnątrz domu. Ktoś się skradał.

Powoli wstał z krzesła i obudził Witka.

– Wydaje mi się, że ktoś chodzi wokół domu – wyszeptał.

Witek wstał i wymownie położył palec na ustach. Światło księżyca sprawiało, że dość dobrze widzieli siebie nawzajem oraz znajdujące się w pokoju sprzęty. Na migi dał znać Łukaszowi, by nie zapalać lampy. Obudził też Martę, śpiącą na łóżku i trzymającą w dłoni szmacianego wróbla.

Łukasz i Witek byli boso, więc mogli przemieszczać się po domu bez większego hałasu. Raz czy dwa pod ich nogami cicho zaskrzypiała podłoga. Nagle usłyszeli szmer dobiegający z przedsionka. Nie było wątpliwości, ktoś majstrował przy drzwiach wejściowych.

Ktoś nacisnął klamkę. Po chwili drzwi zaskrzypiały. Łukasz z przerażeniem zauważył, że między framugą a drzwiami pojawiło się solidne ostrze noża. Ktokolwiek był po drugiej stronie, próbował podważyć skobel blokujący drzwi lub po prostu badał wytrzymałość zamka. Po chwili ostrze znikło, a kroki się oddaliły.

A potem usłyszeli cichy szcęk dobiegający z kuchni. Nie ulegało wątpliwości, że włamywacz zrezygnował z zamiaru dostania się przez frontowe wejście i zabrał się do forsowania okna w kuchni.

Okiennice stanowiły dobre zabezpieczenie przed trudnymi warunkami atmosferycznymi, lecz sprytny włamywacz nie powinien mieć dużych kłopotów z ich otwarciem. Łukasz był przekonany, że intruz zdoła dostać się do środka. Okna były dość solidne, ale drewniane, starego typu, ze słabymi zapadkami i pojedynczymi szybkami.

Serce waliło mu jak oszalałe i był niemal święcie przekonany, że włamywacz to słyszy. Pomyślał, że niezłym wyjściem byłoby zapalenie lampy i zrobienie porządnego rabanu. Zerknął na kryjącą się w mroku twarz Witka. Ten jednak położył palec na ustach, nakazując zachowanie ciszy. Łukasz zdecydował, że na razie zda się na strategię przyjaciela.

Z kuchni dobiegł przytłumiony hałas. Ktokolwiek to był, działał szybko i sprawnie. Kroki skierowały się w stronę pokoju. Po chwili kuchenne drzwi zaczęły się otwierać. Łukasz i Witek

czekali przyczajeni w ciemności.

Do pokoju wszedł człowiek ubrany w kurtkę moro. Był wysoki i szczupły, a przed sobą trzymał wyciągnięty nóż.

Zanim Łukasz zdążył cokolwiek zrobić, Witek błyskawicznie zaszedł włamywacza od tyłu. Prawą ręką złapał go pod brodę, jednocześnie wbijając mu palce w oczy. Lewą ręką wykręcił mu ramię i napastnik przez chwilę szamotał się gwałtownie.

Łukasz otrząsnął się z zaskoczenia i z całej siły rąbnął go pięścią w żołądek. Całości dopełniła Marta, która wyskoczyła z ciemności niczym strzyga, waląc intruza rondlem w głowę. Nóż wypadł z brzdękiem na ziemię.

– Trzeba go związać! – zawołał Witek, ani na chwilę nie zwalniając chwytu. – Marta, zapal lampę!

Po chwili lampa zapłonęła, a pokój nappełnił się światłem.

Erwin Bauer szarpał się zawzięcie i próbował ugryźć Bizona w rękę. Ten jednak przeniósł prawą rękę niżej, sprawnie zakładając duszący uchwyt.

– Obszukaj go! – polecił Łukaszowi Witek. – Podnieś nóż z podłogi!

Łukasz zrobił to, co nakazał Witek, i szybko przejrzał kieszenie intruza. W prawej znajdował się duży, ciężki przedmiot. Pistolet. Bauer najwyraźniej wolał użyć noża, ale przygotowany był na każdą ewentualność. W kieszeniach agenta Łukasz znalazł jeszcze kilka przedmiotów: przypominający medalion przedmiot, sfatygowaną mapę oraz ulotkę. Położył je na stole.

*

– Świetnie – powiedział Witek. – Może dowiemy się teraz, z kim mamy do czynienia.

– Trzeba wezwać policję! – Marta nadal trzymała w rękach rondel, gotowa do przypuszczenia kolejnego ataku.

– Tylko spróbujcie – zawył nagle Bauer. – Tak, zróbcie to! Już jest po was. Już jesteście martwi.

– Przytulanie się z tym typem to nic przyjemnego. Daj mi jego pistolet – rzucił Bizon.

– Dawać broń! – ryczał agent Nowej Synagogi, jakby sądził, że przyjaciele istotnie oddadzą mu pistolet.

Witek w odpowiedzi zmienił płynnie położenie i przewrócił Bauera na ziemię, przerzucając go przez biodro. Łukasz podał przyjacielowi pistolet.

– Jeśli ruszysz się, będziesz martwy – oznajmił zimnym głosem Bizon. Płynnym ruchem wprowadził do komory na bój i wycelował w agenta.

Mężczyzna toczył wokół nienawistnym spojrzeniem, ale się nie poruszył.

– Coś za jeden? – zapytał go Łukasz. Bauer jednak milczał. Stańczuk postanowił skrepować mu ręce za pomocą paska od spodni, kiedy od strony kuchni rozległ się hałas. Erwin Bauer nie był sam.

– Cofnijcie się! – krzyknął Witek. W drzwiach kuchni pojawił się Piotr Wettermann. W rękę trzymał pistolet.

– Durniu! – zawył Bauer, zrywając się z ziemi. – Zabij ich! Zabij ich!

Wettermann dostrzegł broń w rękach Witka. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Rzuć broń! – nakazał Wettermann. – Nie macie żadnych szans.

– Ty rzuć – odparł Bizon.

Nagle Wettermann jakby zmiękł.

– Zabieramy się – rzucił do Bauera.

– Oszalałeś? – zawył agent. – Zastrzel ich.

– Nie zapominajcie, że ja też mam broń! – fuknął Witek, celując teraz prosto w twarz Bauera.

Łukasz przesunął się kilka kroków w stronę Marty. Była blada jak ściana, ale nadal dzielnie trzymała swoją kuchenną broń. Postanowił, że gdyby zaczęła się strzelanina, rzuci się na dziewczynę, przygniatając ją do ziemi i osłaniając przed kulami. Nie miał pojęcia, na ile zda się ta naprędce obmyślana strategia, ale nie mógł pozwolić, by zginęła.

– Wynosimy się – stanowczo zakomenderował Wettermann, cały czas mierząc w Witka.

Bauer aż dygotał z nienawiści. Wydawało się, że zaraz zaatakuje. W oczach błyszczało mu jakieś dziwne szaleństwo, niczym w ślepiach dzikiego zwierzęcia.

– Dostaniemy was. Lada godzina. Jesteście nikim – groził. – Nie rozumiecie naszej mocy.

– Wiemy o niej więcej, niż sądzicie – odparł Witek. – Dobrze już orientujemy się też, kim jesteście. Gdybyś nie był tak głupi i nie wspomniał o mocy, może nawet sądzilibyśmy, że włamało się do nas dwóch rabusiów, by ukraść nasze plecaki.

Wettermann sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Zabieramy się – powtórzył.

Bauer odwrócił się i zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał. Wybuchnął głośnym, opętańczym śmiechem. Śmiał się przeraźliwie, jakby postradał zmysły. Wettermann osłaniał ich odwrót, celując cały czas w głowę Witka, który również nie opuszczał pistoletu. Wrócili tak, jak przyszli, niczym złośliwe małpy, przez kuchenne okno. W oddali słychać było cichnący chichot Bauera.

– Jesteś większym głupcem, niż sądziłem – wycodził Bauer, kiedy wsiedli do furgonetki.

– Uratowałem nam skórę – odparł Wettermann. – To, co chciałeś zrobić, to nie była dobra robota. To byłaby fuszerka.

Tak brzmiało jego oficjalne uzasadnienie. Jednak pod nim kryło się coś jeszcze, z czym Wettermann nie zdradził się na zewnątrz. Od pewnego czasu bał się coraz bardziej. Koszmarne sny, w których topił się w krwawym, emanującym strasznym blaskiem jeziorze, stawały się coraz bardziej intensywne. Agent coraz częściej zastanawiał się, czy stoi po właściwej stronie. Myślał nad ceną, jaką być może będzie musiał kiedyś zapłacić za udział w piekielnym przymierzu, jakie stało u podstaw potęgi Nowej Synagogi. Nie chciał już zabijać, nie osobiście.

– Nie wolno ci tak do mnie mówić! – wściekł się jeszcze bardziej Bauer.

– To prawda – odrzekł Wettermann. – Zamiast trzech trupów może mielibyśmy pięć. Miała być zbrodnia dokonana przez szaleńca z lasu, a wyszłoby na strzelaninę i mafijne porachunki. Nie możemy narażać Synagogi. Wiesz dobrze, że dyskrecja to jej dewiza. Trzymamy się starych zasad działania, dlatego nie wpadamy jak śliwki w kompot.

– Sram na zasady! – wrzasnął Bauer, niepomny nawet na umieszczoną pod siedzeniem pluskwę. – Już niebawem...

Zamilkł. Musiał pohamować emocje, nie zdradzić się ze swoim planem przed Organizacją.

Łukasz zamknął okno w kuchni. Usterka nie była poważna, hak został po prostu podważony przez wciśnięte ostrze noża, w podobny sposób rozprawiono się z rygłem zamykającym okno. Witek przyglądał się z uwagą znalezionemu przy intruzie medalionowi. Marta oglądała zniszczoną mapę i pomiętą ulotkę. Pistolet, niczym zimny, uspiiony wąż, spoczywał na stole.

– Wygląda jak jedna z Pieczęci Salomona – oznajmił Witek, oglądając okrągły przedmiot nieco większy od zwykłego kapsla. – Mówi o nich Lemegeton, czyli Mniejszy Klucz Salomona. Czytałem tę księgę, przygotowując się do pisania mojej pracy magisterskiej. Legenda mówi, że właśnie za ich pomocą Salomon kontrolował demony. Oczywiście, najprawdopodobniej to nie Salomon był autorem Lemegetonu, lecz część sekretnej wiedzy może pochodzić rzeczywiście z bardzo zamierzchłych czasów. Wszystko wskazuje, że to agent Nowej Synagogi – gdyby oczywiście któreś z was miało jeszcze jakieś wątpliwości.

– Na mapie coś jest wyraźnie zaznaczone – zauważyła Marta. – Duży krąg i strzałka, wyrysowane czarnym flamastrem. Wskazuje na Chycinę. Dziwne, ulotka również dotyczy Chyciny. W sobotę ma odbyć się tam jakiś festyn dla dzieciaków z Poznania. Organizuje go AWF.

– Mówili o tym w radiu – przypomniał sobie Witek. – Wtedy, kiedy znalazłem pluskwę.

– Mogą planować coś złego. Nie sądzę, by chcieli pomóc w organizacji gier i zabaw – domyślił się Łukasz. – Może chcą kogoś wyeliminować.

– Jutro już sobota – zauważyła z przestrawieniem w głosie Marta.

– Trzeba działać. – Łukasz podszedł do walizki, w której spoczywała kulka, i znacząco pokazał ją Bizonowi. – No i dobrze się uzbroić. Nie możemy pozwolić, żeby Nowa Synagoga urządziła masakrę dzieciaków.

ROZDZIAŁ 24

Nie wszystkie dzieci mają możliwość wyjazdu w czasie wakacji z miasta. Przeszkodą najczęściej są pieniądze lub mówiąc dokładniej, ich brak. Akcja poznańskiej AWF została dofinansowana ze środków miasta Poznania, a podstawione autokary zabierały do Chyciny dzieci, które wcześniej zgłosiły swój udział. Oferta skierowana była do uczniów szkół podstawowych.

Pieczę nad nimi sprawować mieli wykładowcy AWF oraz wolontariusze, z których wielu posiadało uprawnienia ratowników wodnych. Wśród kadry pedagogicznej znaleźli się doświadczeni wychowawcy kolonijni, od wielu lat pracujący przy organizowaniu wypoczynku dla dzieci i młodzieży. Do pomocy mógł zgłosić się każdy, niemniej z góry określono, ilu musi być ratowników i opiekunów z uprawnieniami. Z samego rana na parkingu pojawiła się nawet policja, sprawdzając stan techniczny autobusów przed wyjazdem. Okazało się, że są sprawne, a wszyscy kierowcy mają potrzebne uprawnienia oraz odpowiednie doświadczenie.

Jednym z opiekunów był Marcin, nowy narzeczony Moniki. Zgłosił się w charakterze wolontariusza nie z potrzeby serca, ale dlatego, że na podobnych imprezach łatwo było poznać nowe, atrakcyjne dziewczyny. Studentki z AWF były bardzo atrakcyjne i Marcin nie mógł się powstrzymać, by nie zerkać na ich krągłe pośladki uwidaczniające się pod obcisłymi, białymi spodenkami i krótkimi, granatowymi spódniczkami.

Niestety, jego plany pokrzyżowała Monika, która dowiedziawszy się o imprezie, bardzo nalegała, by zabrał ją ze sobą. Nie mając zbyt dużego wyboru, Marcin przystał na jej propozycję, a Monika załapała się na ostatnie wolne miejsce w charakterze dodatkowej opiekunki.

Miejszem zbiórki był parking w pobliżu krytej pływalni, przy ulicy Dolna Wilda. Już od godziny siódmej rano rodzice zaczęli zwozić tam swoje pociechy. Błękitne niebo zapowiadało piękny dzień i udany weekend.

Przed południem wszystkie dziesięć autokarów zajęchało do ośrodka wypoczynkowego w Chycinie. Festyn, połączony z zawodami pływackimi, miał zakończyć się w niedzielę wieczorem. Nocleg zorganizowano w pobliskich domkach letniskowych. Znad jeziora dobiegała już wesola muzyka. Wkrótce cały teren zaroił się od dziesięcio-, jedenasto- i dwunastolatków. Były jednak i młodsze dzieci, przywiezione przez rodziców z okolicznych miejscowości.

Obecne były również policja, pogotowie i straż pożarna. Częściowo po to, by pilnować bezpieczeństwa imprezy, ale również po to, by zapewnić atrakcje. Wśród najmłodszych spore zainteresowanie wzbudzał wielki policyjny wilczur oraz strażacki samochód.

Marcin spacerował razem z Moniką brzegiem jeziora, prężąc mięśnie. W duchu żałował, że tyle zgrabnych studentek i wolontariuszek wymknęło się z jego siatek. Gdyby jego wzrok mógł parzyć, z pewnością większość dziewcząt miałaby już wypalone na pośladkach i piersiach wielkie, dymiące dziury. Raz za razem przylizywał swoje krótkie, czarne włosy i obserwował własne bicepsy, głęboko zmartwiony, że ostatnio nieco zmniejszył się ich obwód.

Łukasz, Witek i Marta postanowili rozdzielić się i wmieszać w tłum, by łatwiej obserwować rozwój wypadków. Cała trójka obficie skropiła się święconą wodą, a Łukasz dodatkowo miał w kieszeni kulkę wuja Bolesława. Bizon dodatkowo zabrał ze sobą pieczęć, którą znaleźli w kieszeni agenta. Chciał nawet wziąć pistolet, ale na szczęście Łukasz wyperswadował mu ten pomysł. Po pierwsze, Bizon nie miał pozwolenia na broń i mógł zostać łatwo aresztowany, co z pewnością byłoby na rękę Synagodze. Po drugie, użycie broni w podobnym miejscu, wypełnionym po brzegi biegającą dzieciarnią, mogło łatwo skończyć się tragedią. Pistolet na wszelki wypadek ukryli głęboko w lesie, w jednej z dziupli, owinąwszy go dobrze folią.

Nie mieli jasnego planu działania, gdyż nie znali planów Nowej Synagogi.

Erwin Bauer zbliżał się do Chyciny. Ubrany był w spodnie i koszulkę moro. Głos, do tej pory cichy, teraz szeptał natarczywie i chichotał. Bauer czuł, że zaraz odniesie wielkie zwycięstwo. Uwolniony i nakarmiony demon nagrodi go sówicie. Wtedy on, zwykły agent Nowej Synagogi, stanie się prawdziwym władcą. Nie będzie już musiał przestrzegać idiotycznych zasad. Festyn w

Chycinie był świetną okazją, by złożyć ofiarę, ponieważ miejsce znajdowało się blisko Źródła Mocy. Nieco niepokoiło go jedynie to, że Wettermann znikł. Rano, gdy się zbudził z krótkiego snu, już go nie było. Bauer miał wrażenie, że Wettermann go zdradził. Trudno, jego strata, pomyślał.

Tego dnia zabrał ze sobą jeszcze potężniejszą pieczęć, Podwójny Pentakl Salomona, udoskonalony przez niejakiego Johna Dee, siedemnastowiecznego okultystę i astrologa. Nie obawiał się o to, co ma uczynić, ponieważ był pewien, że w decydującym momencie powie mu o tym Głos.

Wjeżdżał już na leśną drogę prowadzącą nad brzeg jeziora. Jechał o wiele szybciej, niż było to w tym miejscu dopuszczalne. Z wściekłością zatrąbił na jadących drogą rowerzystów, którzy w popłochu zjechali mu z drogi, a on miał uczucie, jakby właśnie tupnięciem rozgonił stado zagradzających mu drogę karaluchów.

Łukasz nie spodziewał się, że spotka tutaj Monikę z jej nowym facetem. Natknęli się na siebie przypadkiem.

– Ty tutaj? – Dziewczyna nie wydawała się zadowolona ze spotkania. Była ubrana w wyzywającą, amarantową bluzkę i obcisłe szorty. Na twarzy miała olbrzymie okulary przeciwsłoneczne, zakrywające niemal połowę twarzy. Przypominała lalkę Barbie, a jej mimikę oraz ruchy można by określić jako „tandetnie gwiazdorskie”. Zachowywała się tak, jakby grała w jakimś idiotycznym serialu.

Marcin, choć kojarzył Łukasza, nie przywitał się, zmierzył go tylko pogardliwym spojrzeniem, napinając jednocześnie byczy kark. Ostry zapach wody po goleniu zdawał się jeszcze podkreślać jego testosteronową przewagę.

– Tylko się nie utop – rzucił szorstko – bo nie będę cię ratował.

Łukasz nie odpowiedział, dlatego że zauważył właśnie czarną furgonetkę mercedesa. Nie miał wątpliwości że to TA furgonetka, ponieważ znów poczuł potężną, emanującą od niej falę zła.

Chyba nie tylko on miał takie odczucie, ponieważ niektórzy ludzie niespokojnie zaczęli rozglądać się dookoła. Jakiś mały, kilkuletni chłopczyk, z włoskami jasnymi niczym u cherubinka, zatrzymał się jak wryty i wbił wzrok w furgonetkę. Jego twarz zaraz wykrzywiła się w gwałtownym grymasie, a on sam rozplakał się i uciekł pędem do mamy.

Z wozu wyskoczył Bauer. Ręce miał wysoko uniesione. Przypominał obłąkanego pastora z Dzikiego Zachodu, który mógłby zyskać szacunek nawet w starciu z krwiożerczymi Apaczami. W jednej trzymał Pieczęć, a w drugiej Krysztal, z którego emanował dostrzegalny mimo jasnego słońca szkarłatny blask. Wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa, prawdopodobnie formułę Uwolnienia. Następnie z rozmachem cisnął Krysztal do jeziora. Potem wybuchnął niepohamowanym, opętańczym śmiechem.

– Nie! – krzyknął Łukasz.

*

W ogólnym zamieszaniu niewiele osób zwróciło uwagę na furgonetkę i dziwnie zachowującego się Bauera. Jednak to, co stało się za chwilę, przejęło grozą wszystkich. Już po kilku sekundach powierzchnia jeziora przybrała barwę ciemnej krwi. Słońce jakby przygasło, a na horyzoncie pojawiły się czarne chmury.

Bauer śmiał się dziko, w dalszym ciągu trzymając Pieczęć przy swoim sercu.

– Co, do kur... – rzucił Marcin.

– Uciekajcie! – wrzeszczał Łukasz. – Jak najdalej od wody! Wszyscy, uciekać!

Również Witek i Marta dostrzegli Bauera i jego furgonetkę. Zrozumieli niebezpieczeństwo i starali się ostrzec jak najwięcej osób. Nie wiedzieli do końca, co zamierza szaleniec, ale widzieli, jak wrzuca on do wody jakiś przedmiot. Witek pomyślał, że to mógł być granat, ładunek wybuchowy lub jakaś radioaktywna substancja.

– Ratujcie się! – krzyczała Marta, biegnąc wzdłuż plaży.

Ludzie jednak oglądali się na siebie ze zdumieniem, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. Niektórzy sprawiali nawet wrażenie, jakby sądzili, że są to jakieś niebywałe efekty specjalne, wstęp do pokazu działań straży pożarnej, pogotowia i policji.

Witek podbiegł do kilku chłopców, którzy weszli już do wody, a teraz stali zaskoczeni demoniczną metamorfozą jeziora i całej okolicy.

– Uciekajcie! – warknął. – W jeziorze są jadowite ryby!

Chłopcy rzucili się pędem do ucieczki.

W tym momencie w taflę jeziora uderzył potężny podmuch. Czerwona niczym krew woda zagotowała się błyskawicznie. Na powierzchnię wypłynęły setki zdechłych ryb. Powierzchnia wody zdawała się płonąć, bulgotać niczym lawa. Chmury przesłoniły niebo do tego stopnia, że wokoło zrobiło się niemal ciemno. Wtedy nadszedł szkarłatny blask. Demoniczne światło wybuchło jakby ponad powierzchnią wody. Przypominało to czerwony rozbłysk niewielkiego ładunku jądrowego. Pulsująca, apokaliptyczna, potężna kula unosiła się majestatycznie. Miało się wrażenie, że eksplozja sięga aż do stratosfery, i wyżej, niemal w kosmos.

Przerażeni policjanci i strażacy początkowo zastygli w miejscach, zupełnie nie pojmując, co się dzieje. Później zaczęli biegać i usiłowali odciągać od niebezpieczeństwa jak najwięcej osób. Ludzie sami próbowali ratować się bezwładną ucieczką. Zdawało się, że w blasku znajduje się jakaś mroczna postać, która pulsowała i przekształcała się, przybierając coraz to inny kształt.

Wiatr przybierał na sile, szkarłatny blask zbliżał się niczym ogarniający las pożar. Jakaś dziewczynka, sparaliżowana strachem, głośno płakała. Łukasz podbiegł do niej, wymijając przerażonego Marcina, podniósł dziecko, złapał w ramiona i odbiegł z nim kilkanaście metrów od gorejącego jeziora. Miał wrażenie, jakby nagle znalazł się na średniowiecznym obrazie przedstawiającym Sąd Ostateczny.

– Nie ma ucieczki! – wrzeszczał Bauer. Było go słychać nawet pomimo panującego niewyobrażalnego popłochu i hałasu. – Nie ma ratunku! Jedz, jedz, mój panie, i pożywiaj się! Oto przyniosłem ci dary! Nasyć swój głód!

Część ludzi poznikała już w lesie, ale ci, którzy znajdowali się najbliżej jeziora, padali na

ziemię niczym marionetki, którym ktoś nagle poprzecinał wprawiające ich w ruch sznurki. Wyglądało to tak, jakby od strony wody nadciągała jakaś niewidzialna fala elektromagnetyczna. Jeden z policjantów krzychał coś do krótkofalówki, ale działanie wszystkich elektronicznych urządzeń było zakłócone. Straszliwe oddziaływanie, obezwładniające ludzkie umysły, ostrożnie wykorzystywane przez tysiące lat przez Nową Synagogę, wymknęło się całkowicie spod kontroli. Łukasz miał wrażenie, że jest świadkiem Armagedonu. Marcin, który był bliżej jeziora, osunął się na ziemię. Jeszcze sekunda, a ten sam los spotkałby Monikę, gdyby Łukasz nie złapał jej za rękę i nie odciągnął. Po chwili jednak i ona do niego dołączyła.

Ludzie, którzy na chwilę upadli, podnosili się teraz na powrót, a ich twarze były wykrzywione grymasem nienawiści. Matki atakowały swoje własne dzieci, starając się wydrapać im oczy. Opiekunowie starali się zadusić podopiecznych. Nawet dzieci atakowały się nawzajem, sycząc ze straszliwej zajadłości. Łukasz mógł obserwować, jak Marcin łapie Monikę za włosy i uderza ją z całych sił pięścią w twarz.

Tylko Łukasz, Witek i Marta stali pośrodku tego piekła jak trzy niewzruszone słupy. Widać było, że chroni ich moc poświęconej wody.

Bauer zauważył to, i na jego twarzy odmalował się widoczny niepokój. Obawiał się, że trójka przyjaciół może pokrzyżować jego plany.

Wtedy Łukasz, wiedziony jakimś potężnym, wewnętrznym impulsem, wydobyl z kieszeni szklaną kulkę. Rozbłysła setki razy silniej niż wcześniej w chacie. Wszędzie tam, gdzie dotarło jej światło, szkarłatny blask usuwał się, zanikał.

Wszędzie, gdzie dotarło jasne światło, ludzie dochodzili do siebie, otrząsali się jakby z koszmarne snu. Ze zdumieniem przyglądali się własnym pokrzwawionym rękóm i temu, co przed chwilą uczynili. Marcin przestał tłuc Monikę, a ta, zalana krwią, jednym okiem przyglądała się ze zdumieniem Łukaszowi oraz wszystkiemu, co działo się wokoło. Po chwili oboje rzucili się do ucieczki.

– Stójcie! – starał się ich powstrzymać Łukasz. – Przy mnie jesteście bezpieczniejsi.

Oni jednak nie posłuchali. Z chwilą gdy dostali się pod wpływ szkarłatnego blasku, ich ciała momentalnie stanęły w ogniu, jakby były zapalkami lub oblanymi benzyną suchymi snopami siana.

– Nie jesteś w stanie go powstrzymać! – ryknął Bauer.

Rzeczywiście. Choć blask kulki stanowił jakąś zaporę, nie docierał dalej jak na kilkadziesiąt metrów. Mimo to wiele osób zdołało uratować się, korzystając z niezwyklej osłony, jaką zapewniała.

– Musimy uciekać! – zawołał Witek.

Chociaż szkarłatny blask zdawał się nie mieć do nich dostępu, to w powietrzu przelatowały poobrywane wichurą konary drzew. Poza tym Łukasz miał wrażenie, że światło kulki zaczyna słabnąć, jakby przytłaczane przez wszechobecną grozę. Wyglądało na to, że szkarłatny blask nie tylko wznieca w ludziach szaleństwo i wściekłość, ale syci się również i pożywia każdą tragedią. Tam, gdzie matka starała się rozszarpać własne dziecko, blask stawał się tak namacalny i intensywny, że przypominał już nie światło, a raczej stałą, przypominającą unoszącą się w

powietrzu krew.

*

Łukasz zaczął wycofywać się w kierunku drogi i samochodu. Przyjaciele biegli za nim, również starając się wykorzystać ochronną tarczę, jaką roztaczało nad nimi jasne światło. Za sobą zostawiali prawdziwe piekło. Ci, którzy nie zdołali uciec, mordowali się nawzajem, a potem płonęli, krzycząc opętańczo, jakby demoniczna siła nie tylko pragnęła zniszczyć ich umysły, ale w równym stopniu ciała.

– Nie umkniecie daleko! – krzyczał uradowany Bauer. – On jest jak pies gończy, znajdzie was! Naśle na was całą swoją świętą duchów i upiórów! Będziecie błagać o śmierć!

– Nie możemy zrobić już nic więcej! – Pobladły Witek zapalił silnik i przyjaciele zaczęli uciekać samochodem w stronę szosy. Tuż za nimi na leśną drogę spadł ogromny konar.

Bauer nie mógł pozwolić sobie na zbyt długie sycenie oczu przerażającym widowiskiem. Był pewien, że niebawem zostanie szczerze nagrodzony, czuł rozpierającą go moc i potęgę. Przyszło mu do głowy, że jest niczym cesarz, przyglądający się rzezi na arenie. Miał teraz jednak jeszcze inne plany, związane ze Źródłem Mocy, które należało bezwzględnie przejąć. Wtedy stanie się nieosiągalny dla Nowej Synagogi. Będzie chroniła go potężna moc demona. Potem będzie można zaplanować składanie kolejnych ofiar. Z radością i utęsknieniem pomyślał, że już we wrześniu rozpocznie się rok szkolny. Wyobrażał sobie, jak podjeżdża swoją furgonetką pod szkoły, siejąc grozę, śmierć i składając ofiary. W końcu stanie się tak potężny, że zawładnie krajem. Podporządkuje sobie Nową Synagogę i za jej pomocą opanuje cały świat. Pokona raz na zawsze chrześcijaństwo, Watykan legnie u jego stóp, a papież będzie czołgał się, błagając o litość, podobnie jak duchowi przywódcy innych religii. Żadna armia nie będzie w stanie przeciwstawić się demonowi, jeśli tylko stanie się on dostatecznie silny. To on, Bauer, zostanie jego ziemskim namiestnikiem. Głos, który przemawiał w jego głowie, nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Uświadomił sobie, że odczuwa zmęczenie, ale gwałtownie odpędził od siebie tę myśl. Bogowie nie potrzebują snu.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy Bauer uwolnił kontrolowaną do tej pory przez Nową Synagogę moc, cała okolica pogrążyła się w mroku rozświetlanym jedynie przez diaboliczny szkarłatny blask. Niebo nad Międzyrzeczem i okolicami w promieniu dobrych kilkudziesięciu kilometrów zakryły ponure, czarne chmury, z których nieustannie siąpił zimny deszcz. Spomiędzy chmur tu i ówdzie wydobywał się czerwony blask, słychać było również przeraźliwe odgłosy; przeciągłe wycia i zawodzenia. Wielu ludzi ogarnął zabobny lęk. Niektórzy szukali schronienia w kościołach, inni z uwagą śledzili wiadomości telewizyjne, gdzie cały czas pojawiały się nowe doniesienia o mrozących krew w żyłach wydarzeniach, i wypowiadali się kolejni eksperci. Opinie były

sprzeczne, co pogłębiało wrażenie, że nikt nie wie, co się dzieje.

Niezwykła anomalia, jak wynikało ze zdjęć satelitarnych, zdawała się rozszerzać i rosnąć w siłę. Specjaliści komentujący w mediach sytuację przychyłali się do rozmaitych, rozbieżnych wersji. Jedni mówili o ataku terrorystycznym, inni o chemicznym skażeniu, a jeszcze inni forsowali wersję erupcji jakiegoś podziemnego krateru, stawiającej pod znakiem zapytania całą dotychczasową wiedzę geologiczną. Jeden z czołowych konserwatywnych polityków otwarcie zaczął mówić o nadchodzącym końcu świata i globalnej zagładzie. Był zresztą najbliższy prawdy.

To jednak nie mrok, jaki spowił ziemię, był najstraszniejszy. Zło i szaleństwo zdawały się opanowywać umysły, choć następowało to w różnym stopniu i tempie, w zależności od podatności konkretnej osoby. Ludzie walczyli ze sobą na ulicach, okradali sklepy, niszczyli własność dla samej perwersyjnej radości, jaką w tym znajdowali. Nienawiść ogarniała nawet bliskich członków rodziny. Odżyły stare urazy i spory. Małe drobiazgi urastały do rangi potężnych konfliktów, sąsiedzi atakowali siebie za pomocą siekier, widel i drągów. Nawet domowe zwierzęta, do tej pory niezwykle spokojne i przywiązane do właścicieli, teraz stały się agresywne i niebezpieczne. Telewizja donosiła o kilkunastu przypadkach, w których psy, dotąd strzegące rodziny, pozagryzały małe dzieci. Wielu było święcie przekonanych, że widzieli zmarłych, którzy pojawili się w złych zamiarach, siejąc przerażenie i przyczyniając się do śmierci ludzi. Pojawiali się najczęściej zniecka na drogach, powodując kolizje i straszliwe w skutkach wypadki.

Tysiące osób zabarykadowało się we własnych mieszkaniach, przystawiając do drzwi ciężkie meble, a także zabijając okna deskami. Ciotka Janina nie miała siły przesuwac mebli, ale zamknęła drzwi na cztery spusty, drząc na myśl o Łukaszu, który pozostał w starej chacie i leśnych ostępach. Próbowała do niego telefonować, lecz bezskutecznie; znajdował się poza zasięgiem sieci, a wkrótce jej własny telefon odmówił posłuszeństwa.

*

W mieszkaniu, ze względu na panujący za oknami niezwykle mrok, paliło się elektryczne światło. Prąd jednak nagle odłączono. Ciotka Janina podeszła do okna, wyjrzała bardzo ostrożnie i przekonała się, że w domach naprzeciwko również zalega ciemność.

Nagle, w najciemniejszym kącie pokoju rozległ się głośny łomot i rozgniewany syk. Najprawdopodobniej jeden z kotów zerwał się gwałtownie, zrzucając wazonik, który z głuchym odgłosem uderzył w miękki dywan.

– Ci-ci-ci-ci-ci-ci! – zaszepotała zdętwiałymi wargami. Odpowiedziała jej martwa cisza. Pograżony w mroku pokój wydawał się wrogi i nieprzyjazny. W dzieciństwie bała się ciemności. Często budziła się w nocy przestraszona, a otaczający ją zmrok potęgował uczucie strachu. Rodzice nie pozwalali na spanie przy zapalonym świetle. Leżała wtedy nieraz kilka godzin złana potem, obawiając się poruszyć. Wydawało się jej, że jeśli zacznie się głośno wiercić lub oddychać, przyciągnie uwagę zalegających wokół cieni i tajemniczych kształtów. A tych

dostrzegła wówczas mnóstwo. Ubrania położone na krześle zdawały się formować w postać, która spoglądała wprost na nią. Cienie za oknem układały się w sylwetkę starej, zgarbionej czarownicy.

Teraz, rozglądając się z niepokojem po pokoju, w którym mieszkała tyle lat, przypomniała sobie pewne zdarzenie z dzieciństwa. Któregoś ranka przebudziła się, czując wyraźnie, że na jej łóżku ktoś siedzi. W pierwszej chwili pomyślała, że jest to mama. Kiedy jednak otworzyła oczy, poczuła dławiący strach, który sprawił, że jej niewielkie serduszko przypominało malutkiego, przerażonego gołębia trzepoczącego w pułapce. Na skraju łóżka siedziała sąsiadka, pani Czapińska, ubrana cała na czarno. Jej twarz była zupełnie sina, a złote zęby odsłonięte w dziwacznej parodii uśmiechu. Jania wiedziała, że w pojawieniu się kobiety jest coś strasznego, lecz była zbyt mała, by znać przyczynę swojego lęku. Nie rozumiała wówczas, czym jest śmierć, a duch kojarzył jej się z chmurką, jaką zobaczyła w książeczce dla dzieci. Przerażona dziewczynka nakryła się kołdrą. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Czas mijał, a pod kołdrą robiło się bardzo gorąco. Dziewczynka przypomniała sobie słowa mamusi, która tłumaczyła, że duchów nie ma i że to wszystko pochodzi z jej wyobraźni. „Tak samo jak wyobrażamy sobie różne miłe rzeczy – mówiła mamusia – tak samo możemy wyobrażać sobie straszdyła”. Pod kołdrą zrobiło się wręcz nie do wytrzymania. Wtedy przerażająca kobieta uniosła ją, a oczom małej Jany ukazała się upiorna twarz, szczerząca zęby w sztucznym, nienaturalnym uśmiechu.

Jania zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Wrzeszczała tak głośno, że zdarłaby sobie płuca, gdyby jakaś siła nie poderwała ponownie kołdry w górę. Pojawił się dziadek, który złapał ją w ramiona. Wrócili rodzice. Atmosfera w domu w jakiś sposób się zmieniła i zgęstniała. Dorośli o czymś cicho rozmawiali, wreszcie mama wzięła ją za rękę.

– Chodź, pójdziesz pożegnać się z panią Czapińską.

Dziewczynka prawie zapomniała o porannym koszmarze. Dziadek wytłumaczył jej, że był to zły sen. Teraz bawiła się swoją ulubioną lalką, Zuzą. Zuza miała niebawem wyjść za mąż i musiała wyglądać ładnie, tym bardziej że nie miała jeszcze męża. Mąż miał pojawić się za chwilę, w postaci starego uszytego ze szmatek i wypchanego wełną psa, ale Zuza jeszcze o tym nie wiedziała. Dziewczynka podreptała za ciągnącą ją za rękę matką.

Schody były zimne i bardzo wysokie. Dotarły do mieszkania na najwyższym piętrze, gdzie było dużo obcych ludzi, których dziewczynka nie знаła. W powietrzu unosił się ostry zapach kwiatów i perfum. Panowie mieli czarne spodnie, a panie długie, ciemne spódnice. W kącie pokoju stała dziwna konstrukcja. Zanim dziewczynka zorientowała się, co się dzieje, jakaś siła poderwała ją do góry. Ujrzała leżącą w drewnianym pudle panią Czapińską. Wpółotwarte usta odsłaniały złote zęby.

Głośny wrzask Janki przeciął powietrze niczym ostry nóż. Na chwilę zamilkły rozmowy i wszyscy zaczęli rozglądać się zdezorientowani. Mama była wtedy na nią zła i zabrała ją szybko do domu.

– Ci-ci-ci-ci-ci-ci! – wyszeptała staruszka w ciemność. Teraz nie była już małą dziewczynką, ale lęk był tym samym lękiem, który pamiętała z dzieciństwa. Jakie to niesprawiedliwe. Przeżyła tyle lat i znów czuła się tak jak wtedy. Zupełnie jakby czas zatoczył pętlę. W kuchni rozległ się

cichy rumor. Pomyślała o swych kotach. Ale to raczej nie były one.

To wróciła pani Czapińska, przysłała jej do głowy dziwaczna myśl. Tylko że teraz, po tylu latach, będzie samym szkieletem. Wejdzie do pokoju i wlepi we mnie puste oczodoły czaszki. Nie pożegnałyśmy się wtedy... pamiętasz? Ale teraz na pewno dasz mi buzi! – powie.

– Kobieto, opamiętaj się – przywołała się do porządku staruszka.

Starala się dojrzeć przyczynę hałasu, okrążając stół. Każdy ruch sprawiał jej trudności. Pomyśleć, że kiedyś była ładną, młodą dziewczyną, o której względy ubiegali się przystojni chłopcy.

– Tam jest ciasno i nie ma czym oddychać – wyszeptał nagle jakiś głos.

Staruszka zdrętwiała. Poczowała, że serce łomocze jej jak oszalałe. Szept rozległ się niemal przy jej uchu. Sekundy wydawały się długie jak godziny, a wokoło panowała cisza.

– Tam jest ciasno i nie ma czym oddychać – usłyszała znowu.

W pierwszej chwili jej umysł nie mógł zidentyfikować głosu, a mimo to jego barwa wydała się znajoma. Nagle z przerażeniem, które zmieniło wszystkie jej kości w sople lodu, rozpoznała głos. Należał do jej dawno zmarłej matki.

Mamo?, chciała wyszeptać, ale nie udało jej się wydać najłżejszego dźwięku. Poruszyła jedynie ustami.

Niespodziewanie w kącie pokoju rozbłysnął szkarłatny blask. Ujrzała swoją matkę, tak jak zapamiętała ją w dniu pogrzebu, leżącą w trumnie. Ubrana w czerń zjawa wyciągała w kierunku przerażonej staruszki białą dłoń.

– Tam na dole jest ciasno i duszno – zabrzmiał głos. – Chodź do mnie. Chodź do mamy.

Starsza kobieta poczuła przeraźliwy, bolesny ucisk w klatce piersiowej. W chwilę później osunęła się martwa na łóżko. Szkarłatny blask znikł, lecz w wielu okolicznych domach nadal zbierał swoje żniwo. Demon zdawał się odgadywać najgłębsze ludzkie lęki i tworzył wizje doprowadzające do wypadków, obłądów lub śmierci.

ROZDZIAŁ 26

W tym samym czasie Łukasz, Witek i Marta postanowili schronić się w starej chacie. Mimo że było ledwie po południu, las pogrążył się w zimnej szarości i ponurej mgle. Martwego krajobrazu nie naruszały nawet ptaki, które najwyraźniej zaszyły się w swoich kryjówkach. Niebo zasnuwała skorupa czarnych niczym smoła chmur, poprzetykana straszonym, szkarłatnym blaskiem. Radio czasem działało, a czasem dobiegały z niego jedynie nieludzkie wycia i trzaski. Na podstawie strzępów wiadomości można było zorientować się w rozmiarach tragedii. Na Chycinie zginęło kilkanaście osób, w tym dzieci. Sporej grupie udało się uciec, ale przejawiały one „oznaki silnego szoku”. Wielu ludzi uznano za zaginionych.

Przyjaciele zapalili naftową lampę i zasiedli przy stole, gdy Łukasz wyciągnął z kieszeni spodni szklaną kulkę.

– Spójrzcie! – zawołał.

Kulka nieustannie emanowała delikatną poświatą, na przemian rozjarzała się i przygasiała.

Marta również dostrzegła coś niezwykłego.

– Patrzcie na mojego wróbla!

Istotnie, ptaszek również zdawał się emanować delikatnym, fosforyzującym światłem. Nie było ono nawet w połowie tak silne jak jasny blask bijący z kulki, a jednak nie ulegało wątpliwości, że uwalnia jakąś wewnętrzną energię.

– Dzieje się coś niebywałego – stwierdził Bizon. – To, co się stało, w jakiś sposób uwidacznia zmagazynowaną w przedmiotach pozytywną energię. Domyślam się, że ta maskotka wiele dla ciebie znaczy.

– Wspominałam już o tym kiedyś Łukaszowi. Otrzymałam ją od taty. Zawsze bardzo ją lubiłam. Dobrze mi się zasypia, kiedy trzymam ją w ręce.

– Wygląda na to, że ja również nie jestem wyjątkiem – rzekł Bizon. – Spójrzcie na mój nieśmiertelnik. Dostałem go od matki na szesnaste urodziny.

Nieśmiertelnik, zawieszony na srebrnym łańcuszku, również lśnił delikatnie.

– Może to kulka je uaktywnia? – zasugerował Łukasz. – Może to ona ma coś w sobie? A może w ten sposób kulka stara nam się coś „podpowiedzieć”?

– Całkiem możliwe – odparł Bizon. – Kto wie, może wuj Bolesław zdawał sobie sprawę z jej paranormalnych właściwości, a może jedynie je wyczuwał. Tak czy siak, postanowił włożyć ją do walizki. Kto wie, może psychometria jest w pewnym stopniu dziedziczna...

– Obawiam się, że dyskusja na temat psychometru i jej właściwości to teraz nie najlepszy pomysł – uciał Łukasz. – Powinniśmy zastanowić się co dalej.

– Musimy uciekać – oznajmił Witek. – Tak naprawdę nie mamy pojęcia, jak bardzo to coś jest niebezpieczne. Może wysyła rodzaj promieniowania. Już dawno powinniśmy siedzieć w samochodzie i wiać, gdzie pieprz rośnie.

– Słyszeliście, co mówili w radiu – zauważyła Marta. – To się rozszerza. Objęło już swoim zasięgiem Zieloną Górę. Co będzie, jeśli rozprzestrzeni się na cały kraj?

– Pamiętajcie to, co pisał Witwicki? – Witek sięgnął po leżące na stole kartki. – Aby zniszczyć demona, trzeba odnaleźć i zneutralizować Źródło Mocy, czyli miejsce, gdzie został przywołany.

– To musi być gdzieś w okolicy! – gorączkowo zastanawiał się Łukasz. – W zapiskach wuja Bolesława mowa jest o starej cmentarnej kaplicy i zapomnianych grobach.

Marta od pewnego czasu oglądała znalezioną przy agencji ulotkę, a teraz z uwagą analizowała mapę, którą ten miał przy sobie.

– Nie jestem pewna, ale chyba coś mam.

Łukasz i Bizon podeszli bliżej, spoglądając na rozłożoną na stole mapę.

– Tutaj – wskazała palcem Marta – jest przedstawiający Gwiazdę Dawida mały symbol. W legendzie mapy objaśniono, że jest to synagoga.

– I co z tego? – zapytał Łukasz.

– Kłopot w tym, że o żadnej synagodze w tej okolicy nie słyszałam. Poza tym, musiałyby znajdować się w głębi lasu, a na mapie nie zaznaczono żadnej prowadzącej do niej drogi.

– To może być to! – wykrzyknął Bizon. – Agenci mieli specjalne mapy, na których szczególne miejsca oznaczono dla niepoznaki jako synagogi. Oczywiście mogą się mylić, równie dobrze może to być błąd w druku.

– Nie ma czasu do stracenia – zakomenderował Łukasz. – Albo my ich powstrzymamy, albo oni zniszczą nas. Spróbujemy znaleźć to miejsce. Witek przywoła demona za pomocą inkantacji z książki Witwickiego, a potem spróbujemy zniszczyć go za pomocą formuły odesłania

– A jeśli to nie podziała? – spytała Marta. – Nie mówiąc już o tym, że Nowa Synagoga pewnie strzeże tego miejsca.

– Najwyżej będziemy improwizować – odparł Łukasz.

– Mam jeszcze jeden pomysł. Pistolet – podsunął Bizon.

– Chcesz strzelać do demona? – Marta się skrzywiła.

– Tonący brzytwy się chwyta. Poświęcimy pociski, może to zadziała. – Witek odwrócił się i wyszedł z chaty.

Na moment zostali sami. Marta przylgnęła do Łukasza.

– Cokolwiek się stanie, wiedz, że zależy mi na tobie.

Łukasz objął Martę i pocałował ją. W duchu obiecał sobie, że zrobi wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Nagle od strony lasu huknęło. Witek i Marta natychmiast wybiegli z chaty.

Ze względu na snującą się między drzewami mgłą niewiele zobaczyli. Łukasz z przerażeniem zauważył, że z wielu drzew opadły liście, jakby coś wysysało z nich życie.

– Witek! – krzyknęła Marta.

Przez chwilę nie było odzewu, ale zaraz rozległ się odgłos łamanych gałęzi i roztrzączanych krzaków. Z mgły wyłonił się pędzący w kierunku chaty Bizon. Wyglądał, jakby gonił go upiór.

– Szybko, do środka! – zawołał. – Tam w lesie coś jest!

Wpadli do chaty i Witek zaryglował drzwi.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego – wysapał. – Nie wiem, do czego to porównać. Wyglądał jak czarny człowiek.

– Czarny człowiek?

– Nie mam pojęcia, co doprowadziło go do takiego stanu. Może to ten okropny blask sprawił... Wyglądał, jakby jego ciało było zwęglone, poparzone, a jednak on sam żył nadal i atakował wszystko, co stanęło mu na drodze. To kompletne szaleństwo.

– Był... sam?

– Nie wiem. Wyłonił się nagle z mgły i zaatakował mnie. Strzeliłem, ale najwyraźniej niecelnie. Teraz pewnie krąży gdzieś w pobliżu.

– Nie wytrzymam tego! – Marta była bliska załamania.

Wtedy posłyszeli, że w drzwi ktoś drapie. Był to odgłos niejako mechaniczny, bezmyślny. W taki sam sposób drapie kot, gdy próbuje dostać się do uwiecznionej w pułapce myszy.

Bizon przyłożył do ust palec.

Klamka poruszyła się kilka razy. Po drugiej stronie rozległ się jakiś nieartykułowany odgłos, jakby ktoś dawno pozbawiony strun głosowych usiłował coś powiedzieć. Potem drapiący dźwięk przeniósł się w stronę okiennicy i w końcu ucichł.

– Blask – wyszeptał w końcu Bizon – to coś więcej niż widzialna manifestacja obecności demona. To coś jeszcze gorszego. On zmienia w demony również inne istoty. Sprawia, że stają

się złe, mutują, zmieniają się, zupełnie jakby to coś uszkadzało również ich kod genetyczny. Być może ten człowiek przebywał blisko jeziora, kiedy demon został uwolniony.

– Boję się. – Marta była blada jak ściana. – Naprawdę się boję.

– Pamiętajcie – Łukasz starał się dodać przyjaciółom odwagi – że w pewnym stopniu chroni nas energia szklanej kulki wuja Bolesława. Chociaż nie wiem do końca, na ile skutecznie i jak długo to potrwa. Poza tym mamy wodę święconą. Czas przygotować się do ostatecznej rozgrywki.

Chwilę jeszcze nasłuchiwali, czy z zewnątrz nie dobiega jakiś alarmujący odgłos. Panowała jednak cisza. Witek wysypał naboje z magazynka, następnie umoczył czubek każdego z pocisków w poświęconej wodzie. Nad każdym z nich nakreślił również znak krzyża i odmówił krótką modlitwę.

Łukasz schował kulkę do prawej kieszeni, tak by mieć ją w razie czego pod ręką. W lewej umieścił zabraną agentowi Pieczęć. Potem sprawdził latarkę. Działała bez zarzutu. Ponieważ na dworze zrobiło się znacznie chłodniej, Łukasz i Witek włożyli kurtki. Marta narzuciła na siebie bluzę Łukasza. Nie zapomnieli również o wodzie święconej, zamkniętej w trzech małych butelkach po wodzie mineralnej.

– Czas ruszać – oznajmił Łukasz.

Pierwszy wyszedł Witek, trzymając przed sobą pistolet. Nie mogli wykluczyć, że czarny człowiek kryje się gdzieś nieopodal. Prawdopodobnie jednak pognał dalej w głąb lasu szukać łatwiejszych ofiar.

Okolica starej chaty, niegdyś tak piękna, teraz sprawiała wrażenie całkowicie martwej. Wokoło panowała cisza mącona tylko delikatnym odgłosem kapiących z liści kropel wody. Deszcz mżył nieustannie. Wokoło czuć było zapach wilgoci i rozkładu, jaki czasem unosi się znad starych bagien. Wokoło panował mrok, dlatego Łukasz od razu zapalił latarkę.

Trójka przyjaciół udała się do samochodu, brodząc w mokrej trawie. Silnik zaskoczył dopiero po kilku próbach. Prowadził Łukasz, obok niego siedział Bizon, Marta z tyłu.

Jechali leśną, tonącą w białym oparze drogą. Wydawało się, że zdetronizowane niebo zstąpiło na ziemię, zalewając okolice białą kipiela. Łukasz kilka razy miał wrażenie, że dostrzega przemykające wśród drzew ciemne kształty. Wolał jednak nie zastanawiać się nad tym, czym mogą one być. Mieli zamiar udać się do samego jądra ciemności, na miejsce, w którym przed laty wuj Bolesław, demoniczny doktor Langman i piękna Ksenia przywołali mroczną siłę. Łukasz w pewnym sensie miał zamknąć rozdział, w którego otwarciu wziął udział jego własny przodek. Musiał spłacić zaciągnięty przed laty dług, zrobić coś, co w istocie należało wykonać już dawno.

W pewnym momencie rozległ się dźwięk syreny i obok nich przemknął wóz strażacki oraz dwa wojskowe pojazdy. Znikły we mgle równie szybko, jak się pojawiły. Wyglądało na to, że szkarłatny blask nadal siał spustoszenie.

Bizon sięgnął po znaną przy Bauerze mapę i studiował ją uważnie, przyświecając sobie

latarką. Przypominał dowódcę, szykującego się do ostatecznej ofensywy.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że Źródło Mocy jest niedaleko stąd, jeśli oczywiście znajduje się tam, gdzie podejrzewamy. Swoją drogą, mogłoby to tłumaczyć wiele dziwnych zdarzeń, które Łukasz obserwował praktycznie od chwili swojego przyjazdu. Tajemnicze dźwięki, obrazy, ukazywanie się zmarłych, to wszystko można wyjaśnić wzmogoną paranormalną aktywnością tego miejsca. – Przerwał na chwilę i wodził palcem po mapie. – Trzeba przejechać obok drewnianego krzyża i starego pałacu, potem kierować się w stronę Piesek i wypatrywać drogi odbijającej w las po prawej stronie. To, czego szukamy, powinno znajdować się mniej więcej kilometr od szosy, w pobliżu niewielkiego jeziora, którego nazwa nie jest na mapie podana.

– Widziałam mapę i nie zauważyłam tam żadnego dojazdu – powątpiewała Marta.

– Bo nie jest zaznaczony – odparł Bizon – ale zakładam, że musi być w rzeczywistości. Ludzie Nowej Synagogi na pewno pilnują tego miejsca, przyjeżdżają samochodami, a nie wierzę, by pozostawiali je przy drodze, tak by zwracały na siebie uwagę. Z pewnością jest tam jakiś nierzucający się w oczy dojazd, może nawet w pewien sposób zamaskowany.

– Niczego takiego nie dostrzegłem... – pokręcił głową Łukasz. Mgła nieustannie wylewająca się z lasu skutecznie ograniczała widoczność, rozciągając swoje macki po szosie oraz spowijając drzewa w olbrzymie białe kokony. – Nie rozumiem też jednej rzeczy. Teren pewnie ze sto razy przeczesali miejscowi, a pewnie też i turyści. Jak to możliwe, że żaden z nich nie odkrył Źródła Mocy? Nie natknął się na wzmiankowany przez wuja Bolesława cmentarz lub pozostałości po kaplicy, która spłonęła? Jeśli w głębi lasu rzeczywiście znajduje się jakaś tajna baza albo po prostu coś godnego uwagi, takie miejsce z pewnością byłoby szeroko znane, przynajmniej miejscowym.

Na to pytanie nikt nie potrafił udzielić mu jasnej odpowiedzi.

– Może – zaryzykowała Marta – niektórzy zabłądzili w to przeklęte miejsce i więcej nie wrócili.

Witek i Bizon nie skomentowali nawet takiej ewentualności, ponieważ rodziła ona zbyt daleko idące i zbyt niepokojące implikacje.

– Martwi mnie raczej, jak w tej mgle dostrzeżemy drogę do Źródła Mocy – powiedział Witek. – Nie mam też pojęcia, na co się natkniemy.

– A jeśli, co bardzo prawdopodobne, są tam uzbrojeni strażnicy? – mruknął Łukasz.

– Zastosujemy zasadę krav magi. Rozpoznamy zagrożenie, a jeśli będzie zbyt duże, będziemy wiać ile sił w nogach.

– Sporo jest tych zasad krav magi.

– Tę akurat wymyśliłem teraz – przyznał Bizon. – Na potrzeby chwili.

Łukasz spostrzegł w lusterku, że Marta uśmiechnęła się lekko.

Minęli spowity mgłą pałac. Krzyż stojący przy skrzyżowaniu był złamany, ostre drzazgi sterczały niczym palec grożący niebu. Resztki wstążek leżały w błocie, zdeptane, porozjeżdżane i zohydzone. Okolica wyglądała, jakby przeszła przez nią silna wichura, niektóre drzewa były świeżo połamane, a na drodze leżały gałęzie. Wokoło nie było żywego ducha. Mieszkańcy albo pochowali się w swoich domkach, albo... tej drugiej ewentualności Łukasz wołał nawet nie

rozważać. Wyobraźnia jednak zrobiła to za niego, podsuwając mu obrazy sinych, zakrwawionych ludzi, którzy opętani demonicznym światłem wymordowali się nawzajem.

*

Cały czas obserwował las po prawej. Zbliżali się do wiaduktu kolejowego, za którym rozciągały się pola. W pewnym momencie przyhamował.

– Leśna ścieżka – zauważył.

Bizon spojrzał na mapę.

– Jesteśmy mniej więcej na wysokości zaznaczonego miejsca – rzekł. – Chociaż, szczerze mówiąc, spodziewałem się jednak jakiejś drogi.

– Do Źródła Mocy mogą prowadzić jeszcze inne dojścia, być może jest też dojazd, ale z innej strony – dodała Marta.

– Co robimy? – Witek spojrzał pytająco na Łukasza.

– Idziemy. Pójdziemy na przełaj. To nie może być daleko. Wydaje mi się, że wyczuwam bijącą stamtąd aurę.

– Dobrze i to – odparł Bizon. – Postaraj się skorzystać z tego swojego wewnętrznego kompasu. Choć nie ukrywam, że wołałbym GPS w komórce. Zostawisz swój ukochany samochód? – zdobył się na żart, choć nikogo on nie rozbawił.

– Trudno. – Łukasz wysiadł już na zewnątrz, a na jego twarzy malowała się determinacja. – Auto nie zając, nie ucieknie.

– Czy w razie odwrotu – przytomnie zauważyła Marta – będziemy umieli szybko dobiec do samochodu?

– „Odwrot” to dość delikatne słowo – wtrącił Bizon. – W razie czego musimy wiać ile sił w nogach.

– Możemy spróbować wejść w las – powiedział Łukasz. – Albo szukać lepszego dojazdu. Coś mi jednak mówi, że powinniśmy działać jak najszybciej. Poza tym, jeśli zbliżymy się samochodem do Źródła Mocy, agenci Nowej Synagogi mogą nas zauważyć. Wystarczy, że usłyszą warkot silnika lub po prostu będą jechali tam samochodem, a my się na nich natkniemy. Działając z zaskoczenia, zyskamy sporą przewagę.

Ten argument przekonał Martę. Widać było, że Bizon w dalszym ciągu coś intensywnie rozważa, ale na razie nie powiedział nic więcej.

Ruszyli ścieżką gęsiego, z przodu szedł Łukasz, za nim Marta z latarką, a tyły zabezpieczał Bizon.

– Trudno będzie cokolwiek dojrzeć w tej mgle – wyszeptał Marta, choć nie była pewna, dlaczego ściszyła głos. Pomyślała o czarnym człowieku, który zaatakował Witka. Nie można było wykluczyć, że jest ich więcej.

Pod nogami mlaskało błoto i chrupały rozgniatane butami szyszki. Ścieżka była ledwie widoczna i wyglądała na rzadko używaną. Niebawem zupełnie znikła i przedzierali się przez las na przełaj.

Łukasz na chwilę przystanął i zamknął oczy. Po chwili wyczuł ponurą aurę, jaka towarzyszyła pojawieniu się czarnej furgonetki. Zupełnie jakby zimne szpony wślizgiwały się do jego umysłu. Czuł, że to coś wie o jego obecności i, o dziwo, stara się ukryć. Skupił się jeszcze bardziej i powiedział:

– Tam.

Przyjaciele szli teraz obok siebie, przedzierając się przez krzaki, z których opadały kaskady ciężkich kropli wody. Łukasz miał wrażenie, że nagle nastał chłodny listopad. Wtem we mgle rozległ się przeraźliwy kwik i rumor. Jakiś ciemny kształt przemknął, ledwie widoczny we mgle, około dziesięciu metrów od nich. Potem z innej strony pojawił się kolejny, a za nim drugi, trzeci i czwarty.

– Dziki! – Bizon wyszarpnął zza paska broń i wymierzył we mgłę.

Dzik przybyszowi z miasta nie kojarzy się z wielkim zagrożeniem. Jednak Witek na obozie przetrwania poznał człowieka, który nieopatrznie wszedł w drogę losze z małymi. Miał on na nodze głęboką bliznę, biegnącą od kostki aż do kolana. Można było włożyć w nią palec, i niewątpliwie było to dające do myślenia doświadczenie. W tym przypadku wyglądało na to, że dzików jest dużo. Ciemne kształty śmigały w zaroślach. Mogło być ich nawet kilkanaście, a może... więcej. Było to bardzo dziwne, ponieważ dziki rzadko kiedy poruszają się w tak dużych grupach. Jednak widocznie odkąd władze nad okolicą przejął szkarłatny blask, nic nie było już takie samo jak kiedyś.

Bizon wątpił nawet, czy udałoby mu się wygrać walkę z dzikami za pomocą pistoletu. Magazynek glocka, którego dzierżył w dłoni, mieścił aż siedemnaście naboju, z czego jeden został zużyty w starciu z czarnym człowiekiem, ale nie był pewien, czy zdołałby powstrzymać nim watahę, gdyby ta zdecydowała się zaatakować jednocześnie, w tak dużej liczbie.

Marta złapała Łukasza mocno za ramię.

Zwierzęta kwiczały, ryczały i wyły, jakby zaślepione jakimś nieprawdopodobnym szaleństwem. Nie zachowywały się jak zwykle dziki, a wydawane przez nie odgłosy pełne były ludzkiej niemal rozpacz i wściekłości zarazem. Łukasz dostrzegł ich ślepią – lśniły strasznie, dzikim i krwawym blaskiem.

Nagle zaatakowały. We mgle wszystko się zakotłowało, dziki tratowały siebie nawzajem, rozszarpały na strzępy z niebywałą zaciekłością. Było to zupełnie nienaturalne zachowanie. Zwierzęta bardzo rzadko zabijają przedstawicieli tego samego gatunku, a jeśli nawet walczą ze sobą, ma to wysoce zrytualizowany charakter. Przeciwnik może się poddać, aby ocalić życie. Z punktu widzenia ewolucji jest to mechanizm znacznie bardziej korzystny niż bezlitosna eliminacja.

W tym jednak przypadku prawa przyrody zostały pogwałcone. Dzikie walczyły na śmierć, rozrywając się nawzajem na strzępy. Tryskała krew, a w powietrzu latały rozerwane wnętrzności. Marta krzyknęła przestraszona i jeszcze bardziej przyłgnęła do Łukasza starającego się światłem latarki wyłuskać zagrożenie.

Bizon stał na szeroko rozstawionych nogach, poblądły, trzymając broń gotową do strzału. Wtedy z pobliskich krzaków wyskoczył ciemny kształt. Łukasz zobaczył pysk szarżującego dzika.

Witek strzelił, ale chybił. Ponad lasem przetoczył się ogłuszający huk, zwielokrotniony przez echo. Dzik natychmiast znalazł się przy Marcie. Bizon bał się strzelić ponownie, by jej nie zranić.

Wtedy Łukasz wyszarpnął z kieszeni spodni szklaną kulkę, która rozjarzyła się błyskawicznie, i wyciągnął ją w kierunku dzika. Skutek był niemal natychmiastowy. Zwierzę pędziło jeszcze przez moment do przodu, gnane siłą rozpędu, jednak odwróciło łeb, jakby zdezorientowane i zaskoczone. Ostry kiel ominął nogę Marty, delikatnie ją tylko kalecząc.

Dzik, który dostał się pod wpływ jasnego światła, był znowu zwykłym zwierzęciem, które w tej sytuacji wołało raczej uciekać, niż atakować. Inne zwierzęta, które ocalały z rzezi, również się opamiętały. Szalone kwiki nie ustawały, a jednak miało się wrażenie, że nieco cichną i się oddalają.

Witek, zdenerwowany, wystrzelił jeszcze dwa razy w powietrze, chcąc odstraszyć zwierzęta.

– Oszczędzaj naboje! – ostrzegł go Łukasz. Potem schylił się nad nogą Marty. Rana wyglądała na szczęście na powierzchowną. Jednak gdyby nie kulka...

Hałasy się oddalały. Witek postąpił naprzód kilka kroków i ujrzał rozerwane na strzępy ciała zwierząt.

– Mieliśmy kupę szczęścia – powiedział, kręcąc ze zdumieniem głową. – Ocalała nas kulka wuja Bolesława, ale zwierzęta walczyły głównie między sobą.

Łukasz ponownie wyczuł czyjaś mroczną obecność. Chłód i zimne szpony na moment znów wślizgnęły się w jego umysł, a trzymana w rękach kulka rozjarzyła się mocniej, jakby starając się ze wszystkich sił ochronić swojego właściciela. Łukasz miał wrażenie, że demon próbuje go odnaleźć i odgadnąć jego położenie. Zimne palce gmerały w jego myślach, lecz potem wycofały się niechętnie, wyparte przez ciepło bijące z kulki.

– Ruszajmy! – zawołał. – Nie ma czasu.

– Teraz wiedzą, że jesteśmy w pobliżu – powiedziała Marta. – Musieli słyszeć strzały.

Wędrowali dalej. Łukasz nie chował już szklanej kulki, ale trzymał ją cały czas w ręce. Ta świeciła równomiernym, lecz niespokojnym światłem, które zdawało się jednak zmieniać swoją gęstość. Bizon osłaniał ich, trzymając w rękach cały czas gotowego do strzału glocka. Marta oświetlała drogę latarką, którą przejęła od Łukasza. Ten po raz kolejny przekonał się, że szklana kulka jest skuteczną bronią przeciwko złej mocy, ale nie mógł wykluczyć, że gdzieś w pobliżu kryją się również agenci Nowej Synagogi, którzy w każdej chwili mogą zaatakować. Witek nie miał wątpliwości, że są doskonale uzbrojeni, również w broń bardziej konwencjonalną niż magiczne Pieczęcie, Gesty i Słowa.

ROZDZIAŁ 27

Marta poświeciła latarką w gęsty opar mgły i zalegającą wokół, już niemal całkowitą ciemność rozświetlaną jedynie przez tajemniczy blask bijący z kulki. Z bardzo daleka dobiegł do nich dźwięk przypominający wycie syreny alarmowej.

– Płot z tabliczką „teren prywatny” – oznajmiła.

Ogrodzenie było wysokie na mniej więcej dwa metry, a na jego szczycie biegł drut kolczasty. Wykonano je z solidnej, metalowej siatki. Przyjaciele starali się przez pewien czas podążać wzdłuż niego, przedzierając się przez krzaki i odchylając mokre gałęzie. Wyglądało na to, że ogradza spory teren.

– Myślicie, że to może być tutaj? – zapytała Marta.

– Ja raczej nie mam wątpliwości – odparł Łukasz. – Spójrzcie na światło kulki. Wzmaga się. Mam przeczucie, że jesteśmy blisko celu.

Nie chciał mówić dokładnie o zimnych palcach, które teraz zdawały się dotykać jego twarzy, i cichym, lecz wyraźnym szepcie, zbliżającym się z niepokojącą prędkością. Demon wyczuwał go, szepet był zbyt cichy, by rozpoznać słowa, a jednak dawało się wyczuć w nim na przemian groźbę i obietnicę.

*

Bizon zdjął z siebie kurtkę i przerzucił ją przez drut kolczasty.

– Idziemy – zakomenderował.

Łukasz podsadził Martę i ona jako pierwsza przeszła na drugą stronę. Następnie przeszedł Łukasz, a potem Bizon, który podał kurtkę o drut kolczasty.

– Cholera – zaklął, oglądając dziury. – A tak ją lubilem.

– Jeśli przeżyjemy, kupię ci nową – wypalił Łukasz.

Niski budynek, który nagle wyłonił się z mgły, zupełnie nie spełniał ich podświadomych wyobrażeń. Sądziło się, że natkną się na potężny, czarny bunkier z wymalowaną wielką Gwiazdą Dawida lub na smętne cmentarzysko i górującą ponad nim złowieszczą, gotycką kaplicę. Spodziewali się czegoś pokroju grobowca Drakuli, strzeżonego przez hordy wygłodniałych wampirów.

Tymczasem przed nimi znajdował się nowoczesny, spory parterowy budynek z plastikowymi oknami, częściowo zasłoniętymi roletami antywłamaniowymi. Kojarzył się z przychodnią lub niewielkim urzędem. Ktoś, kto znalazłby się tu przypadkiem, nigdy nie pomyślałby, że w pewnym sensie to wrota do samego Piekła. Teren wokoło budynku był wyłożony kostką brukową tworzącą miły dla oka geometryczny wzór.

Bizon położył palec na ustach, nakazując nie tylko ciszę, ale i najwyższą ostrożność. Wokoło nie było widać żadnego zagrożenia. Agenci, nawet jeśli strzeżli tego miejsca, pozostawali w ukryciu.

Przyjaciele zbliżyli się do budynku.

– Zostańcie – wyszeptał Bizon. – Idę na zwiad.

– Na jaki zwiad? – wyrwało się Marcie. – Trzymajmy się lepiej razem, dobra?

– Dajcie mi dwie minuty, zobaczę, co tu się dzieje.

– Uważaj na siebie – dorzucił Łukasz.

– Jasne, zostań z Martą. Czekać.

Nie było go dosłownie dwie minuty, a kiedy wrócił, twarz miał bladą jak ściana.

- Strażnicy nie żyją – wybełkotał. – Albo ktoś tu był przed nami, albo sami się powybijali.
- Powybijali? – Marta głośno przełknęła ślinę.
- Tak jak dziki... – szepnął Łukasz. – Może byli tylko zwykłymi strażnikami. Może nie potrafili ochronić się przed demonem za pomocą Pieczęci... a może jego moc była w tym miejscu aż tak silna, że nawet to nie pomogło.
- Chodźcie – ponaglił ich Witek. – Jeśli mamy tam wejść, musimy zrobić to szybko. Nie wiemy, czy strażnicy nie wezwali pomocy, zanim oddali się wiecznej ciemności.

Kiedy Łukasz, Witek i Marta znaleźli się przed frontowymi drzwiami, dostrzegli w pewnym oddaleniu coś, co wyglądało na pozostałości starego cmentarza. Było to zaledwie kilka zmurszałych nagrobków, niemal całkowicie porośniętych mchem i rozłożystymi paprociami. Łukasz podejrzewał, że mogą to być pozostałości po starym cmentarzu, o którym wspominał wuj Bolesław. Nigdzie nie zauważył nawet śladu po kaplicy, która niegdyś była świadkiem przywołania demona, przyszło mu jednak na myśl, że może budynek postawiono właśnie na jej miejscu.

Kiedy znaleźli się przed frontową ścianą, zauważyli w oddali szeroką bramę prowadzącą na posesję. Wyglądało na to, że istotnie dało się tu dojechać samochodem, a oni dostali się na ogrodzony teren niejako od zaplecza. Mogło to zapewnić im przewagę wynikającą z zaskoczenia, o ile, rzecz jasna, nie byli już od dawna obserwowani.

Obok wejścia na ścianie budynku znajdował się niewielki panel z ponumerowanymi przyciskami. Łukasz domyślił się, że jest to zamek szyfrowy. Drzwi były jednak uchylone, a na futrynie widniał krwawy ślad.

Tuż za drzwiami znajdowało się ciało pierwszego strażnika. Leżał twarzą do ziemi i był ubrany w zielony mundur. Łukasz nigdy wcześniej nie widział ciała zabitego człowieka i ten obraz wywołał w nim głębokie przygnębienie. Nie trzeba było być patologiem, by orzec, że zginął na skutek licznych ran postrzałowych. Ciemniejące już plamy krwi rozkwitały na mundurze w wielu miejscach. Obok leżał automatyczny karabin.

- Kałasznikow – rozpoznał broń Witek.

Łukasz podszedł do strażnika i zabrał mu karabin. Nie potrafił strzelać, a jednak miał wrażenie, że z czegoś podobnego stosunkowo łatwo trafić. Zwłaszcza z niewielkiej odległości. Kulkę wuja Bolesława schował do kieszeni spodni.

Znajdowali się w pomalowanym na biało pomieszczeniu, przypominającym zwykłą poczekalnię. Ściany były podziurawione kulami. Po lewej stronie znajdowała się dyżurka z okienkiem, w którym szyba została wybita. Prowadzące do niej drzwi były otwarte i dało się dostrzec ciało drugiego strażnika. Wciąż trzymał kurczowo broń w ręce. Przed nimi ciągnął się długi na kilkanaście metrów korytarz, w którym znajdowały się wejścia do kolejnych pomieszczeń. Na jego końcu widać było metalowe drzwi do windy.

- Witek, ściskając oburącz pistolet, dał głową znak przyjaciółom, by podążali za nim.

Po wciśnięciu przycisku drzwi windy otworzyły się płynnie z głośnym „dzyń”. Właśnie w tym momencie z jednego z pomieszczeń wyskoczył potężnie zbudowany mężczyzna w zielonym mundurze. Pchnął Witka na ścianę, a ten zaskoczony uderzył w nią głową i wypuścił pistolet z rąk. Marta krzyknęła, Łukasz odskoczył nieco w tył, starając się osłonić dziewczynę. Napastnik

wyszarpnął z pochwy długi, wojskowy nóż o ząbkowanym ostrzu i zamachnął się, żeby ugodzić Witka. W oczach płonęło mu szaleństwo tak wielkie, jakby dawno pożegnał się z rozumem. Bizon jednak zręcznie uniknął ciosu, a nóż z brzdękiem uderzył w ścianę, odłupując z niej fragment tynku. Strażnik cofnął się, odzyskując równowagę i przygotowując do kolejnego ataku.

Łukasz zastanawiał się, czy nie spróbować strzelić, ale w tych okolicznościach mógł łatwo zranić lub nawet zabić Bizona. Podejrzał, że kałasznikow ma silny odrzut i nie jest łatwo nad tą bronią zapanować komuś, kto nigdy z niej nie strzelał. Zamiast tego złapał karabin za lufę i kolbą spróbował uderzyć napastnika w bark. Wyszkolony strażnik zdołał się jednak uchylić przed ciosem. W tym momencie Witek, nie zastanawiając się wiele, kopnął zamasyście napastnika w krocze i zaraz potem w kolano. Lewym ramieniem zablokował trzymającą nóż rękę, przyskoczył bliżej i uderzył napastnika łokciem w krtań, a potem szybkim uderzeniem pięści złamał mu nos.

Nóż wypadł na ziemię, a strażnik runął na kolana, zalewając się krwią. Witek okrążył go, stanął za nim i nałożył duszącą dźwignię.

– Szybko! – zawołał. – Znajdźcie coś, żeby go związać!

Marta wpadła do jednego z pomieszczeń i po chwili wróciła, niosąc długi przedłużacz. Łukasz szybko, lecz dokładnie skrepował strażnika. Na szczęście kabel był na tyle długi, że udało mu się również związać jego nogi. Unieszkodliwiony napastnik toczył wokoło wściekłym wzrokiem i szarpnął się, lecz wskórał jedynie tyle, że kabel mocniej zacisnął się na jego ramionach.

Witek puścił go i podniósł z podłogi glocka. W oczach strażnika pojawił się strach, lecz było w nich również widać zwierzęce lśnienie stawiające pod znakiem zapytania odpowiedzialność za wszystkie czyny, jakich mógłby się dopuścić. Z kącika ust spływała mu strużka piany przywodząca na myśl wściekłego psa.

– Nie bój się – oznajmił Bizon. – My nie zabijamy. No chyba, że nie będziemy mieli wyboru. Całe szczęście – dodał, zwracając się do Łukasza i Marty – że nie miał przy sobie karabinu, kiedy zorientował się, że jesteście w środku.

Pomieszczenie sąsiadujące z korytarzem sprawiało wrażenie niewielkiego zaplecza technicznego. Witek szybko przetrząsnął kartony oraz półki i wreszcie znalazł to, czego szukał – duży zwój taśmy klejącej. Zakleił strażnikowi usta, a resztą taśmy skrepował mu mocniej nogi. Potem wciągnęli go do pomieszczenia. Witek przeszukując półki, znalazł również kilka latarek. Działały bez zarzutu. Zabrał ze sobą dwie, przeczuwając, że mogą się przydać. Nie sądził, że Źródło Mocy będzie znajdowało się na widoku, raczej nastawiał się na jego poszukiwania w mrocznych piwnicach, których istnienia się domyślał.

– Spokojnie – Bizon pocieszył strażnika, zamykając drzwi. – Obawiam się, że ktoś niebawem cię znajdzie i uwolni. Poza tym kawał chłopa z ciebie, dasz sobie radę.

Strażnik w odpowiedzi szarpnął się tylko gwałtownie i zawarczał niczym pies. Witek był pewien, że gdyby krępujący go kabel nie był tak mocny, wartownik rzuciłby się na niego i wydłubałby mu oczy.

Potem cała trójka wsiadła do windy.

Jechali dobrych kilkadziesiąt sekund i jasne było, że znajdują się dość głęboko pod ziemią. Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzeli długi tunel, szeroki na jakieś sześć i wysoki na dziesięć metrów. Na łukowatym sklepieniu w sporych odstępach paliły się elektryczne lampy,

zabezpieczone metalowymi kratkami, lecz nawet one nie były w stanie poradzić sobie z zalegającymi tu i ówdzie wielkimi plamami cienia.

Było raczej chłodno, lecz nie zimno. Temperatura w bunkrach zwykle utrzymywała się na stałym poziomie. Czuć było zapach surowego betonu i wilgoci kojarzący się z zapomnianymi katakumbami lub deszczowym kanałem odprowadzającym wodę z miasta, którym spływają cementarne kwiaty.

– Wszystko wskazuje na to, że znajdujemy się w jakimś zapomnianym fragmencie poniemieckich bunkrów – stwierdziła ze zdziwieniem Marta. – Rzecz niemal nieprawdopodobna. Przez dziesięciolecia bunkry były badane przez wojsko i zwykłych poszukiwaczy.

Ruszyli przed siebie. Ich kroki rozlegały się w tunelu głuchym echem. To echo mogło ich zdradzić, dlatego starali się iść jak najciszej. Po betonowej podłodze biegły szyny. Łukasz pomyślał, że kiedyś przewożono tędy broń i amunicję. Przeszli jakieś dwieście metrów, gdy natknęli się na boczne, zabezpieczone kratą wejście. Prowadziło ono do sporego pomieszczenia, które zastawione było drewnianymi skrzyniami. Trudno było zgadnąć, co zawierają.

Od głównego korytarza biegło odgałęzienie, skręcały również tory. Tunel ginął w mroku, lecz dało się dostrzec kilka kolejnych odnóg. Znajdowali się przed trudnym wyborem.

– Ciii. – Łukasz podniósł dłoń. – Słyszycie?

Gdzieś głęboko, jakby pod ziemią, narastał głuchy, basowy dźwięk przywodzący na myśl działanie wielkiej pompy lub bicie olbrzymiego serca należącego do jakiejś prehistorycznej istoty. Odgłos wprawiał w wibracje betonowe ściany i sklepienie. Nie był głośny, a jednak przejawiał się na specyficznej częstotliwości, zdającej się wprawiać w drganie nawet komórki ciała. Witkowi przyszedł na myśl rezonans magnetyczny lub potężny, ukryty pod ziemią głośnik wielkości bloku mieszkalnego.

– Może to rodzaj promieniowania – wyszeptał. – Może to dlatego w okolicy nie chcą działać komórki.

– W którą stronę idziemy?

Pytanie, które zadała Marta, było całkiem zasadne. Wysoki i szeroki tunel rozgałęział się, biegły od niego kolejne dwie odnogi, również wysokie, lecz węższe, o szerokości może trzech metrów, pozbawione elektrycznego światła. Łukasz próbował nasłuchiwać pulsującego dźwięku, lecz nie potrafił na jego podstawie określić właściwego kierunku marszu.

– Musimy się rozdzielić – zdecydował. Jego głos brzmiał głucho, odbijając się od betonowych ścian i sklepienia. – Tylko w ten sposób szybko znajdziemy Źródło Mocy. Ja pójdę prosto, Marta sprawdzi prawą odnogę, a ty Witek lewą.

Bizon zasalutował na znak, że rozumie. Marta również nie okazywała strachu.

– Gdyby cokolwiek się stało, po prostu krzyczcie. Nie oddalajmy się zbyt daleko od siebie, co najwyżej sto, dwieście kroków. Jeśli pojawią się kolejne rozgałęzienia, nie idźcie już zbyt daleko, bo możemy się nie odnaleźć – dodał Łukasz. – Wtedy wracajcie.

Zastanawiał się, czy nie zatrzymać Marty przy sobie. Wyczuwał jednak, że w ten sposób upokorzyłby dziewczynę, jakby jednym ruchem przekreślając niezwykłą odwagę i determinację, jaką okazywała do tej pory.

Zapalili zabrane strażnikom latarki. Świeciły jasno, ale w starciu z panującym w bocznych korytarzach mrokiem nie miały szans.

Łukasz ruszył przed siebie, z niepokojem słysząc, jak kroki przyjaciół się oddalają, a potem cichną. Szedł powoli, świecąc latarką po ścianach i pod nogi. Poczuł, jak gwałtownie spada temperatura. Kark i plecy pokryła mu gęsia skórka, a w świetle latarki dostrzegł parę własnego oddechu. Znowu pojawiło się wrażenie otaczającej go, nieposkromionej wrogości i złośliwości. Zdało mu się, że ściany tunelu mogą lada chwila zawalić się i zmiażdżyć go. Wydobył szklaną kulkę, a ta szybko rozświetliła ściany tunelu jasnym blaskiem, odganiając cienie, które niechętnie odpęzwały na boki.

Wtedy ujrzał, że w korytarzu coś się porusza. W ciemności trudno było dostrzec kształty tego czegoś, co najwyraźniej chodziło po ścianach i sklepieniu. Skierował światło latarki i w następnej sekundzie natychmiast pożałował, że to uczynił. Był to ów szkaradny, mrozący krew w żyłach pająk z głową dziecka, którego wcześniej widział jedynie przez chwilę. Przebierał odnóżami jakby szykując się do ataku. Był ogromny, mógł mieć około metra średnicy. Twarz dziecka śliniła się i wykrzywiała, a jednak pająk nie wydawał żadnego dźwięku.

W końcu do Łukasza dobiegło przerażające kwilenie, noworodek przebudził się gwałtownie. Pająk otworzył paszczę, w której wyraźnie było widać język i ostre zęby.

Łukasz zadrżał, cofnął się o kilka kroków, czując, że plecy oblewa mu pot. Stwór błyskawicznie wykorzystał chwilę jego słabości, podbiegając szybko bliżej. Był już zaledwie kilka metrów od Łukasza, a ten czuł bijący od niego ohydny, zwierzęcy zapach.

Zorientował się jednak, że pająka coś powstrzymuje. Było to światło kulki, przed którym stworzenie mrużyło każde ze swoich czterech oczu, w których czaiła się ludzka niemal przebiegłość.

– Nie masz nade mną władzy! – zawołał Łukasz, unosząc w górę kulkę, której światło rozbłysło teraz gwałtownie. – Nie masz nade mną żadnej władzy!

Potem błyskawicznie schował ją do kieszeni, złapał za karabin i nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk, a kałasznikow szarpał się w jego rękach, jakby był rozwścieczonym, drapieżnym zwierzęciem. Mimo to Łukasz nie przestawał strzelać, usiłując trafić w pająka. Równie dobrze mógłby starać się przestrzelić rzuconą w powietrze złotówkę, jadąc jednocześnie na karuzeli. Pająk przemieszczał się błyskawicznie po korytarzu, a rykoszetujące ze świstem pociski nie wyrządzały mu najmniejszej szkody. W pewnym momencie zamiast wystrzału rozległ się metaliczny trzask. Magazynek był pusty.

Jednak coś, jakby niewidzialna siła, odpychała pajęczaka, który w tym momencie przemówił ludzkim głosem. Dźwięk brzmiał tak, jakby ktoś siłą zmuszał struny człowieka do wysiłku, i dobiegał z ust noworodka.

– Ratuj się, póki możesz! – groził. – Będziesz żałował, że się narodziłeś.

Łukasz czuł, że całkowicie opuszcza go odwaga i zaraz rzucił się do szaleńczej ucieczki. Tak naprawdę w miejscu trzymał go jedynie strach i przecucie, że jeśli straci wiarę i odwróci się, pająk zaatakuje.

– Nie lękam się ciebie! – zawołał, zdobywając się na desperacką odwagę, i postąpił naprzód.

Z kieszeni wydobyl butelkę z wodą święconą, odkręcił ją i chlusnął w kierunku stwora. Efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Humanoidalny pajak błyskawicznie zajął się ogniem i wrzasnął głosem, od którego mogłaby popękać cała zastawa stołowa.

Znikł nagle, jakby zassany przez ciemność, okazując się tym, czym był w istocie – wizją, materialną manifestacją niewidzialnego zła.

W tym samym czasie Marta posuwała się ostrożnie opadającym łagodnie w dół korytarzem. Walka z demonem była dla niej osobistym wyzwaniem. Nie mogła zapomnieć strasznej rzezi w Chycinie. Obrazy płonących niczym pochodnie ludzi i matek rozrywających własne dzieci nie były czymś, co łatwo znika z pamięci. Narastała w niej nienawiść do odrażającej siły, która do tego doprowadziła. Bała się, ale była pewna, że podoła zadaniu. Było za późno na wycofanie się.

Usłyszała wołanie, wytłumione przez betonowe ściany.

– Witek? Łukasz? – wydusiła, ale jedynym odzewem było powracające echo. Trudno było oszacować długość korytarza. Światło latarki nie odnajdywało jego końca. Nagle spostrzegła, że nogi w kostkach spowija jej mlecznobiały opar mgły. Była tak gęsta, że Marta nie widziała podłogi. Poruszała się krok za krokiem, świadoma, że może natrafić na głęboką rozpadlinę lub zdradziecki, niezabezpieczony szyb sięgający niższego poziomu. Kiedy tak brodziła w kotłującej się u jej stóp mgłę, postyszała ciche, lecz narastające popiskiwanie. Zbliżały się szczury. Sądząc po odgłosach musiały ich być dziesiątki. Wyobraziła sobie ich wijące się, łyse różowe ogony i ostre jak żyłki zęby.

To sprawdzian mojej odwagi, uświadomiła sobie. Szczury nie mogą przecież wyczuć mego strachu.

Złapała w dłoń swoją przynoszącą szczęście starą maskotkę i z miejsca poczuła bijącą z niej falę energii. Nie miała takich zdolności jak Łukasz, a jednak już samo wspomnienie ojca dodawało jej otuchy. Nagle szczury przestały wydawać się jej aż tak bardzo straszne. Ruszyła przed siebie, nie bacząc nawet na to, że mogłaby któregoś rozdeptać. W tym momencie popiskiwanie ucichły, a mgła znikła jakby wessana, odsłaniając betonową podłogę, na której nie było ani jednego gryzonia.

Witek posuwał się tymczasem korytarzem, trzymając broń gotową do strzału. Tunel zakręcał, a przed nim znajdowała się betonowa ściana. Nagle zauważył, że zaczyna dziać się z nią coś dziwnego. Skierował w tamtą stronę snop światła i zaklął cicho. Ściana zaczęła się wybrzuszać, przeradzać w żywą tkanę. Początkowo sądził, że ulega jakiemuś niebywałemu złudzeniu lub że światło latarki wywołuje dziwną grę cieni. Jednak nie, coraz bardziej widać było, że ze ściany wyłania się jakaś postać. Była to kobieta, której ciało zdawało się uformowane w całości z betonu. Witek nie miał już teraz wątpliwości, że jest to rodzaj złośliwego poltergeista, pobierającego materię z otoczenia w celu przybrania widzialnej postaci. Był to niezwykle niebezpieczny, złośliwy duch. Czytał o takich przypadkach, zbierając materiały do swojej pracy magisterskiej. Jakby na potwierdzenie tych domysłów wokoło zrobiło się zimno, zjawia czerpała energię z otoczenia. Bizon przypomniał sobie, że podczas spotkania z podobnym widmem nie

wolno okazać strachu, ponieważ dostarcza on zjawie dodatkowej energii.

– Nie boję się ciebie! – zawołał.

Zjawa wyciągnęła swoje szare ręce w kierunku Witka. Miała długie, częściowo zatopione w ścianie włosy, ale już prawie oddzieliła się od materialnego ośrodka, z którego zaczerpnęła swój budulec. Lada chwila mogła zaatakować.

– Zostań ze mną – zaszeptala uwodzicielskim szeptem. – Chodź ze mną.

– Możesz mi skoczyć! – warknął Witek, wymierzył i pociągnął za spust pistoletu. Poświęcone pociski uderzyły w betonową ścianę, przenikając przez poltergeista, jakby ten nigdy nie istniał. Pozostał tylko przenikliwy chłód.

Witek wiedział, że duch czai się w pobliżu. Kątem oka dostrzegł jakiś kształt. Kobieta.

W pierwszej sekundzie chciał strzelić, ale zorientował się, że to Marta. Trzymała w ręce latarkę i wyglądała, jakby przed chwilą zmierzyła się z legionami samego Lucyfera.

– Kurczę, omal cię nie zastrzeliłem – wymamrotał.

Dziewczyna dyszała jak parowóz.

– Szczury... – wykrztusiła.

– Co?

– Zaatakowały mnie szczury. Mnóstwo szczurów. Ale kiedy pokazałam, że się ich nie boję, wszystkie znikły. Rozpłynęły się, jakby ich nie było.

– Ja miałem betonową zjawę, jakkolwiek dziwnie by to nie zabrzmiało. – Witek nadal trzymał się daleko od ścian. – Strzeliłem do niej i chyba unieszkodliwiłem. To miejsce... To miejsce jest pełne duchów.

– Martwię się o Łukasza – zaniepokoiła się Marta. – Musimy go szybko odnaleźć.

Postanowili wrócić korytarzem, którym przyszedł Witek. Szedł on ostrożnie, świadom, że ze ściany lada chwila mogą na powrót wyłonić się betonowe kobiece dłonie i pochwycić go w zimny, śmiertelny uścisk. Nie miał pewności, czy taki duch mógłby go zamordować, ale wolałby tego nie sprawdzać.

Marta nasłuchiwała, czy nie pojawiają się znowu szczury. Po wygranym starciu nabrała pewności siebie, a jednak obraz falującej rzeszy gryzoni nie opuszczał jej wyobraźni. Bała się, że tworząc taką wizję w swoim umyśle, może przyciągnąć realny odpowiednik w rzeczywistym świecie.

Dotarli do miejsca, w którym się rozdzielili. Spoglądali teraz w stronę głównego tunelu, gdzie zniknął Łukasz. Oświetlało go elektryczne światło lamp, zabarwiając krwawo ściany. Witek zastanawiał się, co takiego robili tu agenci Nowej Synagogi i jakie eksperymenty przeprowadzali. Być może stan, w jakim znajdowały się podziemia, ich niebywała, paranormalna aktywność wynikały z całych dziesięcioleci świadomie naruszanej równowagi między tym a tamtym, nadprzyrodzonym światem. Odnosił wrażenie, że znalazł się w czymś na kształt podziemnej elektrowni jądrowej, gdzie ludziom bez ochronnych skafandrów grozi niebezpieczeństwo. Domyślił się, że w przypadku agentów taką rolę mogły spełniać magiczne symbole oraz Pieczęcie, a ich chronią poświęcona woda, a także broń załadowana zanurzonymi w niej pociskami.

Na końcu korytarza rozległo się ciche szuranie. Ujrzeni zbliżającą się do nich postać z latarką.

- Chyba Łukasz – stwierdziła Marta. – Tunele łączą się ze sobą i chodzimy wkoło.
- Łukasz? – Witek przyglądał się nadchodzącej postaci z niepokojem. Wyglądała jak Łukasz, a jednak w jej ruchach było coś złowieszczonego.
- Stój! – zawołał Bizon, mierzając do niego z broni.
- Co ty robisz? Zwariowałeś? – Marta starała się go powstrzymać, ale Witek delikatnie odsunął ją lewą ręką.
- To ja, Łukasz – odrzekła postać, po czym zatrzymała się. – Musimy uciekać. Nie damy rady tego powstrzymać. On nadchodzi!
- Jeśli to ty, Łukasz – powiedział Witek – powiedz, jaki jest temat mojej pracy magisterskiej. Zjawa nie odezwała się, zasyczała tylko groźnie i znikła, jakby była wyświetlanym w powietrzu hologramem.

Witek opuścił broń, a po kilkunastu sekundach w tunelu istotnie pojawił się Łukasz.

- Przez przypadek usłyszałem pytanie – oznajmił. – Temat twojej pracy jest iście pokretny, ale wymyślił go twój zwariowany promotor, a nie ty sam. „Okultyzmu historia w Polsce siedemnastego wieku i jej dwudziestowieczna recepcja...”.

Dalej nie pamiętam, chociażbyś miał mnie zastrzelić.

Bizon krzywo się uśmiechnął.

- Musimy zawrócić. Korytarze to zwykła zmyłka, choć być może znajdują się w nich ukryte przejścia, których nie dostrzeżliśmy – podsunęła Marta. – Niepotrzebnie poszliśmy za torami, może trzeba było iść jednak prosto.

Pobiegli do głównego korytarza, do którego dostali się na samym początku, zjeżdżając windą. Postanowili iść nim cały czas prosto.

W pewnym momencie, po przebyciu dobrych kilkuset metrów, na końcu tunelu, w odległości jakichś dwustu metrów dało się dojrzeć wejście. Korytarz lekko zakręcał, jakby był napiętym łukiem, dlatego wejścia nie było widać z większej odległości. Można się było nawet domyślać, że to celowy zabieg mający złagodzić skutki ewentualnej eksplozji w czasie walki. Wokoło zrobiło się zimniej, a Łukasz znów poczuł potężną falę atakującej go nienawiści. Skrzywił się niczym z bólu.

- Co się dzieje? – spytał Bizon, przyglądając mu się z niepokojem.

– Czuję to – wyrzucił z siebie Łukasz. – Jest blisko.

Jakby na potwierdzenie tych słów miarowy dźwięk przybrał na sile. Kiedy znaleźli się tuż przed wejściem, zobaczyli, że za nim znajduje się sala wypełniona upiornym, czerwonym światłem.

Pomieszczenie było ogromne. Ściany i strop wykonano z betonu. W całości wypełniał je pulsujący, szkarłatny blask wydobywający się z czegoś, co znajdowało się w samym centrum sali.

Łukasz wyciągnął kulkę. Jeszcze nigdy nie świeciła tak mocno. Białe światło było tak silne, że prawie nie dało się na nie patrzeć. Szkarłatny blask usunął się niechętnie, lecz nadal pełzał po ścianach, wił się i lśnił w rogach sali.

Jego źródłem był wielki kryształ, umieszczony na betonowym postumencie, na wysokości mniej więcej jednego metra. Lśnił krwawo, pulsując i roztaczając wokoło złowrogi blask. Głuche

pulsowanie było teraz głośnie i Łukasz miał wrażenie, jakby znalazł się we wnętrzu potężnego, rezonującego urządzenia.

– Źródło Mocy – wyszeptała Marta, łapiąc Łukasza za rękę.

Witek zafascynowany podszedł bliżej.

Wokoło Kryształu rozmieszczono Pieczęcie, przedstawiające magiczne symbole, które odbijały blask, zdawały się go wzmacniać, potęgować i kierować na powrót do Kryształu. Rozpoznał znany z Lemegetonu symbol Baela, który pojawia się w postaci kota, ropuchy lub człowieka, a także znak Asmodeusza. Pozostałe Pieczęcie jednak nic mu nie mówiły.

Wtedy odgłos pulsowania przyspieszył gwałtownie i przybrał na sile, jakby z uśpiania zbudziła się jakaś potężna, prehistoryczna istota. Ściany i strop odpowiadały głuchym echem.

– Spieszmy się! – zawołał Łukasz. – Teraz albo nigdy! On zorientował się, że dotarliśmy aż tutaj. Nadchodzi!

– Wyjmij Pieczęć! – Witek jakby otrząsnął się z transu. – Trzymajmy się blisko siebie! Ja wypowiem inkantację, by ściągnąć całą moc demona w to miejsce. Potem spróbuję odesłać go formułami z książki Witwickiego!

Głuchy, pulsujący, niski dźwięk przyspieszył teraz tak gwałtownie, że przypominał potężne buczenie wydawane przez gigantyczną syrenę przemysłową ostrzegającą przed niebezpieczeństwem. Blask wzrastał się i stawał z każdą chwilą coraz bardziej agresywny. Zdało się, że po ścianach pełzają jakieś cienie, jakby zwierzęta, ludzie i jeszcze jakieś inne, nieznanne pradawne stwory, na moment wyczarowane z niebytu i po chwili znów się w nim pogrążające, by dać miejsce nowym twórcom przypominającym węże, bezgłowych ludzi, smoki i gigantyczne wije.

Witek ujął mocniej plik kartek i zdecydowanym, powolnym głosem zaczął wypowiadać inwokację:

– Jam twoim królem, rzekł Pan Światów, siłą wychwalaną poniżej i ponad, w którego rękach księżyc jest blaskiem szkarłatnym przebijającym na wskroś, którego szaty twoim są ubiorem i który oświetla je światłem piekielnym...

Ściany pomieszczenia wydawały się płonąć. Basowy niski huk przypominał teraz dźwięk startującego odrzutowca, spotęgowany jeszcze przez betonowe sklepienie. Roztańczony, szkarłatny blask bijący z kryształu dygotał, wił się i pełzał.

– Czy wichur może zagłuszyć twój głos? – czytał dalej Witek, starając się przekrzyczeć narastający huk. – O ty, wielkie nasienie robactwa ziemi! Które Piekło umieściło w ustach Umiłowanych! I które przygotowałem niby kielichy weselne albo kwiaty ozdabiające komnaty pożądania... Otwórzcie szeroko bramę Piekła! Niech służy wam niższe niebo pod wami! – wykrzyknął. – Przybądź, demonie i przyprowadź ze sobą to, co zgniłe i poddane rozkładowi. Panie piekielnych czeluści...

Witek nieustannie czytał z książki ponure wersy będące wezwaniem demona. Szkarłatny blask wypełniający pomieszczenie zaczął przybierać dziwną konsystencję. Nie był już światłem, ale czerwoną, przypominającą morze krwi substancją. W jej centrum, gdzie znajdował się Kryształ i Pieczęcie, formował się jakiś kształt.

Marta, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia, stała tuż obok Łukasza. Ten w lewej ręce trzymał Pieczęć, a w drugiej lśniąca niczym okruch słońca kulkę wuja Bolesława.

Hałas był tak potężny, że słowa Witka stały się niemal zupełnie niesłyszalne. Dołączył do niego niezwykle odgłos wichury przetaczającej się przez podziemie. Łukasz, Witek i Marta nie poczuli jednak nawet podmuchu, chronieni niezwykle mocą szklanej kulki i Pieczęci.

Nagle pośród wycia wiatru zaczęła ukazywać się ponura postać. Wielkie, majestatyczne rogi wyrastały z potężnej głowy kozła. Ponad nią płonął ogień w formie rozszczepiającego się płomienia, przypominającego język żmii. Stwór przypominał po części kozła, a po części człowieka, wyglądał, jakby powstał w laboratorium szalonego genetyka lub w wyobraźni średniowiecznego mnicha ogarniętego zabobonną obsesją. Oczy demona były wielkie i czarne, przypominały dwie bezdenne dziury. Wzrok potwora przyciągał i hipnotyzował, przywodził na myśl przepastną czerń kosmosu, pustkę, nicność i śmierć.

Łukasz rozejrzał się wokół i ze grozą zobaczył, że szkarłatna substancja zalała już niemal całą salę i bulgocze niczym wrzątek. Jedynie wokół nich uformował się niewielki, wolny od przerażającej cieczy krąg. W niej poruszali się, niczym topielcy, jacyś ludzie. Było ich bardzo wielu. Łukasz widział twarze wykrzywione wiekuistą agonią, przerażeniem i bólem. Wśród nich byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety, dzieci i starcy. Dostrzegł księdza Rutę. Poruszał ustami w niemej skardze, wpatrując się w Łukasza błagalnie. Jego ciało pokrywało robactwo podobne do oślizgłych karaluchów, a oczy pełne były niewymownej rozpacz. Łukasz zrozumiał, że to uwięzione przez demona dusze, które dręczył on według swojego upodobania, a także wykorzystywał we własnych celach niczym upiorną armię zjaw i widziadeł.

*

Strach, który opanował Łukasza, okazał się obezwładniający. Ucieczka była niemożliwa. Byli w potrzasku, podobnie jak niegdyś Ksenia, Langman i Bogu ducha winny wuj Bolesław. W tej upiornej chwili dostrzegł wykrzywioną strachem twarz Marty. Ich spojrzenia się spotkały. Wiedzieli, że muszą wytrwać, w przeciwnym razie czeka ich los straszniejszy niż wszystko, co potrafią sobie wyobrazić.

Wtedy demon przemówił.

– Głupcy! – Jego głos, donośny jak dzwon, rozlegał się ze wszystkich stron. – Waszym przeznaczeniem jest zguba. Nie macie takiej mocy, by móc mi rozkazywać. Wszyscy zginiecie. Ratujcie się i uciekajcie!

Witek stał odwrócony do przyjaciół plecami, przodem do demona, więc Łukasz nie widział jego twarzy. Domyślał się, że podobnie jak on toczy straszną wewnętrzną walkę z lękiem. Kiedy się odezwał, jego głos drżał, ale po chwili nabrał mocy:

– W imię Boga w Trójcy Jedynego przez zasługi i moc wszystkich Chórów Anielskich, Serafinów, Cherubinów, Tronów, Panowań, Mocarstw, Władz, Zwierzchności, Archaniołów i Aniołów Stróżów, rozkazujemy ci, duchu nieczysty, idź precz na samo dno Piekła i pozostań tam na wieki wieków!

Rozległ się przeraźliwy, pełen najwyższej wściekłości ryk, jakby to, co powiedział Witek, było obrzydliwą obelgą. Płomień górujący ponad głową demona rozjaśnił się gwałtownie. Mimo to zjawa się cofnęła.

– Przekleści! Otworzyliście wrota piekieł, ale nie macie mocy, aby mnie do nich odesłać. – Głos potwora brzmiał niczym pogrzebowy dzwon. – Sprowadzę koszmar, jakiego nie są w stanie pojąć wasze ograniczone umysły!

Witek ponownie głośno wypowiedział formułę odesłania, co zdawało się jedynie powiększać wściekłość demona. Ohydny stwór się zbliżył.

– Złapmy się za ręce! – krzyknął Witek. – Odmawiajmy modlitwę razem!

Stanęli twarzami do siebie, łapiąc się kurczowo za ręce. Łukasz i Marta zaczęli powtarzać wypowiedane przez Witka słowa. Zdawali sobie sprawę, że to jedyny ratunek i strach zaczął dodawać im sił.

– W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, księżę najchwalebniejszy wojska niebieskiego, święty Michale Archaniele, broń nas w walce przeciw księstwom i mocom, przeciw władcom ciemności tego świata...

Demon jednak trwał niewzruszony w swoim majestacie, ewoluował i przemieniał się, zupełnie jakby przybieranie każdej nowej, koszarnej formy napełniało go złośliwą radością. Przez chwilę był olbrzymią ropuchą, później gigantycznym pajakiem z głową noworodka. Potem znów powrócił do swojej pierwotnej postaci będącej skrzyżowaniem człowieka i kozła.

Witek wyszarpnął zza paska pistolet i zaczął strzelać w kierunku stwora. Jego ciało zaczęło płonąć w miejscach, w które ugodziły je poświęcone pociski. Po krótkiej chwili nadziei usłyszeli pełen tryumfu śmiech. Stwór podniósł dłoń i wykonał w powietrzu skomplikowany gest.

Łukasz znacznie osłabł, ulegał woli demona coraz bardziej. Coś jakby lodowate palce zacisnęły się na jego sercu, opłotły umysł. Potężna wola nakazywała wejść w bulgoczącą, szkarłatną magmę i zanurzyć się w niej na wieczność.

Łukasz czuł, że nie ma już ratunku, że są niczym robaki w porównaniu ze zstępującą z góry lawiną. Ostatnim odruchem rozpaczycisnął szklaną kulka w demona.

*

Kiedy potwora ugodził niezwykle pocisk, nastąpił rozbłysk światła tak silny, że Łukasz odruchowo zamknął oczy. Kiedy ośmielił się spojrzeć, ujrzał, że fizyczne ciało demona pożera ogień. Stwór cofał się, jak gdyby wciągany pod ziemię niewidzialną siłą.

– Witek! – krzyknęła Marta. – Nieśmiertelnik!

Ten przez chwilę jakby nie wiedział, o co chodzi, ale zaraz potem zerwał z szyi nieśmiertelnik i cisnął nim w demona. Nastąpił kolejny silny rozbłysk. W tym samym momencie Marta wydobyla z kieszeni swojego szmacianego wróbla. Musiało to być złudzenie, a jednak gdy cisnęła maskotką w demona, wróbel jakby ożył i poszybował w jego kierunku.

Kolejna eksplozja białego światła sprawiła, że potwór stopniowo zatracił swoje kształty. W końcu przechylił się majestatycznie niczym olbrzymie padające drzewo. Materialna powłoka eksplodowała gwałtownie. Purpurowy blask zaczął zanikać. W delikatnej, błękitnej, ezoterycznej poświacie unosiły się ku górze, rozplywając w powietrzu i zanikając, ledwie widoczne sylwetki ludzi. Łukasz ujrzał kobiety, mężczyzn i dzieci. Domyślił się, że są to więzione i poddawane przez demona okrutnym katuszom dusze, które odzyskały teraz wolność.

Nagle rozpoznał księdza Rutę.

Na jego twarzy gościł spokój, a nawet malowała się pewnego rodzaju radość.

Kiedy nastała cisza, szkarłatny blask znikł i zapanowała ciemność, rozpraszana jedynie przez wpadające z tunelu światło. Cała trójka usiadła na ziemi. Siedzieli tak przez kilkanaście minut, w całkowitej ciszy. Słowa wydawały się zupełnie zbędne.

ROZDZIAŁ 28

Łukasz wstał, podniósł z ziemi upuszczoną latarkę i podszedł do betonowego cokołu. Kryształ znikł. Pieczęcie były stopione. Wokoło unosił się zapach jak po burzy.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nigdzie nie mógł dostrzec kulki, maskotki Marty ani nieśmiertelnika Bizona. Zupełnie jakby demon wessał je w siebie lub jakby rozpadły się na cząstki elementarne, uwalniając zgromadzoną w sobie energię.

Wtem w wejściu pojawił się Bauer. W rękę trzymał kałasznikowa.

Witek spróbował sięgnąć po pistolet, licząc zapewne, że w magazynku ostała się jeszcze jakaś kula. Bauer jednak warknął na niego niczym pies, jednocześnie unosząc broń w geście ostrzeżenia.

– Ty! – wrzasnął na Łukasza. – Ty psie! Siadaj na ziemi!

Łukasz posłuchał, mając w pamięci, że gdzieś w pobliżu leży karabin, o którym w ferworze walki z demonem całkowicie zapomniał. Wystrzelił wszystkie naboje do monstrualnego pająka, ale w ostateczności mógł użyć go jak maczugi, choć był to pomysł w tej sytuacji iście desperacki i właściwie obarczony stuprocentową gwarancją niepowodzenia.

Bauer trzymał przyjaciół cały czas na muszce. Podszedł i odkopnął glocka w kącie pomieszczenia, uśmiechając się przy tym triumfalnie.

– Harcerzyki ze starej chaty dopięły swojego celu – wy syczał. – Wydaje im się, że pokonały złego demona. Zupełnie jak w kiepskim filmie.

Podszedł bliżej. Celował to w Witka, to w Łukasza. Potem wymierzył w Martę.

– Myślicie może, że wygraliście? Nic z tych rzeczy. To prawda, udało się wam go odesłać... Lecz ja mogę go przywołać na powrót. Nie omieszkam tego uczynić! Naprawdę sądziliście, że jesteście w stanie go zniszczyć? Jesteście nikim!

Bauer wyglądał upiornie. Miało się wrażenie, że coś pożera go od wewnątrz, że toczy go szaleństwo. Lata kontaktu z demonem i szkarłatnym blaskiem wzmocniły w nim najgorsze instynkty, pozbawiając jednocześnie resztek człowieczeństwa.

– Nie mieliście prawa wtrącać się w nie swoje sprawy! – wrzasnął. – Nie teraz, kiedy wszystko szło po mojej myśli! Znaliśmy historię tego miejsca. To nasi ludzie, Langman i Ksenia, przywołali demona. Tak, chcieli przywołać anioła. Głupcy, przywołali coś znacznie gorszego. Pomylili Pieczęcie, rozpoczęli inwokację o niewłaściwej porze. Zamiast anioła przybył ktoś inny. Nasi ludzie spętali jego moc za pomocą Rytuału i właściwej Pieczęci. Zaczęli robić to, co

Synagoga robi od początków swojego istnienia, wykorzystywali moc demona do swoich małych spraw, małych nierzucających się w oczy gier. Ja jednak zrozumiałem, że można zrobić coś więcej! Że można opanować świat!

– Jesteś wariatem – zdiagnozowała go głośno Marta. – Stuprocentowym, filmowym przypadkiem.

– Coś ty powiedziała? – zasyczał Bauer. Podeszedł do niej i wymierzył z karabinu. – Myślicie pewnie, że ot tak sobie was zabiję? Nie łudźcie się. Najpierw każę wam robić różne rzeczy. Różne bardzo ciekawe rzeczy, po to, by złamać waszą wolę i pozbawić was resztek godności. A jeśli nie będziecie chcieli, przestrzelę wam stopy lub kolana.

Bauer był już na tyle blisko, że Witek zaryzykował. Chciał błyskawicznie poderwać się z ziemi i obezwładnić agenta, schodząc z linii strzału i zakładając mu jeden z duszących, wyćwiczonych na zajęciach krav magi bezlitosnych chwytów, które były obliczone na błyskawiczną eliminację przeciwnika. Zabrakło mu ułamka sekundy. Bauer nacisnął spust, bunkrem wstrząsnął huk i Witek upadł na betonową podłogę, krzycząc z bólu.

– Nie! – krzyknęła Marta.

Bauer podeszedł do Łukasza i przystawił mu lufę kałasznikowa do twarzy.

– Zabawa dopiero się rozpoczyna – rzekł z gadzim uśmiechem. – Wy pozbawiliście mnie mojego sukcesu, ja pozbawię was życia.

– Bauer! – odezwał się ktoś nagle. – Ty judaszu!

Zamiast opuścić broń, Bauer odwrócił się w stronę dobiegającego od strony wejścia głosu i uniósł ją błyskawicznie, opierając kolbę o ramię. Trudno było ocenić, czy istotnie chciał otworzyć ogień. Był jednak zbyt wolny, a ten, kto się pojawił, najwyraźniej nie zastanawiał się nad jego zamiarami i nie miał ochoty przeprowadzać sesji psychoterapeutycznych w celu ich poznania. Huk automatycznej broni nappełnił salę aż po betonowe sklepienie. Ciało Bauera niemal eksplodowało przeszywane pociskami. Łukasz nigdy nie sądził, że śmierć na skutek postrzału może być tak... nieestetyczna. Broń palna, choć jest wynikiem rozwoju „cywilizacji”, zabija równie okrutnie jak maczugi i pięściaki. Jeden z pocisków trafił agenta w dłoń i po prostu oderwał jej fragment, inny trafił go w gardło, wyrzucając fontannę krwi. Przez chwilę stał jeszcze, spoglądając wokoło jakby ze zdziwieniem, lecz po kilku sekundach osunął się na ziemię.

Do pomieszczenia wkroczył Albers wraz z trzema agentami Nowej Synagogi. Był ubrany w szary garnitur, ale jego ludzie mieli na sobie zielone, wojskowe ubrania i czarne kominiarki, przywodzące na myśl agentów CBA.

Wycelowali karabiny w trójkę przyjaciół. Łukasz nie widział ich twarzy, ale podejrzewał, że nie wyrażają one żadnej z chrześcijańskich lub nawet antycznych cnót moralnych.

Albers powoli podeszedł do nich, przechodząc od jednego do drugiego i patrząc im w oczy. Mimo że miał ze sobą uzbrojoną w karabiny obstawę, a cała trójka siedziała na ziemi, trzymał się w bezpiecznej odległości, co Witek dostrzegł z pewną delikatną satysfakcją.

– Udało się wam... – stwierdził z niekłamanym podziwem w głosie. – No cóż, w pewnym sensie mogę wam pogratulować, bo wiem już o was sporo. Jakimś cholernym cudem studentik historii, absolwent socjologii robiący karierę na stacjach benzynowych i pani myślicielka zdołali

wytropić Nową Synagogę. Połączyli fakty, dokonali tego, co nie udało się ani milicji, ani policji, ani dziennikarzom, ani politykom. Zawsze wiedziałem, że studia humanistyczne to nic dobrego. Przejdźmy zatem do sedna. Nie mogę was wypuścić. Wiecie zbyt dużo. Jesteście zbyt niebezpieczni, za dużo myślicie, za szybko kojarzycie. Takich jak wy zawsze należało eliminować i robiono to całkiem skutecznie. Nie bójcie się jednak zbyt. Strzelimy wam w tył głowy. To bezbolesna i szybka śmierć, no chyba, że pocisk jakimś cudem ześlizgnie się po czaszce i ominie mózg, a takie przypadki również zna historia. Wtedy, jak to mówią studenci, do poprawki.

Marta się rozpląkała. Myślała o swoich rodzicach i o tym, jakim strasznym ciosem będzie dla nich strata jedynej córki. Witek wsparł się na ramieniu, posyłając agentowi zimne spojrzenie. Szczerze mówiąc, ubodło go, iż został nazwany „studencikiem historii”. Nawet w obliczu ostateczności nie żałował ani jednego roku spędzonego na uczelni, a ze swoich studiów był dumny. Łukasz pomyślał, że to straszna ironia losu zginąć w taki sposób po tym, kiedy wygrało się walkę z siłami ciemności. Zastanawiał się, co zrobią z ich ciałami. Prawdopodobnie zostaną zakopane gdzieś w lesie, utopione w zbiorniku wodnym lub spalone. Przyszło mu również do głowy, że jeśli istnieje życie po śmierci, a tego właściwie mógł być już całkiem pewien, to może czeka na nich jakaś radośniejsza forma istnienia w zamian za zasługę, jaką było odesłanie demona z powrotem do piekieł.

Nagle do pomieszczenia coś wpadło z brzdękiem i potoczyło się po betonie.

– Na ziemię! – ryknął Witek i sam padł, zakrywając głowę rękami. Łukasz i Marta również przyłgnęli do podłogi.

Rozległ się rozrywający niemal bębenki huk, a salę rozjaśnił krótki, lecz oślepiający błysk.

– Policja! – rozległy się okrzyki. – Na ziemię!

Agenci Nowej Synagogi ani myśleli się poddać. Wyjątkiem był sam Albers, który błyskawicznie upuścił karabin. Jego ochroniarze otworzyli ogień, a policijni antyterrorysty odpowiedzieli tym samym. Kule ze świtem przelatowały ponad głową Łukasza i rykoszetowały, odłupując kawałki betonu. Policjantów było kilkunastu i widać było, że mają dużą wprawę w podobnych akcjach. Po kilkunastosekundowej strzelaninie na ziemi leżały martwe ciała agentów.

Albers spokojnie i z uśmiechem opadł na kolana, unosząc w górę ręce.

– Jestem jedynie spokojnym biznesmenem, który znalazł się tu przypadkiem. Cieszę się, że panowie przyszli z pomocą! – powiedział, jakby sądził, że ktokolwiek byłby w stanie mu w to uwierzyć. Policjanci sprawnie skuli jego ręce kajdankami.

Po chwili uśmiech spełził mu z twarzy.

W wejściu, wraz z dowódcą oddziału specjalnego, potężnym, krótko ostrzyżonym i nieco szpakowatym mężczyzną, pojawił się Piotr Wettermann.

– Ty! – wypluł z siebie Albers.

– Zgadza się – odrzekł spokojnie Wettermann. – Miałem już dość tego szaleństwa. Nie mogłem patrzeć spokojnie na to, do czego doprowadziliście.

W bocznym pomieszczeniu, które przyjaciele odkryli, idąc do Źródła Mocy, antyterrorysty znaleźli broń i sporą porcję narkotyków. Wyglądało na to, że Nowa Synagoga miała od

pewnego czasu drugie, w oczywisty sposób przestępcze oblicze.

*

Witek na szczęście okazał się niegroźnie ranny. Pocisk zaledwie otarł się o jego stopę. Było to bolesne, ale nie poczyniło większego spustoszenia, poza rozerwaną impetem kuli podeszwą i skaleczeniem. Dla Bizona był to jednak spory problem, ponieważ włożył akurat swoje ulubione, wojskowe buty idealnie nadające się do wędrówek po lesie. Po opatrzeniu rany przez sanitariusza nie mógł jeszcze całkiem sprawnie chodzić, więc Marta i Łukasz prowadzili go pod ramiona.

Zły czar, jaki zawisł nad okolicą od momentu uwolnienia demona przez nieobliczalnego agenta, przysł bezpowrotnie. Kiedy przyjaciele wyszli na zewnątrz, zobaczyli, że ponad nimi rozciąga się błękitne niebo. Ponura zasłona z czarnych chmur i diaboliczny szkarłatny blask znikły. Znow słyhać było śpiew ptaków, a słońce delikatnie ogrzewało las, który sprawiał wrażenie, jakby powróciło do niego życie. Brama prowadząca na należącą do Nowej Synagogi posesję była wyłamana, przed budynkiem stał transporter opancerzony i kilka radiowozów. Wokoło kręcili się zamaskowani policjanci, towarzyszył im również pies tropiący, merdający ogonem i chyba traktujący całą sprawę nie do końca poważnie.

Do trójki przyjaciół podszedł dowódca oddziału.

– Wygląda na to, że zdążyliśmy na ostatnią chwilę. Gdyby jeden z nich sam nie zgłosił się do nas, nigdy nie wiedzielibyśmy, że w lesie znajduje się coś takiego.

Łukasz domyślił się, że policja nie wie nic o paranormalnym aspekcie całej sprawy, lecz sądzi, że rozbiła właśnie przyczółek jakiejś zwykłej organizacji przestępczej.

– Uratowaliście nas w ostatniej chwili. Co się z nim stanie? – zapytał, mając na myśli człowieka, który sprowadził pomoc.

– Nie jestem prawnikiem – odparł antyterrorysta – ale pewnie zyska status świadka koronnego. Będzie odpowiadał z wolnej stopy, a prawo zapewni mu nietykalność i anonimowość. Wygląda na to, że może dużo wiedzieć, więc... pewnie polecą głowy.

– A to?... – spytała Marta, wskazując ruchem ręki na niebo i okolice. – To, co się działo...

– Ach to... – odparł policjant. – Skażenie. Trwają prace nad ustaleniem jego źródła. Na szczęście wszystko znikło. Są nawet nieoficjalne hipotezy, że mogła to być jakaś tajna broń, nad którą pracowali w tej okolicy Niemcy, rodzaj szybko rozprzestrzeniającej się toksyny atakującej system nerwowy. Mogła wywoływać agresję i halucynacje. Zdumiewające, że coś podobnego mogło tak długo przetrwać pod ziemią.

Marta nie uznała za stosowne wyprowadzać go z błędu, opowiadając o demonie, tajemniczym promieniowaniu, hordach zjaw i ukrytej w przedmiotach niezwyklej sile dobra. Słusznie podejrzewała, że surowy mężczyzna z pewnością nie uwierzyłby w ani jedno jej słowo.

– Zlitujcie się, puście mnie wreszcie! – zawołał Witek. – Czuję się jak inwalida.

Łukasz i Marta pozwolili Bizonowi stanąć o własnych siłach. Potem Marta podeszła do Łukasza i pocałowała go w usta. Łukasz już dawno nie czuł się tak szczęśliwy. Prawdę mówiąc, w tej chwili przestało go obchodzić, czy uda mu się sprzedać dom, czy znajdzie pracę i co

przyniesie przyszłość.

Trzeba mu to wybaczyć, z natury rzeczy jest marzycielem. Zrozumiał jednak, że przyjaźń i miłość są najważniejsze i stanowią najlepszą broń przeciwko siłom ciemności. Cieszył się, że zarówno on, jak i Witek oraz Marta są już bezpieczni, wyrwani z objęć grozy, która zdawała się ostatecznie zaciskać na nich swoje zimne palce. Zaakceptował również całkowicie swój niezwykle dar – psychometrię. Podejrzał, że może przydać mu się jeszcze wiele razy. Świat przedmiotów, na pozór martwy, skrywał swoje tajemnice, nosił ślady zdarzeń z przeszłości i ukrywał w sobie potężną energię dobrych emocji, której istnienia nigdy by nie podejrzewał.

Jednak kiedy pocałunek się skończył, Łukasz spojrział w las i uśmiech nagle znikł z jego twarzy. Znow miał uczucie, że zimne szpony wślizgują się w jego umysł, a gdzieś między odległymi drzewami rozlega się pełen nienawiści, bezlitosny chichot.